

DEMBIŃSCY
Z PRZYSUCHY

*MIĘDZY POLSKĄ
A AMERYKĄ*

ANITA DEMBIŃSKA-GORZKOWSKA
EDWARD PAWLIK

**DEMBIŃSCY
Z PRZYSUCHY**
*MIĘDZY POLSKĄ
A AMERYKĄ*

PRZYSUCHA 2018

Autor	Anita Dembińska-Gorzowska
Współpraca	Edward Pawlik
Przekład z j. angielskiego	Teresa Gajda
Projekt okładki	Anna Skrok
Fragment wiersza: „Przysucho!”	Edward Pawlik
Redakcja	Edward Pawlik
Zdjęcia	Z archiwum rodzinnego autorki, Edward Pawlik, ze zbiorów Muzeum im. Oskara Kolberga w Przysusze
Konsultacja komputerowa	Marcin Sobkiewicz
Wydawca	Towarzystwo Kulturalne im. Oskara Kolberga w Przysusze
Opracowanie wydawnicze	Anna Skrok
Korekta	Joanna Iwanowska

Wydanie pierwsze

Copyright by Towarzystwo Kulturalne im. Oskara Kolberga w Przysusze
Przysucha 2018

ISBN 978-83-925120-7-3

Druk i oprawa:



Wydawnictwo Naukowe Instytutu Technologii Eksploatacji – PIB
ul. K. Pułaskiego 6/10, 26-600 Radom, tel. centr. (048) 364 42 41
e-mail: instytut@itee.radom.pl, www.itee.radom.pl

*Moim
Dzieciom
i Wnukom*

Podziękowanie dla Pana Edwarda Pawlika

Składam bardzo serdeczne podziękowania Panu Edwardowi Pawlikowi za zachętę do wydania moich wspomnień w języku polskim. Jest mi bardzo miło, że zechciał zadać sobie trud przeczytania tej książki, która w zasadzie przeznaczona była dla moich dzieci i wnuków, by poznały historię rodziny w Polsce, jako że mieszkają w USA. Jestem panu Edwardowi niezmiernie wdzięczna za współpracę i uzupełnienia do polskiej wersji mojej książki.

Anita Dembińska-Gorzowska

PRZYSUCHO!

*...Ileż rodów znamienitych
Kształtowało przeszłość Twoją
Męcinowie i Czermińscy
Potem nastał ród Dembińskich
Co dla miasta był ostoją...*

Edward Pawlik
Fragment wiersza „Przysucho!”
W 50. rocznicę przywrócenia
jej praw miejskich.
2008 r.

Spis treści

1. Wprowadzenie	11
2. Fotografia rodzinna – cztery pokolenia kobiet.....	13
3. Wstęp	15
4. Historia rodziny Dembińskich herbu Nieczuja.....	16
5. Ród Gołuchowskich.....	19
6. Przysucha.....	23
7. Druga wojna światowa.....	29
8. Łódź.....	41
9. Wczesne lata w Warszawie	47
10. Życie to plaża	55
11. Na ul. Mokotowskiej – wczesne lata 50. XX w.	59
12. Przejście do szkoły średniej	64
13. Pływanie	70
14. Lata pięćdziesiąte na ul. Mokotowskiej	74
15. Wczesna dorosłość	76
16. Studia	79
17. Klub Motocyklowy Bristol	85
18. Biedny student zarabia pieniądze.....	87
19. Wyjazd do Anglii.....	88
20. Klub Inteligencji Katolickiej	90
21. Francja	90
22. „Odwilż”	93
23. Końcowe lata studiów	96
24. Ze studiów do pracy.....	99
25. Lata sześćdziesiąte na Mokotowskiej.....	105
27. Joanna	107
28. Szwecja, Dania, Londyn, Rio de Janeiro.....	110
29. Radości i udręki małżeńskiego życia	115
30. Z powrotem w Polsce.....	122
31. Posiadanie wymarzonego mieszkania	124
32. Gąbińska 18 mieszkania 23.....	126
33. Małgosia (znana również jako Margaret)	129
34. Długa droga do Ameryki	131
35. Przed wyjazdem do Minneapolis.....	138
36. Warszawa–Minneapolis.....	141

37. Minneapolis	145
38. Z alei Xerxes na ul. Olivier	152
39. Podróż przyczepą campingową	157
40. Stan wojenny w Polsce	159
41. Uwaga Kalifornio! Przybywamy!	163
42. Montpellier	166
43. Losy rodziny mego męża Jerzego Gorzkowskiego	170
44. Zakończenie	173
45. Podziękowanie	174
45. Zdjęcia	175
46. Nota biograficzna współautora	238

Wprowadzenie

Przekazujemy do rąk Czytelników książkę wyjątkową. Jej wyjątkowość polega na tym, że po raz pierwszy ujęte zostały – w takiej formie – losy rodziny hrabiego Henryka Dembińskiego, ostatniego właściciela dóbr przysuskich. Praca ta ukazuje szczególnie życie Jego córki Anity i Jej rodziny. Ona też, już jako Anita Gorzkowska, jest autorką tej książki.

Walorem tej pracy jest to, że poznajemy losy Jej rodziny niejako od „środka”. Jest to swego rodzaju autobiografia. Już sam tytuł budzi zainteresowanie treścią książki. Po II wojnie św., wobec zmian ustrojowych naszego kraju, majątek hrabiego został mu odebrany przez władze komunistyczne. Ideą autorki było przekazanie swoim dzieciom i wnukom wiedzy o sobie i o historii rodziny Dembińskich. Edycja tej pracy, jak i moja znajomość z autorką, ma swoją historię. W 2016 roku otrzymałem w prezencie od autorki tę książkę napisaną w języku angielskim. Po pobieżnym zapoznaniu się z jej treścią podjąłem się wydania książki w języku polskim. Moją ideą jest przybliżenie mieszkańcom Przysuchy (może nie tylko im) wiedzy o rodzinie Dembińskich, która położyła wielkie zasługi w rozwoju miasta, odcisnęła trwałe piętno na jego historii, na jego kulturze. Książka ukazuje związki autorki z Przysuchą, ich podtrzymywanie do dziś.

W marcu 1945 r. władze komunistyczne dokonały materialnej degradacji rodziny Dembińskich, odbierając jej posiadane dobra. Mimo tego zachowała Ona patriotyzm i wszystkie te wartości, które są immanentne naszemu narodowi. Wspomnienia autorki ukazują Jej tożsamość. Pamięć o przeszłości, jej wspomnianie są jednym z uwarunkowań tożsamości człowieka.

Zawarte w tej pracy wspomnienia ukazują zmienność ludzkich losów. Życie człowieka nie jest z góry określone, nie ma w nim sztywnych ram, nie występuje w nim swoisty constans. Książka ta jest zapisem mnogości doświadczeń autorki. Doświadczenie życiowe nie jest warunkowane

tylko wolą jednostki, zależy ono od wielu czynników zewnętrznych, m.in. od: otaczającego go środowiska społecznego, obyczajów, wiary, warunków ekonomicznych i – głównie – od państwa, w którym żyje człowiek.

Praca ta nie jest pracą naukową. Jak już nadmieniono, ma ona charakter wspomnień. Pisząc je, posługujemy się pamięcią. Nasza pamięć ma jednak pewien mankament – nie zawsze zawiera ona fakty w takim stanie, jakie miały miejsce w rzeczywistości. Odnosi się to szczególnie do sytuacji, kiedy piszemy nasze wspomnienia z perspektywy wielu lat. Wtedy to nie oddają one faktycznego stanu rzeczy. Pomijamy wtedy jakieś niuanse, przedstawiamy kolejność wydarzeń, ulatuje nam coś z głowy. Możemy się z tym spotkać też w tych wspomnieniach. Ale jest to jednak niczym w zderzeniu z ogromną wiedzą autorki o rodzinie Dembińskich, o Polsce, o świecie. Jednym z walorów tej pracy jest otwartość, z jaką autorka ujmuje wspominane sytuacje, zdarzenia. Odnosi się wrażenie ich przybliżenia. Wspomnienia te pisane są z polotem, swobodą i lekkością. Nie brak też w nich z pikanterią opisanych sytuacji. Nieodgadnione są – w stosunku do przyszłości – ludzkie losy. Ta książka jest potwierdzeniem tej tezy.

Anita Gorzkowska mieszka wraz z rodziną w Kalifornii, w USA. Na moją propozycję wydania książki w języku polskim autorka wyraziła zgodę, proponując współpracę, udzielając zarazem pełnomocnictwa do reprezentowania Jej w redakcyjnym i edytorskim efekcie przedsięwzięcia.

Edward Pawlik



Rok 1940 Prababunia Anna nee Murat,
Babunia Gołuchowska, Mana Dembińska i Anita

Wstęp

Moimi rodzicami byli Henryk Dembiński z Przysuchy położonej w centralnej Polsce i Maria (z domu Gołuchowska), której rodzina przybyła ze wschodnich terenów Polski, wcielonych po II wojnie światowej do Ukrainy.

Historia ta rozpoczyna się przed drugą wojną światową we Lwowie, gdzie urodziłam się w 1938 roku. Miasto należało wtedy do Polski, ale w konsekwencji powojennych umów między zwycięskimi mocarstwami (Rosją, Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi) zostało przekazane Ukrainie i stało się jej przyległym terytorium. Polacy z tych ziem zostali zmuszeni do przesiedlenia się, głównie do zachodnich części Polski, które również jako skutek wojny, zostały zabrane pokonanej Rzeszy. Niemcom zaś nakazano bez zwłoki opuścić te tereny.

Polska, niestety, w tych kwestiach nie miała nic do powiedzenia, zachodnie mocarstwa pozostawiły ją, tak jak i inne kraje, w tak zwanej Europie Wschodniej, w sferze wpływów Związku Radzieckiego. Zanim w Polsce mógł się wyłonić prawdziwie demokratyczny rząd, Józef Stalin wysłał tam wyszkolonych w Moskwie komunistów polskiego pochodzenia. Natychmiast przejęli oni władzę i stłamsili wszelką opozycję.

Sytuacja ta trwała aż do 1989 roku, kiedy to komunistyczny reżim zaczął upadać w całym bloku wschodnim.

Historia Rodziny Dembińskich

herbu Nieczuja

Wzmianki o rodzinie pojawiają się w dokumentach pochodzących z XIV wieku. Jej członkowie mieszkali w różnych częściach Polski, ale nie wiodło im się wtedy zbyt dobrze. Dokumenty z XVII wieku przedstawiają rodzinę jako osiadłą i bogatą szlachtę z jej reprezentantami biorącymi udział w wielu wojnach (Polska była w stanie wojny z niektórymi państwami właściwie przez całą swoją historię). Udzielali się w życiu politycznym kraju, gdzie piastowali takie stanowiska jak sekretarz króla czy też zajmowali wysokie urzędy kościelne.

O wiele więcej informacji o rodzinie Dembińskich pochodzi z XVIII wieku, kiedy to obejmowali znaczące posady polityczne i wojskowe oraz poprzez ożenek wchodzili do rodów arystokratycznych takich jak Sułkowscy, Czartoryscy, Michałowscy i Tyszkiewiczowie, przez co umacniali swoją pozycję społeczną.

Jednym z bardziej znanych członków rodziny był Ignacy (1753–1799). Nie zajmował żadnego wysokiego stanowiska w rządzie, ale był niezwykle popularny dzięki swojemu politycznemu zaangażowaniu jako członek sejmu w czasach, kiedy to zajmowano się najważniejszym dokumentem, nazwanym Konstytucją 3 Maja 1791 r. (na pamiątkę rocznicy daty przyjęcia tego dokumentu ustanowione jest święto narodowe). Ignacy bardzo głośno wyrażał swoje demokratyczne idee, które nie spodobały się Rosjanom, doprowadziło to do jego prześladowania i nękania.

Trzeci z kolei syn Ignacego, Henryk (1791–1864) był najbardziej znany z członków rodziny. Brał udział w kampanii Napoleona przeciwko Rosji, walczył w bitwie pod Lipskiem w 1813 r. i został odznaczony Orderem Legii Honorowej. W Powstaniu Listopadowym w 1831 r. przeciwko rosyjskiej okupacji był jednym z najlepszych dowódców sił

polskich. W swojej świetlanej karierze wojskowej osiągnął stopień generała. Walczył na Węgrzech jako dowódca sił zbrojnych w powstaniu przeciwko Austrii. Po upadku został internowany w Turcji. Wolność uzyskał w 1851 r. Resztę życia spędził w Paryżu, gdzie zmarł i został pochowany na cmentarzu Montmorency. Przez lata cieszył się i cieszy szacunkiem wszystkich w rodzinie, a jego portret wisi w salonie każdego z rodziny Dembińskich.

Najstarszy brat Ignacego, Ludwik Nieczuja-Dembiński, właściciel miejscowości Góry, poślubił Amelię Rawicz-Dembińską. Z powodu tych zaślubin Amelia otrzymała posiadłość ziemską w Przysusze. Ludwik i Amelia mieli czworo dzieci; dwóch synów – Juliusza (1831–1887) i Ludwika oraz dwie córki. Jako jedyny pozostały przy życiu syn Juliusz odziedziczył Góry, Przysuchę i inne okoliczne wsie. Juliusz ożenił się z Heleną Wodzicką, z którą miał czworo dzieci, a troje z nich to synowie: Ludwik (1863–1910), który odziedziczył Góry, Henryk (1866–1915), mający otrzymać w spadku Przysuchę i Stefan (1869–1934), który odziedziczył kilka pomniejszych majątków, a po swoim ożenku również Borkowice. Wszystkie te majątki znajdują się w centralnej Polsce. Trzy główne gałęzie rodu Dembińskich, jakie znamy dzisiaj, są potomkami Juliusza i Heleny.

Mój dziadek Henryk (któremu w spadku przypadła Przysucha) ożenił się z Zofią Tyszkiewicz (1874–1958) w roku 1897. Zofia była członkiem bardzo znaczącej polskiej rodziny z Poługi i Ketyngi na Litwie. Dworek w Przysusze został pobudowany po tym, jak para się pobrała. Na początku był to magazyn, gdzie trzymano żelazo. Magazyn przekształcono w krótkim czasie w bardzo wygodne mieszkanie, jako że rodzina powiększała się i konieczne były dodatkowe pomieszczenia.

Dziadek angażował się bardzo w życie polityczne. W tym czasie Polska została podzielona pomiędzy Prusy, Austrię i Rosję. Przysucha była pod zaborem rosyjskim. Henryk Dembiński wierzył w ułożenie dobrych stosunków z Rosją, ponieważ nie widział szans na niepodległą Polskę. Jego Partia Polityki Realnej była przeciwko zbrojnej walce o niepodległość i przeciwko wszelkim ruchom rewolucyjnym. Celem ich było uzyskanie maksymalnej autonomii dla ludności polskiej poprzez lojalność wobec władającego Rosją cara, jednocześnie próbowali współpracować z tymi siłami w Rosji, które chciały przekształcić kraj w monarchię konstytucyjną. W roku 1907 dziadek mój został wybrany do rosyjskiej Dumy. Jego polityczna działalność sprawiała, że przez długie okresy nie

przebywał w domu. Mogę sobie tylko wyobrazić moją babcię, samotną na prowincji, w dużym domu, z majątkiem prowadzonym przez profesjonalnych zarządców. Dziadek pisał do babci piękne listy, jestem pewna, że byli w sobie bardzo zakochani, ale nie spędzali razem dużo czasu. To jednak nie przeszkodziło im mieć ośmiorga dzieci (jedna dziewczynka zmarła po kilku miesiącach życia): Zofii (1898–1966), Heleny (1899–1990), Jana (1902–1969), Ludwika (1903–1984), Andrzeja (1905–1942), Krystyny (1908–2004) i mojego ojca Henryka (1911–1986).

Dziadek odszedł szybko i nagle w 1915 roku, pozostawiając rodzinę z siedmiorgiem dzieci, z których najmłodszy, mój ojciec, miał tylko 4 lata. Z trudem potrafię wyobrazić sobie, jak moja babcia radziła sobie z wychowaniem tych wszystkich dzieci bez ich ojca. Oczywiście miała pomoc i dzięki Bogu nie była biedna. Wspominam wszystkich z czułością, moje ciotki i moich wujów, ale znając ich historie, kiedy byli nastolatkami i młodymi ludźmi, mogę sobie tylko wyobrazić „Babunię Przysuską” (Babcię z Przysuchy), jak zwykliśmy ją nazywać, jakie musiała mieć wielkie urwanie głowy z wychowaniem swoich dzieci.

Mój ojciec Henryk stał się właścicielem Przysuchy po spłaceniu swojego rodzeństwa, w młodym wieku 24 lat. Studiował prawo na Uniwersytecie Lwowskim, a po ukończeniu studiów musiał się szybko nauczyć zarządzania dużym rolniczym przedsiębiorstwem, składającym się z lasów, pól, stawów rybnych i sadów i zatrudniającym sporą liczbę pracowników. Interes szedł dobrze, pozwalając na wygodne życie dla rodziny i chłopów z okolicznych wiosek.

Trzeba zauważyć, że 80% mieszkańców miasta stanowili ortodoksyjni Żydzi, którzy nie zasymilowali się dobrze z resztą ludności z powodu swojej religii (w centrum miasta znajdowała się synagoga), innego języka (jidysz), zwyczajów i stroju. Żydzi kontrolowali praktycznie cały handel w mieście i utrzymywali dobre relacje w interesach z rodem Dembińskich, ale nie posiadali swojej ziemi.

Kiedy mój ojciec poślubił moją matkę, Marię Gołuchowską w roku 1937, dom był przyjemnie wyglądającym dworkiem na prowincji, bez jakiegoś szczególnego stylu, a to z powodu koniecznych dobudówek dokonanych przez mojego dziadka dla powiększającej się rodziny. Dwór składał się z dwunastu sypialni, trzech salonów i olbrzymiej jadalni. Była już wtedy elektryczność, bieżąca woda i kanalizacja.

Dom otoczony był pięknym parkiem sąsiadującym z sadami i polami. W parku od strony zachodniej znajdował się kort tenisowy. Kort miał nawierzchnię betonową. Wybudowanie kortu w tamtym czasie świadczyło o otwarciu mojego ojca na tę formę aktywności sportowej. To na tym korcie, przed wojną (wiem o tym z opowiadań rodziców), grał w tenisa brat taty, Andrzej ze swoją żoną Lodą Halamą. Wydarzeniem towarzyskim w Warszawie był naonczas ślub młodego hrabiego Andrzeja Dembińskiego z tą znaną artystką rewiową. Małżeństwo, uważane za mezalians, nie trwało długo. Po kilku latach małżonkowie rozstali się w zgodzie.

Ród Gołuchowskich

herbu Leliwa

Moja matka, Maria (Mana) Gołuchowska, pochodziła z prominentnej polskiej rodziny bogatych właścicieli ziemskich mieszkających we wschodniej części Polski (obecnie Ukraina). Gołuchowscy byli bardzo aktywni politycznie nawet wtedy, gdy teren, na którym mieszkali, był pod zaborem austriackim i zwał się Galicją.

Pradziadek mojej matki, Agenor Romuald Gołuchowski (1812–1875) został ustanowiony przez cesarza Franciszka Józefa gubernatorem Galicji, a potem ministrem spraw wewnętrznych Austrii. W roku 1860 został mianowany ministrem stanu, a w praktyce premierem i przydzielono mu zadanie reorganizacji monarchii. Z powodu wpływów pradziadka Cesarstwo Austriackie uległo czemuś w rodzaju decentralizacji, a jego narody otrzymały pewien poziom autonomii i uprawnienia legislacyjne.

Dziadek mojej matki, Agenor Maria Gołuchowski (urodzony w roku 1849 w majątku rodzinnym Skała, zmarł we Lwowie w 1921 r.) ożenił się z księżniczką Anną (1863–1940), prawnuczką marszałka Napoleona Bonaparte, Joachima Murata (1867–1815).

Żeby zrozumieć nasze powiązania z Napoleonem Bonaparte, musimy cofnąć się w czasie i znaleźć się na Korsyce, gdzie Napoleon urodził się

w 1769 r. w rodzinie Carlo i Letizii Buonaparte, z pochodzenia Włochów. W tym czasie Korsyka została przyłączona do Francji przez Republikę Genui. Napoleon Bonaparte (rodzina zmieniła nazwisko na pisownię bardziej podobną do języka francuskiego) miał starszego brata Józefa i młodsze rodzeństwo – Lucien, Elisa, Louis, Pauline, Caroline i Jerome. Napoleon w młodym wieku został wysłany do szkoły wojskowej, gdzie szybko awansował.

Rodzina przeniosła się do macierzystego terytorium Francji w 1793 r. W 1795 r., kiedy Bonaparte był już generałem, poznał młodego oficera kawalerii, Joachima Murata, który ofiarował Napoleonowi swoją służbę. Od tego czasu sława Joachima Murata związana była z Napoleonem Bonaparte.

Joachim Murat, najmłodszy z dwanaściorga dzieci, urodził się w rodzinie karczmarzy w departamencie Lot we Francji. Przeznaczony był na księdza, ale nieszczególnie podobało mu się w seminarium czy też na Uniwersytecie w Tuluzie, gdzie studiował prawo kanoniczne. A że skłaniał się do tego, żeby przyłączyć się do armii, zaciągnął się do oddziału kawalerii, ale po roku został zdymisjonowany za niesubordynację. Następnie, po jakimś czasie, został zwербowany do Konstytucyjnej Straży Króla Ludwika XVI, to powołanie nie trwało długo, ponieważ zaangażował się we francuskie działania rewolucyjne.

W Paryżu znany był ze swojej dobrej prezencji i gwałtownego charakteru. W tym czasie, bez żadnego wojskowego powołania, poznał młodego korsykańskiego generała Bonaparte. Stał się adiutantem Napoleona, brał udział we wszystkich kampaniach militarnych, został generałem, a potem marszałkiem. Po zamachu stanu, jakiego dokonał Napoleon, Murat został mianowany Komendantem Straży Konsularnej, Wielkim Admirałem i Księciem. W roku 1800 Napoleon zaoferował Muratowi rękę swojej najmłodszej siostry Caroline. W 1808 r. Bonaparte mianował Murata królem Neapolu. Relacje między szwagrami od samego początku były napięte, ponieważ Murat chciał umocnić swoją pozycję króla Neapolu, poprosił o wycofanie oddziałów francuskich, co spotkało się z kolei z suchą odmową ze strony Napoleona. Dodatkowo Murat przeżył, że zostać królem Hiszpanii, ale korona została przekazana dla starszego brata Napoleona – Josepha. Będąc podejrzliwym wobec intencji Murata, Napoleon rozkazał mu wziąć udział w kampanii rosyjskiej jako dowódcy kawalerii. Mimo wielu zastrzeżeń, Murat

jako żołnierz zaakceptował ten rozkaz. Istnieje anegdota, która mówi, że Napoleon zaproponował Muratowi, aby ten został królem Polski, ale Murat bynajmniej nie był tym zainteresowany, odpowiedział, że nie zależy mu na błotnistych drogach i ogólnie mówiąc okropnym klimacie. Rzeczywiście, słoneczną Italią Polska nie była...

Podczas fatalnego odwrotu wojsk Napoleona z Rosji Murat wykazał się niewiarygodną odwagą, ale kiedy nagle zaczął podejrzewać, że wysłanie go na front rosyjski było podstępem Napoleona, aby odciągnąć go od Neapolu, zignorował rozkaz i powrócił do swojego królestwa. Uważał, że Caroline spiskowała z Napoleonem w kwestii detronizacji Murata. W następstwie wydarzeń politycznych: upadku Napoleona i powrotu Burbonów na tron francuski – doszło do rozstrzelania Murata.

Najbardziej znaczącym powodem sławy Murata było jego pełne temperamentu przywództwo w kawalerii. Jako człowiek był nieroztropny, wybuchowy i przesadnie odważny. Był uwielbiany przez swoich żołnierzy, co dodawało mu skrzydeł, kiedy wiódł swoje oddziały do najgroźniejszych bitew.

Joachim i Caroline Murat mieli dwóch synów, z których Napoleon Lucien miał syna Joachima, a jego córka Anne Napoleone została żoną Agenora Marii Gołuchowskiego. Tak jak i jego ojciec, Agenor Maria Gołuchowski zrobił wybitną karierę w polityce europejskiej. Był ministrem Spraw Zagranicznych Cesarstwa Austro-Węgierskiego w latach 1895–1906. Okazał się być utalentowanym dyplomata. W roku 1897 wynegocjował traktat z Rosją, aby zachować status quo na Bałkanach, co skutkowało dziesięcioletnim rozejmem między dwoma mocarstwami.

Dziadek mój, Wojciech Gołuchowski, syn Agenora, ostatni dziedzic majątku w Skale, poślubił Zofię Baworowską, której prominentna rodzina także pochodziła z Galicji. Przez dwa lata – 1928–1930 był gubernatorem prowincji lwowskiej, potem senatorem w polskim parlamencie w latach 1936–1938. Zawsze obecną tradycją w rodzinie Gołuchowskich był szacunek dla sztuki i nauki, co bez wątpienia miało wpływ na wybór kierunku studiów przez troje ich dzieci.

Podczas pierwszej wojny światowej i bolszewickiej rewolucji rodzina Gołuchowskich przebywała w Wiedniu, aby przeczekać traumatyczne dla Europy wydarzenia. To właśnie tam, 21 lutego 1916 roku urodziła się

moja matka, Maria Anna (Mana). Była środkowym dzieckiem, jej starszy brat urodził się w 1913 roku, a młodsza siostra Zofia (Zula) w 1918 roku.

Po pierwszej wojnie światowej, kiedy Polska odzyskała niepodległość po ponad stuletnich rozbiorach, rodzina Gołuchowskich wróciła do Lwowa. Polacy oszaleli ze szczęścia po odzyskanej niepodległości i cudownym zwycięstwie nad bolszewikami, którzy zaatakowali młodą Rzeczpospolitą w roku 1919. Formalny traktat pokojowy o zakończeniu wojny został podpisany w Rydze w marcu 1921 roku.

Główną rezydencją rodu Gołuchowskich stał się Lwów, a letni wiejski dom znajdował się w Janowie niedaleko Lwowa. Lwów był tętniącym życiem centrum kultury i nauki. Był siedzibą znakomitej uczelni, teatru i opery.

Duży procent ludności stanowili Żydzi, wielu z nich znacząco przyczyniło się do rozwoju literatury, sztuki i nauki. Z opowieści o dzieciństwie mojej matki, jej rodzeństwa i z mnóstwa zdjęć, które moi rodzice mieli w Warszawie, wyobrażam sobie, że było to szczęśliwe dzieciństwo i wiek dorastania. Jak to było w zwyczaju dla rodzin „z wyższych sfer”, moja matka uczęszczała do ekskluzywnej szkoły średniej dla dziewcząt prowadzonej przez Siostry od Najświętszego Serca. O ile wiem, uczyła się eksternistycznie, mieszkając w domu, a nie w zgromadzeniu zakonnym. Ponieważ rodzina mieszkała w mieście, żyli bardziej miejskim życiem niż młodzież z rodu Dembińskich z pokolenia mojego ojca. Mieli mnóstwo przyjaciół przyjeżdżających do ich domu, zapraszali również wiele osób do wiejskiego domu w Janowie. Zimą, kiedy byli w wieku około 16 lat, z grupą przyjaciół jeździli na nartach, ogólnie mówiąc dobrze się bawili, będąc dziećmi czy też nastolatkami. „Creme de la creme” lwowskiej śmietanki towarzyskiej spotkać można było w najlepszej restauracji hotelu George, odwiedzanej przez dygnitarzy i innych VIPów, a które to miejsce zwykło się zwać domem podczas oficjalnych wizyt. Ten historyczny hotel przechodzi teraz renowację, aby przywrócić go do poprzedniej chwały, gościliśmy tam parę lat temu i bardzo nam się podobało, ale łazienka znajdowała się na końcu bardzo długiego korytarza.

Kiedy moja matka ukończyła kursy szkoły średniej, zapisała się na Uniwersytet Lwowski, by studiować historię. Jej siostra Zula studiowała potem na tym samym wydziale. Do przemyśleń zmusza mnie fakt, że górne warstwy społeczeństwa Galicji (nazwa tej prowincji została

nadana przez austriackiego okupanta) było bardziej „uzachodnione”, niż to miało miejsce w Polsce centralnej, która była okupowana przez Rosję – o wiele bardziej restrykcyjny reżim. Lwów, mimo wszystko, był ważną stolicą wielkiej prowincji, ludzie stamtąd często podróżowali do Wiednia w interesach lub z powodu zainteresowań kulturalnych. W świecie Dembińskich dziewczynki miały guwernantki i domowe nauczycielki, co dawało im solidne wykształcenie średnie, ale nie były zachęcane, by iść na studia. W czasie karnawału podróżowały do Warszawy, aby uczestniczyć w balach i chodzić na prywatki i, być może, spotkać odpowiedniego młodego człowieka, którego można byłoby poślubić.

W tym czasie moja matka została wysłana do Paryża, aby przez rok uczęszczać na kursy historii na Sorbonie. Zapisła się tam również na poważne lekcje gotowania. To drugie uczyniło z niej kulinarnego wirtuozę o legendarnej sławie wśród rodziny i przyjaciół.

Przysucha

Jak wcześniej wspomniałam, dziadek Henryk zmarł w roku 1915, zostawiając młodą żonę z siedmiorgiem dzieci w wieku od 4 do 17 lat i wielkim majątkiem do prowadzenia.

Babcia była bardzo odważną i inteligentną kobietą. Zapamiętałam ją ubraną zawsze na czarno i dlatego też zawsze wydawała mi się stara. Starsi chłopcy uczęszczali do szkół w Warszawie, a dziewczęta uczyły się w domu. Lubili pomieszkiwać w stolicy, mieli tam wielu przyjaciół i kuzynów. Wszystkie dzieci bogatych właścicieli ziemskich i arystokracji uczęszczały do tych samych szkół. To tworzyło coś w rodzaju braterstwa broni, znaczących przyjaźni, które często przetrwały do czasów dorosłości.

Przysucha szczyciła się bardzo wielką biblioteką, a dzieci były mocno zachęcane do czytania. Z różnych opowieści mojego ojca i cioci Christine (Krysi) dowiedziałam się, że życie w Przysusze było miłe dla dzieci, szczególnie przed pierwszą wojną światową, a zwłaszcza kiedy żył ich ojciec. Mieli konie do jazdy konnej, urządzano przyjęcia dla

kuzynów z sąsiednich majątków, po prostu było to beztrioskie dzieciństwo. Polowania stanowiły ważny element życia na prowincji, starsi chłopcy mogli w nich uczestniczyć, a dziewczęta towarzyszyć i obserwować. Tak czy siak, polowania zapewniały mnóstwo rozrywki. Zimą, kiedy polowanie się skończyło, w środku lasu pokrytego śniegiem dorosli popijali zimną wódkę i raczyli się smacznym bigosem. Muszę zauważyć, że religia odgrywała bardzo ważną rolę w wychowaniu dzieci. Moja babcia chodziła na mszę każdego ranka. Przestrzegało się październikowych nabożeństw różańcowych oraz tych w maju, poświęconych Maryi Pannie. Przyjęte było, że wszyscy szli do kościoła w niedzielę. Rodzina miała specjalne zarezerwowane miejsce blisko ołtarza (nie było to całkiem demokratyczne). Babcia nie była zbyt surowym rodzicem, a atmosfera w domu wydawała się raczej luźna, bez „łania” i innych kar. Moi starsi wujowie sprawiali jednak trochę kłopotu. Nie byli nadto pilnymi uczniami i studentami, uwielbiali przyjęcia zawsze i wszędzie. Ciocia Krysia też miała figlarny charakter, tak jak i mój ojciec.

Pierwsza wojna światowa zastała rodzinę w Przysusze. Przez miasto przemaszerowała na zachód armia rosyjska. Po zakończeniu wojny wybuchł konflikt między nowo utworzoną niepodległą Polską a sowiecką Rosją, która zaatakowała nasz kraj w nadziei, że uda się przenieść rewolucję Lenina przez Polskę do Europy Zachodniej. W rezultacie heroicznej walki polskiego wojska pokonano Rosjan (Bitwa Warszawska 1920 r. Przyp. E. P.). Młodzi mężczyźni zgłaszali się na ochotnika do armii, aby bronić kraju.

Wszyscy moi wujowie chcieli tak czynić, ale byli za młodzi. Ostatecznie tylko wuj Lulo, który wtedy miał 16 lat, uzyskał zgodę swojej matki, aby zaciągnąć się do wojska razem ze swoimi kuzynami z sąsiednich Borkowic. Obydwie starsze siostry dołączyły do Czerwonego Krzyża jako sanitariuszki; ciocia Zosia ze szpitalem polowym przeszła całą drogę aż do rogatek Kijowa, a ciocia Helenka pracowała w szpitalu w Warszawie.

W dwudziestoleciu międzywojennym ani mój ojciec, ani jego rodzeństwo nie zajmowali się polityką. Dwóch braci pracowało na Śląsku w przemyśle węglowym i stalowym, trzeci zatrudniony był przez towarzystwo właścicieli lasów. Ojciec po ukończeniu studiów (prawa), próbował nauczyć się prawideł zarządzania majątkiem. Miał nadzieję, że

tak jak i jego ojciec, w przyszłości będzie mógł uczestniczyć w życiu publicznym.

W tym czasie wszyscy bracia ojca pożenili się, a jego siostry, Helena i Krystyna, wyszły za mąż. Zofia pozostała niezamężna. Ojciec spotkał moją matkę we Lwowie, gdzie studiował. Pobrali się w roku 1937. Był On był bardzo przystojnym, dziarskim młodym człowiekiem, niewiarygodnie uroczym i poważnym jednocześnie. Mnóstwo młodych dam próbowało zwrócić na siebie jego uwagę, były więc bardzo rozczerowane, kiedy się zaręczył „z jakąś nieznaną panną ze Lwowa”. Na początku „wielkie towarzystwo” w Warszawie krytycznie się jej przyglądało, zwłaszcza wtedy, kiedy ojciec zaczął ją zabierać na imprezy i spotkania rodzinne. Mama, śliczna dziewczyna, wróciła po rocznych studiach na Sorbonie w Paryżu, nosiła się modnie, z karminowym lakierem na paznokciach. Niektórzy patrzyli na nią nieprzychylnie i wyobrażałam sobie, jak trudne to były dla niej początki. Nie trwało to jednak długo, kiedy uświadomiono sobie, jaką miłą i życzliwą jest osobą. Szybko nawiązała wiele przyjaźni, a bracia i siostry Taty zaczęli traktować ją jak swoją siostrę. Babcia była otwarta i pełna przychylnych uczuć, a w swej mądrości widziała więcej niż czerwone paznokcie i modną fryzurę, odkryła w mamie cudowną młodą kobietę, dojrzałą intelektualnie, ale ciągle pełną życia w młodym wieku 20 lat, szaleńczo zakochaną w jej synku Henryku.

Od tej pory życie matki kompletnie się zmieniło. Zamiast kończyć studia historii średniowiecznej we Lwowie, musiała przeprowadzić się na prowincję w centralnej Polsce do domu, który dzieliła z teściową i licznymi krewnymi, którzy przyjeżdżali, zostawali przez jakiś czas, wyjeżdżali, przyjeżdżali znowu...

Kiedy mama zdecydowała się poślubić ojca, podjęła się całkiem nowej roli w majątku rodzinnym – reorganizacji uprawy i sprzedaży owoców z przysuskich sadów. Na początku nie miała pomysłu jak się tym zająć, ale będąc zawsze pilną uczennicą, obłożyła się literaturą na ten temat, polegając na doświadczeniu i wiedzy innych, biegłych w tym temacie. W całkiem krótkim czasie osiągnęła swój cel, a jej entuzjazm był zaraźliwy. Czuła się szczęśliwa – kochana przez męża i jego rodzinę, służbę, chłopów i pełna sukcesów w nowej rolniczej „karierze”. Były to całkiem imponujące osiągnięcia dziewczyny

z dużego miasta, przeniesionej do pól i lasów Przysuchy, gdzie nawet stacja kolejowa była daleko.

Dwa lata między datą zaślubin a wybuchem drugiej wojny światowej były bardzo szczęśliwe dla rodziców. Oprócz pilnych zajęć związanych z prowadzeniem majątku często odwiedzali mieszkających w sąsiedztwie krewnych i przyjaciół, którzy byli posiadaczami majątków ziemskich. Organizowano przyjęcia, polowania, pikniki, pływanie w stawie, grę w tenisa. Dom zawsze pełny był kuzynów i tak zwanych rezydentów, którzy przyjeżdżali na kilka dni, a zostawali miesiącami. Uważało się to za coś całkiem normalnego, a było pewnym urozmaicheniem, zwłaszcza w okresie zimy. Rodzice wyjeżdżali od czasu do czasu do Warszawy, aby zanurzyć się w miejskim życiu, spotkać z przyjaciółmi lub zająć interesami. Ojciec był bardzo zapracowany, ucząc się prawideł zarządzania tak dużym majątkiem (pola, stawy hodowlane, lasy, ogród, zwierzęta gospodarskie) i z tego powodu odkładał swoje zaangażowanie w politykę, nawet na szczeblu lokalnym. Aspiracją jego było pójść w ślady swojego ojca w służbie publicznej, ale to musiało jeszcze poczekać. Wysiłki rodziców i dziadków oraz ich umiejętności zarządzania, razem z dobrym dla gospodarki w Polsce czasem, skutkowały dużym napływem gotówki do Przysuchy. Majątek wolny był od długów, co pozwoliło zwiększyć zarobki dla pracowników gospodarstwa.

Datą moich urodzin jest 12 lutego 1938 r. To ważne wydarzenie miało miejsce we Lwowie, w domu rodzinnym moich dziadków ze strony mamy, Zofii i Wojciecha Gołuchowskich, potem nazywanych Dziadziem Komarem i Babunią Muchą. Nie pytajcie dlaczego nazwałam ich w ten sposób, nigdy też nie zapytałam o to moich rodziców, czego teraz żałuję. Żałuję również, że nie dowiedziałam się, dlaczego mama udała się w taką (długą) podróż do Lwowa, aby tam urodzić. Mogę tylko przypuszczać, że a) chciała być blisko swoich rodziców i/lub b) wolała rodzić w szpitalu w dużym mieście. I tak to chyba było, ponieważ przyszłam na świat bez żadnych komplikacji, ktoś zrobił mi fotografię z bliska, widać główkę pełną czarnych włosów. Tata, zawsze tak taktowny, wkroczył do pokoju, gdzie odpoczywała Mama, spojrzał na mnie i stwierdził, że nigdy wcześniej nie widział tak brzydkiego niemowlęcia (prawdopodobnie nigdy wcześniej nie widział ŻADNEGO niemowlęcia – stąd taki szok). Co więcej, utrzymywał, że wyglądam dokładnie jak położna,

która mnie odbierała (stara, dość brzydka kobieta). To spowodowało, że Mama załała się łzami, a Tata musiał zapewniać ją, że to był tylko żart.

Będę dosadna, ale jestem pewna, że Tata próbował ukryć za maską sarkazmu swoje wzruszenie (może nawet łzy radości). To były czasy, kiedy mężczyznom nie pasowało otwarcie okazywać uczuć. Kolejną zagadką dla mnie jest to, dlaczego nazywali mnie Anita. Jest to wystarczająco skomplikowane, zwłaszcza że na chrzcie otrzymałam sześć imion (Anna-Maria-Zofia-Krystyna-Antonina-Eulalia). Ale dlaczego Anita? Nikt w Europie Wschodniej w latach trzydziestych XX wieku nie był nazwany takim imieniem. I znowu, nigdy nie zapytałam o to moich rodziców. Nie wiem, jak długo zostaliśmy we Lwowie, prawdopodobnie kilka tygodni, wystarczająco długo, by wielogodzinna podróż, najpierw pociągiem, a potem bryczką ze stacji kolejowej do Przysuchy, była bezpieczna dla niemowlęcia. Może zostaliśmy aż do wiosny, czekając na cieplejszą pogodę, jednakże nie zapytałam o to moich Rodziców, a teraz nie ma już nikogo, kto by mi na to odpowiedział.

Rok później, 19 lutego 1939 roku w Przysusze, urodził się mój brat Rafał. Jestem pewna, że Tata był bardzo dumny z narodzin swojego pierwszego syna. Prawdopodobnie uznał wtedy, że dziecko ładnie wygląda – po szoku, jakim było zobaczenie mnie w chwili urodzin. Do tego czasu wyrosłam na całkiem rezolutnego berbecia, wydaje mi się, że coś pamiętam z tamtego okresu – wepchnięta do kołyski na zewnątrz, w zimie, aby powdychać trochę świeżego powietrza. Czułam jak śnieg delikatnie spada na moją twarz, a nikt nie przejął się tym, aby zabrać mnie domu. Może to tylko moja wyobraźnia wytworzyła taki obraz, łącząc zasłyszane czyjeś wspomnienia o moim dzieciństwie.

Zatrzymajmy się na chwilę w tym rozdziale, aby poświęcić kilka zdań historii miasta, bo jest ono silnie związane z rodem Dembińskich. Przed Nimi Przysucha należała do Antoniego Czermińskiego. Po jego śmierci, z wdową po nim (Marianną Ewą Krasicką) ożenił się Jan Dembiński herbu Rawicz. Został on właścicielem Przysuchy (zmarł w 1754 r.). Spadkobiercą został jego syn, Franciszek. Poślubił on Urszulę z Morsztynów starościnię Wolbromską. Małżeństwo to położyło zasługi w rozwoju miasta. Franciszek wybudował najpierw kościół drewniany (1764 r.), ona zaś była fundatorką kościoła murowanego (1786 r.) Uznałam, że warto szerzej odnieść się do jej osoby.

Urszula z Morstinów Dembińska (1746–1825)

Była starościna wolbromską, właścicielką wielkich dóbr ziemskich. Budowała pałace i kościoły. Zajmowała się przemysłem i handlem. Była wpływową osobą na przełomie XVIII i XIX w. wśród szlachty małopolskiej. Pochodziła ze spolszczonej już w XVI w. rodziny niemieckich Morsztynów. Mienili się oni herbem Leliwa. Ojcem jej był Jan Tomasz Morsztyn, kasztelan wiślicki, matką zaś Natalia z Szembeków, kasztelanka oświęcimska. Mając 16 lat, Urszula wyszła za mąż za starostę wolbromskiego, Franciszka Dembińskiego herbu Rawicz. Jego ród wywodził się z Dembian w powiecie wiślickim. Odziedziczyła po zmarłym w 1776 r. mężu dobra przysuskie, janikowskie i rusinowskie. Posiadała również włości nieświńskie w powiecie opoczyńskim, nieznamierowickie z pięcioma wsiami i majątek w Studziannie. Gospodarzyła sama energicznie i skutecznie przez 23 lata. Posiadała jeszcze inne dobra w Polsce. Nazywana była w kręgu szlachty małopolskiej „carową Krakowa”. Dbała o przemysł, jaki rozwijał się na ziemiach przysuskich. Jako pierwsza w Polsce zainstalowała w swoich zakładach przemysłu żelaznego maszynę parową. Oprócz kościoła w Przysusze wybudowała też kościół w Sędziszowie. Jej staraniem został przebudowany pałac w Szczekocinach i wybudowany pałac w Rusinowie. Posiadała domy w Warszawie i Krakowie. Utrzymywała stosunki towarzyskie z ważnymi osobistościami, m.in. z królem Stanisławem Poniatowskim, który złożył jej wizytę w 1797 r. w Szczekocinach. Wspierała twórców Konstytucji 3 maja. Gościła w swoim domu naczelnika insurekcji, Tadeusza Kościuszkę. Przekazała powstańcom konie i uprzęż. Z mężem Franciszkiem mieli czworo dzieci, córki: Ksawerę (zmarła w młodości), Barbarę i Salomeę oraz syna Ignacego. Barbara była żoną Tadeusza Czackiego, znanego działacza gospodarczego i oświatowego, współzałożyciela Towarzystwa Przyjaciół Nauk (za czasów Stanisława Staszica). Syn Ignacy przysparzał rodzinie Dembińskich sporo kłopotów. Wobec niechęci hrabiny do Katarzyny Gostkowskiej, narzeczonej Ignacego, został on do drugiego ożenku przez nią porwany. Urszula Dembińska dla

utrzymania dóbr klucza przysuskiego zmuszona została do sprzedania Korytkowa i Machory. Sprzecznie oceniano jej urodę. Dla jednych z niej słynęła, dla drugich była niską, krępą i chorowitą kobietą. Jej rozum, przedsiębiorczość, zaradność, energię i odwagę oceniano wysoko.

Urszula Dembińska zmarła 7 I 1825 r. w Szczekocinach. Przeżyła 79 lat. Tam została pochowana.

Dembiński Franciszek – hrabia, właściciel dóbr przysuskich, fundator pierwszego, drewnianego kościoła w Przysusze .



*Portret Urszuli Dembińskiej. XVIII w.
Olej na płótnie. Własność rodziny
Dembińskich z Warszawy*

Druga wojna światowa

Marzenia i aspiracje moich rodziców zostały zniweczone fatalnego dnia 1 września 1939 r., kiedy Niemcy napadły na Polskę. Cały polski naród stanął wobec konieczności walki z hitlerowskim najeźdźcą. Tata razem ze swoimi dwoma braćmi i wieloma kuzynami wziął udział w kampanii wrześniowej 1939 r. Ojciec, który był oficerem rezerwy polskiej armii, 1 września 1939 r. otrzymał rozkaz stawienia się do Siódmego Pułku Kawalerii Polskiej, stacjonującego w Mińsku Mazowieckim. Jego pułk rozpoczął kampanię wojenną w Prusach Wschodnich, a zakończył ją razem z oddziałem generała Andersa pod Samborem w południowo-wschodniej Polsce w październiku. Ojciec został schwytyany przez

Niemców i jako więzień wojenny osadzony w więzieniu w Przemyślu (południowo-wschodnia Polska). Udało mu się zbiec z tego przejściowego więzienia i w cywilnym ubraniu, na rowerze dostał się do majątku jakiegoś krewnego.

W tym czasie Matka nie miała pojęcia co dzieje się z Ojcem i stanęła przed trudnymi decyzjami. Na samym początku września na Przysuchę spadły bomby. Wszyscy mężczyźni dołączyli do armii, więc mama porozumiewając się z sąsiadami musiała zdecydować czy zostać, czy spakować siebie i dzieci, udać się na wschód, uciekając przed wojskiem niemieckim, które posuwało się z zachodu. Bardzo dużo ludzi udawało się na wschód, więc Matka zapakowała mnie i brata do konnego powozu, którym powoził jeden służący, zabrała trochę prowiantu i niezbędnych ubrań i wyjechała tak, jak inni. Babcia zdecydowała się zostać i stawić czoła Niemcom. Mama miała nadzieję, że po drodze uda się zakupić dla nas trochę jedzenia i mleka. Byliśmy w podróży tylko kilka dni, gdyż znaleźliśmy się na linii ognia walk wojsk Polski z armiami Hitlera. Mama zdecydowała o powrocie, bardziej z powodu pogłosek, że Rosjanie idą ze wschodu, po inwazji na Polskę 17 września 1939 r. na mocy tajnego paktu z Niemcami Ribentrop – Mołotow (z 23 sierpnia 1939 r. Przyp. E. P.).

Wkrótce po tym, jak wróciliśmy do domu, z powodu dezynterii zmarł mój mały braciszek, bardzo prawdopodobne, że w wyniku zatrucia zanieczyszczonym mlekiem zakupionym podczas naszego exodusu. Było to wielką tragedią dla rodziców. Tata powrócił do domu w październiku, aby poznać te smutne wieści, a ponadto również dowiedzieć się, że w naszym domu zakwaterowali się Niemcy.

Zarekwirowali dużą część domu i ta sytuacja trwała do końca wojny. Tajnymi kanałami Ojciec został też poinformowany, że oddział polskiej armii pod dowództwem majora Hubala (którego uważano potem za bohatera wojennego tego regionu) ukrywa się w lasach przysuskich. Major chciał się widzieć z moim Tatą, a ten się na to zgodził. Major Hubal powiedział, że wojna jeszcze nie ma się ku końcowi, a obowiązkiem Ojca jest dołączyć do oddziału, jako że ciągle jest przecież żołnierzem polskiego wojska.

Tata nie wyraził zgody, aby dołączyć do Hubala i jego ludzi, gdyż uważał, że armia jest rozczłonkowana, a walka się skończyła. Ojciec zgodził się

jednak na regularne dostawy żywności dla Hubala, który zdecydował się zostać przywódcą jednego z oddziałów podziemnej armii Wojska Polskiego. Umowy dotrzymano przez sześć lat niemieckiej okupacji, a oddziały oporu, które działały w lasach przysuskich, były dobrze zaopatrywane w żywność pochodzącą z majątku Dembińskich, ale również od okolicznych mieszkańców. Trzymano się razem i wiele zrobiono, aby zaszkodzić wrogowi. Solidarność w służbie dobra wspólnego i w służbie patriotyzmu była niesamowita, biorąc pod uwagę fakt, że taka działalność była karana śmiercią, czasem za pomoc partyzantom palono całe wsie. (Jedną z nich była wieś Stefanów w lasach przysuskich. Przyp. E. P.). Z korespondencji ojca wynika, że nie przygotowywał się on do wojny – tak naprawdę nikt nie wierzył, że ta agresja nastąpi, wieści od rządzących były skąpe i nierozstrzygające. Wydaje się, że rząd wykluczał taki scenariusz, a wrześniowy atak po prostu go zaskoczył.

Podczas kampanii wrześniowej przez Przysuchę przewinęła się niezliczona liczba uchodźców z Warszawy i innych części kraju. Masa ludzi podróżowała z zachodu na wschód i z powrotem, nie wiedząc gdzie uciekać. Potrzebowali oni jedzenia i dachu nad głową.

Nasz dom ucierpiał tylko przez niewielkie uszkodzenie z powodu bombardowań na początku wojny, ale niektóre pomieszczenia były zniszczone przez niemieckich „gości”, również wiele przedmiotów zostało skradzionych przez tych samych intruzów. (Efektem bombardowań było uszkodzenie części tarasu pałacu od strony północnej – przyp. E. P.) Dzięki Bogu wszystkie prace polowe zostały ukończone przed pierwszym wrześniem, więc nie było zakłóceń w dostawach żywności dla naszego domu.

Duża liczba majątków została skonfiskowana przez Niemców, a właścicielom nakazano je opuścić. To przytrafiło się naszym kuzynom i sąsiadom, rodzinie Dembińskich z Borkowic (potem zamieszkali w swoim majątku w Ruszkowicach. Przyp. E. P.). Wszyscy oni bez zwłoki musieli opuścić swój dom i posiadłość. Ta zasada nie dotyczyła Przysuchy, gdyż majątek nie był wystarczająco duży. Jedna z sąsiednich rodzin przeniosła się do Przysuchy, do budynku administratora, gdzie spędzili całą wojnę. Ludzie musieli sobie pomagać w takiej sytuacji i tak robili, poświęcając swoją wygodę i, kiedy to było konieczne, nieść pomoc potrzebującym. Coraz więcej uchodźców przybywało, tym razem głównie ze wschodnich i północnych części Polski, ci którym udało się uciec przed inwazją Rosjan, unikając deportacji na Syberię, tak jak było to udziałem Dziadziusia. Przyjmowano

ich i w naszym domu, i w domach innych mieszkańców Przysuchy. Każdy chciał pomagać. Naszymi gośćmi byli głównie starsi członkowie obydwu naszych rodzin, którzy wszystko stracili i musieli opuścić swoje domy, dziękując Bogu za to, że przeżyli i mieli się dokąd udać. Codziennie na kolacji było przy stole około 20 osób. Dochód z gospodarstwa szedł na wyżywienie tłumów, jakie przewijały się przez dom, na pomoc biednym, na wspieranie cywilnych organizacji w mieście, na dostawę żywności dla podziemnej armii działającej w lasach Przysuchy.

W tym czasie dwóm braciom Taty, wujowi Lulowi (temu, który potem utworzył Towarzystwo Dembińskich) i Janowi udało się razem z rodzinami wyjechać z Polski; najpierw do Włoch, potem do USA. Moi Dziadkowie (Dziadzio Komar i Babunia Mucha) Gołuchowscy, brat mojej Mamy Jan oraz siostra Zula wyjechali ze Lwowa z transportem Ukraińców do obozów pracy w Niemczech. Po kilku miesiącach ich pobytu kontakty Taty umożliwiły im powrót do Polski. Wszyscy zamieszkali na czas wojny z nami w Przysusze.

Terror był wszędzie namacalny. Wiadomości o aresztowaniach, egzekucjach, obozach koncentracyjnych, gdzie zsyłano krewnych, tak jak i Żydów z miasteczka – dochodziły z różnych źródeł: od uchodźców, tajnego radia (odbieranego pod karą śmierci), podziemnej prasy. Wuj Maciej Radziwiłł, mąż Cioci Krysi (potem zamieszkałej w Monterey w Kalifornii) został zesłany jako jeńiec wojenny do Murnau w Niemczech, jego dwaj bracia zostali zabici na początku wojny, a kolejny brat został zesłany do Oświęcimia.

Pewien wuj Dembiński uciekł z niemieckiego obozu dla jeńców wojennych, ukrywając się przez całą wojnę, pracował dla wywiadu polskiej armii podziemnej. Moja starsza kuzynka Renia Chłapowska, wtedy dwudziestoletnia, która pracowała dla podziemia, została schwytana przez gestapo na ulicach Warszawy, osadzona w osławionym więzieniu na Pawiaku i skazana na śmierć. Jednakże nie zgładzono jej i wypuszczono, co uznaliśmy za cud. To kilka przykładów życia pod nazistowską okupacją, kiedy nikt nie był bezpieczny od prześladowań. Wystarczyło być tylko Polakiem lub Żydem!

Kiedy mówimy o ludności żydowskiej w Przysusze – tak jak wspominałam wcześniej, 75% mieszkańców miasta było przed wojną Żydami (około 2500 osób). Przysucha była – obok Łańcuta – jednym z głównych ośrodków chasydyzmu w Polsce (ortodoksyjna gałąź judaizmu. Przyp.

E. P.) Niemcy założyli getto na przełomie roku 1941 i 1942. Powołali Judenrat (żydowską radę/zgromadzenie), który był w getcie organem rządzącym. Rozstrzelanie członków tej rady miało miejsce latem 1942 r., a potem, w ostatnich dniach października, rozpoczęła się likwidacja getta. Wszyscy Żydzi zostali wywiezieni furmankami do Opoczna, a stamtąd do obozu zagłady w Treblince.

Jestem przekonana, że domowe rozmowy między dorosłymi dotyczące wojny i szczególnie kwestii żydowskiej nie odbywały się w obecności dzieci. Miałam wtedy 4 lata i rozumiałam całkiem sporo. To, co pamiętam, było tym, co zobaczyłam – to musieli być Żydzi – próbujący wydostać się z getta w daremnej próbie ucieczki przed gestapo. Próbowali wspinać się na drzewa w naszym parku. Wydaje mi się, że słyszałam wystrzały broni, które mnie przestraszyły, kazano mi nie patrzeć i zostałam zabrana od okna.

Czas mojego Taty nadszedł na początku października 1940 r., kiedy miał spotkanie ze swoim zarządcą lasów, jakieś 10 kilometrów od domu, dostał wtedy informację, że gestapo (niemiecka policja polityczna) chce się z nim natychmiast widzieć. Wiedział, że chcą go aresztować, ale zdecydował się na powrót do domu, a nie na ucieczkę.

Opuszczenie mamy, która była w 8 miesiącu ciąży, swoją matkę, mnie i teściów byłoby nie do pomyślenia. Groziłyby nam poważne konsekwencje: prawdopodobnie obóz koncentracyjny lub śmierć. Ojciec rzeczywiście został aresztowany, przypuszczalnie z powodu jego powiązań z oddziałem Hubala ukrywającym się w lasach Przysuchy. Na początku został osadzony w miejscowym areszcie, a potem przetransportowany do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie w Niemczech.

Ojciec nigdy za bardzo nie chciał mówić o swoim tam pobycie. Wiemy, że pracował w kamieniołomie i skaleczył się wtedy poważnie w palec. Odesłano go do obozowej izby chorych, gdzie lekarz, który użalił się nad nim, trzymał Tatę w tym szpitalu tak długo, jak tylko mógł, infekując ranę i uniemożliwiając jej zaleczenie. Środkowy palec Taty pozostał sztywny po tej historii. Wleczony przez różne więzienia w Niemczech i Polsce i po utracie około 30 kilogramów wagi, mój wyniszczony i wychudzony ojciec został w listopadzie 1942 r. odesłany do domu.

Jestem prawie pewna, że pamiętam dzień, kiedy zabierano Tatę – miałam wtedy 2 i pół roku, ale musiało to być straszne doświadczenie dla

dziecka widzącego swojego ojca otoczonego wrogimi, umundurowanymi mężczyznami, którzy krzyczeli i popychali go. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak czuła się Mama, nie mogąc zrobić nic, aby zapobiec aresztowaniu. Po dwóch tygodniach urodził się mój brat. Nazwała go Piotr na cześć patrona św. Piotra w okowach, na drugie otrzymał Mścisław, co odnosi się do słowa „mściciel”. Pierwsze imię było symbolem opresji, drugie wzywało do zemsty. Mama próbowała wszystkiego, by wydostać Tatę z tych więzień i obozów koncentracyjnych, napisała nawet list do Hitlera – i otrzymała jakąś niejasną odpowiedź. Podziemna armia miała swoje powiązania z siłami okupanta i czasem udawało się wyciągnąć kogoś z obozu. Te „powiązania” to było igranie z ogniem dla ludzi podziemia, którzy próbowali przeniknąć do struktur niemieckich. Ci odważni mężczyźni i odważne kobiety ryzykowali każdego dnia swoje życie, a czasami musieli umrzeć, jeżeli wydało się kim są naprawdę. Całkiem przypadkiem w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku spotkałam pana Jana Petkowskiego, który podczas wojny był tajnym agentem i możliwe, że pomógł uwolnić mojego Ojca i rzeszę innych ludzi. Władze komunistyczne „odpłacili” mu po wojnie, skazując go na więzienie i karę śmierci za bardzo prawdopodobną kolaborację z Niemcami. W więzieniu spędził 7 lat, ale potem został zrehabilitowany.

Kiedy Ojciec powrócił w listopadzie 1942 r., miałam 4 i pół roku i ten dzień pamiętam na pewno. Tata miał po raz pierwszy zobaczyć dwuletniego już Piotra. Pamiętam, że bardzo się niepokoiłam i niecierpliwiałam, że go zobaczę. Brat i ja ubrani byliśmy na tę okazję w nowe, żółte, robione na drutach ubranka – Piotr miał spodenki, a ja spódniczkę. Czekaliśmy cały dzień i do późna wieczorem, dawno minął nasz czas pójścia do łóżek, a Tata nie przyjeżdżał. Myślę, że trzymano go w szpitalu w Radomiu (niedaleko Przysuchy), gdzie przechodził jakieś badania, był bardzo schorowany. Ku naszemu niezadowoleniu wysłano nas do łóżek i powiedziano, że zobaczymy go rano. Kiedy tylko wstaliśmy i założyliśmy znowu nasze żółte „święteczne” ubrania, pobiegliśmy, aby spotkać się z Ojcem, który czekał na nas w salonie. Pamiętam, że byłam kompletnie oszołomiona jego wyglądem, w ogóle go nie rozpoznałam. Wyglądał na bardzo schorowanego, twarz i ciało miał spuchnięte. Wy tłumaczono mi, że to z powodu głodu. To był słodko-gorzki powrót do rodziny. Tata był oczywiście mocno wzruszony z powodu zobaczenia po raz pierwszy swojego syna i mnie też, 2 lata starszej i 2 lata młodszej... Podczas nieobecności ojca matka musiała sama prowadzić

interesy w Przysusze, w raczej stresujących warunkach, nie wiedząc nawet, czy Tata żyje. Działała również bardzo aktywnie w ruchu oporu naszego regionu. Było wiele sytuacji, gdy w tym samym czasie, kiedy Niemcy byli w domu (a wielu z nich mieszkało tam na stałe), partyzanci wchodzili do kuchni, zabierając zapasy dla swoich współtowarzyszy w lesie.

Nie pamiętam wiele z tego okresu. Byłam zbyt mała, aby całkowicie pojąć tragizm sytuacji w Polsce. Nie czułam się zagrożona żadnym niebezpieczeństwem, dopóki wokół mnie była rodzina. Wiodłam życie małej dziewczynki, bawiąc się z przyjaciółmi ze wsi (jednym z nich był współautor tej książki) i ciesząc się wizytami kuzynów mieszkających w okolicy. Ekscytowałam się wizytą w Ruszkowicach, gdzie kuzyni Dembińscy z Borkowic mieszkali po tym, jak zostali wyrzuceni z rodzinnego domu przez Niemców. Żyli jak chłopskie dzieci, ujeżdżając konie, opiekowali się zwierzętami i tym podobne. Ich matka zmarła podczas porodu, zostawiając dzieci samym sobie. Ojciec ich, Stefan, działał bardzo aktywnie w polskim podziemiu. Ukrywał się praktycznie przez całą wojnę i nie był w stanie opiekować się dziećmi. Mieli nianię/gosposię, pannę Jadzię, która opiekowała się nimi i pozostała przy nich przez wiele lat. Była prawdziwą świętą, poświęcając całe swoje życie dla tej rodziny. Styl życia w Ruszkowicach zrobił na mnie wielkie wrażenie, był tak różny od tego, w jakim my żyliśmy. Konie i zwierzęta gospodarskie trzymane były w stajniach w Przysusze i oporzędzane przez fachowe ręce. Moim jedynym jeździeckim doświadczeniem było to, że siedziałam przed Mamą na koniu, kiedy ona udawała się na poranne przejażdżki. Myślę, że bałam się nawet jakiś bliższych kontaktów z krowami. Nie sądzę, by kuzyni zbyt lubili moje wizyty, nie byłam zabawna – panienka z pałacu, obawiająca się, aby się nie pobrudzić.

Przejażdżki z Mamą na jej koniu, kiedy dokonywała porannych inspekcji pól i sadów, były wielką przyjemnością. Przywołuję też w pamięci duży stół w jadalni, kiedy od czasu do czasu mogłam zjeść kolację z dorosłymi. Obsługiwał mnie wtedy Piotr, główny lokaj, w podeszłym już wieku, ubrany w nieskazitelny czarny strój i białe rękawiczki. Każdy uwielbiał Piotra, był bardziej przyjacielem niż lokajem. Myślę, że mój brat Piotr został nazwany na jego cześć. Jedzenie było transportowane specjalną małą windą z kuchni, która znajdowała się w piwnicy. Miejsce to zawsze mnie fascynowało. Nie pozwalano mi tam za często chodzić,

zwłaszcza samej, ponieważ wykonywano tam poważne prace, kręciło się wiele osób: kucharka, jej pomocnice oraz służąca od spiżarni. Jedna część piwnicy przeznaczona była na pralnię, gdzie wszystko prano ręcznie, suszono i dokładnie prasowano. Warto zauważyć, że bloki lodu do staromodnej „lodówki” pochodziły ze stawów (z Młynów – przyp. E. P.) zamrożniętych zimą, przechowywano je w podziemnym pomieszczeniu, przykrywano trocinami dla lepszej izolacji. (Ojciec współautora przechowywał tam lód dla swojej masarni, która mieściła się we dworze. Jako dziecko bywał w tym pomieszczeniu.) W ten sposób przez lato lód utrzymywał się w swoim pierwotnym stanie. Służył on do utrzymania w świeżości przechowywaną tam żywność.

Rodzice robili wszystko, by tradycje były żywe przez całą wojnę. Zawsze dostawaliśmy jakieś prezenty na nasze imieniny lub Boże Narodzenie. Na święta była olbrzymia choinka ustrojona dekoracjami sprzed wojny lub takimi, które my, dzieci, zrobiliśmy. Sklejaliśmy łańcuchy, robiliśmy gwiazdki, wycinaliśmy aniołki i temu podobne. Podczas jednych świąt Bożego Narodzenia dostałam miniaturę wozu drabiniastego ciągniętego przez kozę (w czasie wojny kucyki były niedostępne). Nie mogłam się doczekać, aby się nim przejechać, ale musiałam to odłożyć na długo, aż do wiosny. Eksperyment za bardzo się nie powiódł, bo koza postanowiła nie udawać konia i nie można jej było przekonać, by ruszyła do przodu.

Oczywiście co tydzień uczęszczaliśmy na każdą niedzielną mszę. Do kościoła jechaliśmy jednokonnym powozem. Tradycja specjalnego miejsca dla rodziny Dembińskich w pobliżu ołtarza kontynuowana była przez lata. W maju, poświęconym Najświętszej Maryi Pannie, domownicy gromadzili się przed jej figurką na specjalne modlitwy. Podobne modlitwy w różnych intencjach zanoszono w październiku, miesiącu różańcowym. Modlitwa była częścią naszego życia, Mama i Tata zanim utulili nas do snu, odmawiali wieczorem razem z nami pacierz. Z powodu trwającej wojny ciągle były powody, aby się modlić – za pokój, za pokonanie Niemców, za poległych i rannych żołnierzy, za bohaterów podziemnej armii.

Dom był zawsze pełen krewnych, uchodźców, których domy zostały skonfiskowane – wszystkich serdecznie przyjmowano, niektórzy przybywali na kilka dni, będąc w drodze do domów innej rodziny, niektórzy zostawali miesiącami. Bardzo byłam szczęśliwa, mając przy sobie w Przysusze obydwie moje babcie i dziadka. Mój wuj i ojciec chrzestny Jan Gołuchowski został administratorem lasów przysuskich. Lubiłam

odwiedzać jego i jego żonę, ciocię Zofię w ich leśniczówce. Zawsze było frajdą znaleźć się w lesie, zbierać grzyby i jagody. Z radością biegałam wokół domu, tam ciągle było coś interesującego do zobaczenia. Hm, jedna taka „wycieczka” zakończyła się w raczej nieprzyjemny sposób. Wpadłam do kloaki znajdującej się obok domu. Wynurzyłam się pokryta, wiecie czym, śmierdząc obrzydliwie. Długo musieli mnie czyścić. Od tej pory byłam o wiele uważniejsza, biegając przy budynkach leśniczówki. Siostra mojej Mamy, Zula, również mieszkała z nami, zanim nie wyszła za męża za wuja Stefana Libiszowskiego, uroczego kawalera, syna naszego sąsiada ze Skrzyńska k. Przysuchy, kuzyna naszego rodzinnego lekarza (Wacława Libiszowskiego. Przyp. E. P.).

Mój wuj Andrzej Dembiński razem ze swoją drugą żoną ciocią Zulą (z domu Gordziałkowska, siostra Netty Turner z Riverside w Kalifornii) oraz córeczką Krysią (która była w wieku mojego brata Piotra) także przebywali w Przysusze. Wuj Andrzej był bardzo przystojny i uroczy, lubił się z nami bawić. Bardzo dobrze pamiętam, jak do nas, dzieci mówił: „prędzej złamiecie sobie palec, a nie znajdziecie żadnego złota, jak będziecie tak dłużyć w nosie”. Niestety wuj umarł młodo, bardzo prawdopodobnie z powodu raka żołądka. Pani Wanda Gordziałkowska, mama cioci Zuli także u nas mieszkała. Bardzo ją lubiałam, dawała mi pierwsze lekcje języka francuskiego.

Brat i ja mieliśmy nianię, którą nazywaliśmy Baba. Myślę, że nie trwało to długo – nie lubiałam jej, zmuszała mnie do jedzenia na śniadanie ciepłej zupy mlecznej z kluskami, nie znośiłam tego i odmawiałam spróbowania nawet jednej łyżki. Aby wzmocnić moje stanowisko w tej kwestii, raz nawet włożyłam głowę do talerza, myśląc, że moje w nim włosy sprawią, że jedzenie nie będzie się nadawało do konsumpcji. Ale to nie zadziałało.

Bardzo dobrze pamiętam moją podróż do Warszawy – musiało to wyrzucić na mnie wielkie wrażenie. Pojechałam tam z Mamą, aby zobaczyć się z laryngologiem, ponieważ doktor Libiszowski uważał, że powinno mi się wyciąć migdałki. To było wczesną wiosną roku 1944, zanim wybuchło Powstanie Warszawskie. Powozem pojechałyśmy do pobliskiej stacji kolejowej, a potem pociągiem do Warszawy. Duże miasto wydawało mi się niesamowite; tak dużo ludzi na ulicach, tramwaje, samochody, wysokie budynki, hałas. Nigdy wcześniej nic takiego nie widziałam. Mama była w wielkim w pośpiechu, ponieważ oprócz wizyty u lekarza

miała inne rzeczy do załatwienia, ludzi do odwiedzenia i bardzo prawdopodobne, że i jakieś sprawy związane z działalnością ruchu oporu. Moje wrażenia z tej podróży to takie, że złapano mnie za rękę, nakazano iść szybko i patrzeć pod nogi z powodu mnogości ludzi i roztluczonego szkła z okien suterren.

Pamiętam też, że na kilka godzin zostawiano mnie z różnymi krewnymi: moją kuzynką Renią Chłapowską (właśnie ta, która została skazana na śmierć przez gestapo, a którą ostatecznie zwolniono). Była starsza ode mnie o 17 lat, mieszkała w Warszawie i ugotowała dla mnie pyszną zupę pomidorową. Zabawne, ale ciągle pamiętam, jak bardzo podobał mi się zapach tej zupy i do dnia dzisiejszego utożsamiam ten aromat z popołudniem spędzonym z Renią. Poszłam na wizytę do sławnego specjalisty, który kazał nam powrócić w sierpniu, kiedy pogoda będzie cieplejsza, a ja chętniej będę jadła większe ilości lodów i piła zimne napoje po usunięcia migdałków.

Moja siostra Elżbieta urodziła się w lipcu 1944 r. Wojna huczała, plotki o nadciągającym Powstaniu Warszawskim przekazywane były z ust do ust. Jestem pewna, że moi rodzice bardzo martwili się o nas, dzieci, a szczególnie o nowo narodzone maleństwo. Oczywiście nigdy nie wróciliśmy do Warszawy, a moje migdałki pozostały nienaruszone... 1 sierpnia 1944 r. rozpoczęło się Powstanie Warszawskie i sterroryzowany naród obserwował rozprzestrzeniającą się heroiczną walkę. Zginęło wtedy wielu przyjaciół i krewnych z naszej rodziny, niektórzy byli nastolatkami.

Do Przysuchy przybyła kolejna, druga już i olbrzymia fala uchodźców. Wśród nich była rodzina współautora. Exodus trwał od lata do października, kiedy skapitulowali powstańcy, a mieszkańcom Warszawy Niemcy nakazali opuścić stolicę. W tym czasie okupant metodycznie zaczął niszczyć miasto, podpalając dom po domu. Armia rosyjska, zajmująca pozycje na drugim brzegu Wisły, na wyraźne rozkazy z Moskwy nie pomogła w Powstaniu Warszawskim, nie zrobiła nic, aby zapobiec zniszczeniu. Dom naprawdę pękał w szwach, ludzie spali wszędzie, nikomu nie odmówiono jedzenia i schronienia.

W tym czasie do Przysuchy przybyły rodziny Burhardtów i Mickiewiczów, mężczyźni musieli ukrywać się w lesie, gdyż to oni byli najbardziej poszukiwani przez Niemców jako znaczący działacze podziemia. Ich

żonom i dzieciom zaoferowano zakwaterowanie w jednym z budynków administracyjnych. Wszyscy przetrwali wojnę i pozostali dobrymi przyjaciółmi moich rodziców. Kris Burhardt często bawił się ze mną i Piotrem. Ponownie spotkaliśmy się z Krisem w Minneapolis, gdzie mieszka od 40 lat, ma dwie córki i kilkoro wnucząt. Jego matka aż do śmierci mieszkała na Żoliborzu, więc od czasu do czasu składaliśmy jej wizyty.

Pod koniec roku 1944 miałam prawie 7 lat i wydarzenia ostatnich etapów wojny mocno zapadły mi w pamięci. Z zapisków mojego ojca wynika, że w lasach przysuskich bardzo aktywnie działała siatka ruchu oporu, a moi rodzice przez cały czas byli w bliskim kontakcie z tymi grupami. Ryzyko było olbrzymie. To w tamtym czasie Niemcy urządzili „polowanie” na partyzantów w leśniczówce Rawicz, gdzie została rozstrzelana grupa 11 partyzantów. Aresztowano gajowych zatrudnionych u hr. Dembińskiego. Ich domy zostały podpalone. Moi rodzice udali się do szefa miejscowego gestapo i udało im się uwolnić tych ludzi. Wszystko to było ciągłą wojną nerwów, rodzice mogli zostać wtedy aresztowani, ale czuli, że muszą spróbować pomóc swoim pracownikom. Inną akcją partyzancką był atak na siedzibę gestapo przy Polskim Rynku (obok kościoła). Ojciec był przekonany, że naziści oskarżą go o współudział w tym napadzie. Zdecydował się jednak pozostać na miejscu, a nie uciekać, czy się ukrywać. Jego decyzja okazała się słuszna, ponieważ Niemcy, oprócz kilku przesłuchań, zostawili ojca i innych mieszkańców miasteczka w spokoju.

Wydarzenia początku roku 1945 potoczyły się bardzo szybko. Niemcy wycofywali się w pośpiechu, a rosyjska armia deptała im po piętach. To był szczególnie mroźny styczeń i, co bardzo dobrze pamiętam, całkiem spory oddział Niemców rozlokował się w całym domu. Dowódcy rozkazali opuścić wszystkie pokoje, oprócz dwóch lub trzech pomieszczeń na piętrze i mieli nadzieję trochę się przespać przed czekającą ich długą i żmudną podróżą. Nawet zaproponowali rodzicom, aby i oni uciekali z nimi do Niemiec. W domu znajdowało się tajne radio i wiedzieliśmy, że Rosjanie są bardzo, bardzo blisko, ale Niemcy o tym nie wiedzieli. Musieli być bardzo wyczerpani, bo zdjęli mundury, jakby nic nie miało zakłócić im snu. Kilku rannych żołnierzy położono w piwnicy. My, rodzina, ściśnięta w kilku pozostawionych pokojach na piętrze, próbowałam zasnąć. W środku nocy usłyszeliśmy strzały i chwilę potem dwa pociski przeszły powietrze nad moją głową.

Wszyscy byli przerażeni, a rodzice polecieli rodzinie i wszystkim, którzy wtedy przebywali z nami, aby zbiec do piwnicy, która posłużyła nam jako schronienie. Kiedy zbiegaliśmy na dół, wielu niemieckich oficerów, w półśnie, prawie nie ubrani, bo tylko w bieliznie, mijało nas, próbując uciec. W tym czasie Rosjanie byli w pobliżu miasteczka, atakując znie-nacka. Dał się słyszeć gwiżdżący dźwięk artylerii i karabinów maszyno-nych, a niebo było rozświetlone.

Bałam się wtedy naprawdę i był to pierwszy raz, kiedy nie czułam się bezpiecznie i zastanawiałam się, czy coś okropnego nam się nie przy-trafi. Nawet rodzice nie wyglądali pewnie. Niemcy nie uciekli za daleko, nie mogli uruchomić swoich aut z powodu siarczystego mrozu tej nocy. Prawie wszyscy z nich zginęli w naszym parku zabici przez Rosjan, któ-rzy natychmiast wdarli się do domu, ustanawiając w nim swoją główną kwaterę. Pierwszą sprawą, którą się zajęli, byli ranni Niemcy przebywa-jący z nami w piwnicy. Nie zaprzęтали sobie głowy, by traktować ich jak jeńców, raczej wywlekli na zewnątrz i rozstrzelali.

Następnego ranka pozwolono nam wyjść na dwór, aby zaczerpnąć trochę „świeżego powietrza” po długim przebywaniu w piwnicy. Poszliśmy na spacer z jakąś nianią. Pogoda była wspaniała, roziskrzy-ny zimowy poranek, świecące słońce, mnóstwo świeżego śniegu. Jakiż to był kontrast z tym, co było wokół. Wszędzie pełno zamarzniętych ciał w morzu krwi. W większości nagie, bo Rosjanie obsłużyli się sami, zabierając ze zwłok wszystko, co mogli zabrać, nawet bieliznę. Trzeba zauważyć, że rosyjscy żołnierze, maszerując na zachód przez Polskę do Berlina, byli ubrani bardzo biednie, ich mundury podobne były do po-szarpanych łachmanów, byli zmarznięci, wyczerpani i głodni. Zażądali rozmowy z właścicielami majątku – moimi rodzicami. Rozmowy wy-magały mocnego picia – wódki oczywiście. Dowódca oddziału zare-kwirował wszystką pozostałą żywność, a maszerująca armia zabrała cały możliwy żywy inwentarz, taki jak świnie, krowy, kury itp. Trudno było uchować żywność, której desperacko potrzebowano dla tak licz-nej rodziny oraz pozostałych mieszkańców domu. Niektórzy oficerowie szukali „miłości”, więc moje młodsze ciocie miały zakaz opuszcza-nia swoich pokoi w obawie przed ewentualnym molestowaniem.

Dodatkowo na parterze domu Rosjanie zorganizowali szpital polowy. Po pewnym czasie z Lublina przyjechali przedstawiciele polskich władz komunistycznych, miasta, gdzie utworzono nowy rząd po auspicjami

sowieckiej Rosji. Oni również przebywali w domu i pili wódkę z moimi rodzicami, którzy musieli udawać, że dobrze się bawią, podczas gdy całkowicie byli zdegrustowani sytuacją. Musiano działać ostrożnie, ponieważ każde słowo mogło być odebrane jako wrogie i za ten brak szacunku można było znaleźć się w rękach NKWD (tajne rosyjskie służby), tych jednostek, które cały czas towarzyszyły rosyjskiej armii. Dokładnie to przytrafiło się mojemu Ojcu. Został wezwany razem z wujem Janem Gołuchowskim i miejscowym aptekarzem (Stanisławem Pawelskim – przyp. E. P.), który był głównym człowiekiem w antyniemieckim ruchu oporu w tym regionie, do siedziby NKWD w Przysusze. Po kilku godzinach przesłuchań Ojca i wuja wypuszczono, a aptekarz został deportowany do Związku Radzieckiego (wielce prawdopodobne, że na Syberię), gdzie spędził dwa lata.

Rodzice uświadomili sobie, że koniec wojny przynosi ze sobą koniec stylu życia, jaki do tej pory znali. W rezultacie konferencji w Jałcie wszystkie zwycięskie mocarstwa (Stalin, Roosevelt i Churchill) zdecydowały, że granice Polski zostaną przesunięte na zachód, a komuniści, umocowani przez Związek Radziecki Stalina, mieli rządzić Polską przez więcej niż 50 lat.

Łódź

Kiedy rodzice dowiedzieli się, że miasto Łódź zostało przejęte przez sowiecką armię, zdecydowali, że powinniśmy rozważyć tam przeprowadzkę, bo już było pewne, że będziemy wyeksmitowani z naszego domu w Przysusze. Największą koniecznością było znalezienie miejsca do życia, a dla rodziców również pracy, aby utrzymać rodzinę składającą się z sześciu osób (była z nami Babcia Zofia Dembińska). Tata w pośpiechu udał się do Łodzi, aby wy badać sytuację. Miał wielkie szczęście, ponieważ spotkał tam kuzyna Alexandra Wielopolskiego, który właśnie wprowadził się do dużego mieszkania na głównej ulicy (ul. Piotrkowska – przyp. E. P.), znajdującego się w nowoczesnym budynku porzuconym przez uciekających Niemców. Kuzyn powiedział, że na parterze ciągle jest wolne mieszkanie. Tata szybko tam poszedł i „zaklepał” to miejsce.

W marcu 1945 roku nakazano nam opuścić Przysuchę. Nie dano nam też zbyt dużo czasu, aby zebrać nasze rzeczy, ale miejscowa ludność była niesamowicie pomocna w odbieraniu od nas do swoich domów najcenniejszych rzeczy i wartościowych przedmiotów na bezpieczne przechowywanie. Nowe władze rozparcelowały majątek pomiędzy pracowników gospodarstwa, niektórzy z nich nie chcieli przyjąć ziemi z powodu dobrych obyczajów i czystej lojalności, szczególnie wobec Babci.

W końcu pewnego deszczowego dnia w marcu zapakowaliśmy się na rosyjską ciężarówkę (mogę tylko wyobrazić sobie, ile wódki trzeba było, by przekupić naszych rosyjskich „przyjaciół”), aby wyruszyć i rozpocząć nowe życie w Łodzi.

W mieście tym wszystko było nowe i tak inne od tego życia, które znałam wcześniej, mieszkając na prowincji. Ulica Piotrkowska, gdzie znajdowała się nasza kamienica, była bardzo ruchliwa – tramwaje, samochody, ciężarówki i dorożki. Biorąc pod uwagę, że nasze mieszkanie znajdowało się na parterze, a większość okien skierowana była w stronę ulicy, hałas był znaczny i ciężko było się przyzwyczaić. Tak czy inaczej miejskie życie wydawało się całkiem interesujące. Razem z Piotrem lubiliśmy jeździć tramwajem. Mieliśmy również mnóstwo nowych zabawek pozostawionych w mieszkaniu przez uciekających Niemców. Z tyłu naszego budynku znajdował się dość spory ogród z drzewami i trawnikiem. Rodzina naszych kuzynów trzymała tam krowę, dzięki temu było świeże mleko dla obydwu rodzin. My, dzieci, po kolei pilnowaliśmy przywiązanej do drzewa krowy, kiedy ta się pasła. Rodzice pilnie szukali jakiejś pracy, gdyż zasoby gotówki były bliskie zeru. Sprzedali parę cennych rzeczy, które wywieźli z Przysuchy (kilka bardzo starych książek i jakiś obraz, czy nawet dwa). Tata znalazł pracę na pocztce, a mama zajęła się wypiekami ciast do modnej kawiarni „Honoratka”, miejsca, gdzie przychodzili aktorzy, malarze i wszelkiej maści artyści. W tym miejscu muszę wyjaśnić, że Łódź nie została zniszczona podczas wojny i będąc raczej blisko Warszawy, miała do zaoferowania wiele lokali do zamieszkania (opuszczone kamienice i domy). Było też dużo wolnych miejsc pracy w teatrach, restauracjach, kawiarniach itp. Warszawa była w ruinach wtedy w roku 1945 i nie było pewne, czy kiedykolwiek będzie odbudowana i na nowo stanie się stolicą kraju. Łódź stała się Mekką dla artystów i w tamtym czasie była ważnym centrum kultury. Wszyscy byli młodzi, pełni euforii z powodu nowej wolności i każdy chciał się

dobrze bawić. Widmo komunizmu jeszcze nie zagnieździło się w ludzkich umysłach. Wszyscy wierzyli w wolną, demokratyczną Polskę, która powstać z popiołów. Ludzie mocno świętowali, moi rodzice również. Ciągłe młodzi, zdrowi, patrzący z ufnością w przyszłość, chociaż nie mogli zapomnieć, że dotknęło ich okropne doświadczenie wyrzucenia przez nowe władze z własnego domu. Pamiętam kilka imprez w naszym mieszkaniu, trwających do świtu. Imprezowicze byli głośni, pili wódkę i wznosili toasty za niepodległość. A ja i brat mieliśmy spać w tej wrzawie, co było raczej trudne.

Wracając do ciast – uwielbiałam pomagać Mamie w ich wypieku, przygotowując ciasto, nadzienie, wkładając gotowe produkty do pudełek i zanosić je do różnych kawiarni. Mama często zatrzymywała się tam na filiżankę kawy, aby porozmawiać z interesującymi ludźmi, a ja obok, jak ogonek. Bardzo lubiłam te wyjścia, czułam się taka dorosła, mając 7 lat. Uwielbiałam wylizywać naczynia po tym, jak ciasto znalazło się w piecyku. Zresztą lubię to robić i dziś.

Rodzice zdecydowali, że najwyższy czas, abym poszła do Pierwszej Komunii Świętej. Zapisali mnie na nauki w miejscowym kościele. Nie znałam tam nikogo i czułam się bardzo wyobcowana, szczególnie z powodu mojego ubrania, które było tak inne od tego, które miały wszystkie dzieci, ostatecznie przyjechałam prosto ze wsi. Najgorszy był okropny kapelusz, który musiałam założyć do kościoła, myślę, że to był pomysł mojej ukochanej babci. Chciała dla mnie jak najlepiej, ale w tej kwestii chybiła. Dzień Pierwszej Komunii był wiosną. Ktoś uszył mi sukienkę z białej firanki, wydawała mi się całkiem ładna, ale czułam się jak Kopciuszek i nie mogłam skupić się na najważniejszym aspekcie tej religijnej uroczystości.

Zostałam wysłana do szkoły – miałam iść do klasy drugiej, w domu w Przysusze uczona byłam przez Mamę, ale to były wojenne czasy i nauka nie była regularna. Byłam całkiem dobra z francuskiego, to było zaślugą babci i pani Gordziałkowskiej, mamy mojej ciotki, która spędziła z nami w Przysusze całą wojnę.

W Łodzi ktoś zarekomendował prywatną małą szkołkę, mieszczącą się w kamienicy, krótki przejazd tramwajem od naszego domu. Dyrektorką była starsza emerytowana nauczycielka. Do tej szkoły zapisano się tylko kilkoro dzieci. Mama przywiozła mnie tam, abym napisała prosty

tekst, by dowiedzieć się, czy dam sobie radę w klasie drugiej. Bałam się śmiertelnie, nigdy wcześniej nie zdawałam żadnego testu i przypuszczałam, że z pewnością nie uda mi się, więc przepisałam całe zadanie z matematyki od chłopca, który siedział obok. Oczywiście przyłapano mnie na ściąganiu, bo chłopak napisał wszystko źle. Zawstydziałam się i poczułam się jeszcze bardziej niepewnie. Mimo wszystko uroczą starszą nauczycielką wzięła mnie pod swoje skrzydła i zostałam dumną drugoklasistką. Każdego ranka jechałam sama tramwajem do szkoły. Teraz byłam już dziewczyną z miasta.

Wiosną 1946 roku urodziła się moja siostra Joanna.

Uczniowie z mojej drugiej klasy przygotowywali się do Pierwszej Komunii, tylko ja jedna nie, ponieważ już do niej przystąpiłam. Pozwolono mi uczestniczyć w uroczystości, ale nie mogłam założyć tradycyjnej sukienki tylko białą bluzkę i granatową spódniczkę. I znowu czułam się jak Kopciuszek. Wyobrażałam sobie, że każdy myśli, że moich rodziców nie stać na właściwe ubranie dla mnie. Teraz to nie ma dla mnie znaczenia, ale wtedy myślałam, że Rodzice są bez serca. Brat Mamy Wuj Jan Gołuchowski, inżynier leśnictwa, pracował blisko Poznania w oddziale Lasów Państwowych. Tymczasowo mieszkał ze swoją żoną i dziećmi w rządowej rezydencji porzuconej przez niemieckich właścicieli. To właśnie tam wysłano mnie z Piotrem na wakacje w 1946 roku. Wspaniale bawiliśmy się w parku i pływaliliśmy w rzece Warcie. Najważniejsza jednak była zabawa w udawanie powieszenia nazistowskiego gubernatora w Poznaniu (tak zwanego gauleitera), którego w tamtych dniach rzeczywiście powieszono na rynku w Poznaniu. Mówię o tym, aby pokazać, jak normalne wydawało się to nam, małym dzieciom, by bawić się w ten sposób, mieć świadomość znieprawdopodobnych nazistowskich zbrodniarzy i dążyć do ukarania ich.

Ogólnie lubiłam moje życie w Łodzi, poznałam nowych przyjaciół w szkole i byłam dość dobrą uczennicą. Nie przypominam sobie, abym więcej ściągała po tej wstydlivej pierwszej przygodzie. Dużo bawiliśmy się z chłopcami rodziny Wielopolskich, którzy mieszkali nad nami. W tym czasie w Łodzi mieszkali też Dembińscy z Borkowic, sześcioro rodzeństwa, z których najstarszy był Stefan, a najmłodsza – Inia, rok ode mnie starsza; matka ich zmarła przy porodzie Inii. Z Inią Dembińską stałyśmy się bliskimi przyjaciółkami. Często zostawałam u nich na noc. Ich rodzina była uroczą, starsi chłopcy cały czas myśleli o robieniu

psikusów ludziom na ulicy. Na przykład wywieszali atrakcyjnie zapakowany pakunek z balkonu nad chodnikiem. Paczuska była przywiązana ledwie widoczną nicią. Gdy przechodnie już-już sięgali po zawiniątko, ono zaczynało się poruszać. A jeśli komuś w końcu udało się złapać, znajdowali w środku zdechłą mysz lub coś równie ohydneho.

W naszej kamienicy było całkiem sporo dzieci, z którymi się często bawiliśmy. Od czasu do czasu walczyliśmy z dziećmi z przyległego budynku, nierzadko rzucaliśmy w siebie kamieniami. Używaliśmy też proc i haczykami strzelano we „wroga” (kodeks honorowy mówił „nie strzelać powyżej kolan”).

Rodzice próbowali stworzyć nam szczęśliwe dzieciństwo i udało im się to. Nie wtajemniczali nas w takie informacje, jak ciężko im było związać koniec z końcem. Na stole zawsze było jedzenie, nie tylko dla nas, ale i innych krewnych, którzy często nas odwiedzali. W tym czasie mieliśmy jako dzieci nikłą świadomość mroku i opresji reżimu, który powoli, ale mocno zacisnął pętlę na kraju i obywatelach. Oddalało się marzenie o wolnej i niepodległej Polsce. Pierwsze powszechne wybory przeprowadzono 19 stycznia 1947 r. Według proklamacji z konferencji w Jałcie podpisanej przez „wielką Trójkę” (Roosevelt, Churchill i Stalin) wybory te miały być wolne i uczciwe, ale nic takiego nie miało miejsca. Rządząca komunistyczna Polska Partia Robotnicza z 235 000 członków stanęła do wyborów z 600 000 zwolennikami Stronnictwa Ludowego. W czasie trwającej kampanii wyborczej zaczęły się masowe aresztowania członków tej drugiej. Katolicy księża pouczali wierzących, aby głosować przeciwko komunizmowi, ale ludzie byli zastraszani i pozostali bezczynni. Przestraszony elektorat poinformowany został o oficjalnych wynikach, które dawały 394 miejsc w parlamencie dla bloku rządzącego, przeciwko 28 miejsc dla Stronnictwa Ludowego, którego lider został fałszywie oskarżony o zмовę z antykomunistycznymi elementami i zmuszony do ucieczki z kraju. (Był nim premier rządu Stanisław Mikołajczyk. Ucieczka miała dramatyczny przebieg. Z Warszawy do Gdyni został przewieziony samochodem ambasady amerykańskiej, a stamtąd, po „przeszmugłowaniu” go na statek, dostał się do Anglii. Przyp. E. P.)

Tata znalazł zatrudnienie w zarządzie przemysłu papierniczego dzięki pomocy szwagra, wuja Stefana Libiszowskiego, męża siostry mamy. Wuj był specjalistą w tej branży i zajmował ważne stanowisko w biurze w Łodzi. W tym miejscu trzeba wyjaśnić, że zaraz po wojnie nowy rząd

bardzo potrzebował specjalistów praktycznie we wszystkich przemysłach i mimo wszystko chętnie przyjmowano ludzi, którzy wcale nie byli komunistami. Dziadziuś (właściwie pradziadek) Olgierd Gorzkowski jest tego doskonałym przykładem, został powołany na stanowisko głównego dyrektora biura badań i rozwoju obsługującego cały przemysł tekstylny. Rok lub dwa później wyrzucano ich z tych stanowisk jako „wrogów proletariatu”. Niektórzy fałszywie oskarżeni byli nawet osadzeni w więzieniu za szpiegostwo, sabotaż, nazwać to można, jak się chce.

Mieszkalam w Łodzi do roku 1948. Okazało się, że firma Taty przeniosła go do Warszawy, gdzie zdecydowaliśmy przenieść się całą rodziną. Warszawa w tym czasie była dosłownie cała w ruinach, mimo że od zakończenia wojny minęły już 3 lata. Wiadomo, że miasto praktycznie przestało istnieć, po tym, jak po upadku Powstania Warszawskiego Niemcy palili dom po domu. Odbudowa odbywała się w niesamowitym tempie, ale ciągle tak wiele jeszcze było do zrobienia. Wszyscy podchodzili z entuzjazmem i wielką ochotą do pomocy. Ludzie niezależnie od ich politycznych poglądów łączyli się we wspólnym wysiłku oczyszczania ulic z gruzu, przynoszenia cegieł na place budów, oferując swoje usługi jako murarze, hydraulicy, elektrycy itp. Odbudowa Warszawy, by na nowo stała się miastem stołecznym, była celem każdego.

Tata wyjechał wcześniej i szukał dla nas mieszkania. Udało mu się odzyskać trochę cennych dzieł sztuki i książek, które były na przetrzymaniu u zaufanych poprzednich pracowników czy mieszkańców Przysuchy. Sprzedał większość tej kolekcji, co dało mu środki na odbudowę mieszkania na piątym piętrze spalonej kamienicy na Mokotowskiej 51/53. To mieszkanie stało się centrum naszego życia w Warszawie na długie lata.

Do stolicy wysłano mnie pociągiem, całkiem samą, chyba w sierpniu 1948 r., abym mogła rozpocząć piątą klasę w publicznej szkole niedaleko od domu. Byłam bardzo nieszczęśliwa z powodu tej przeprowadzki. Właśnie zaczęłam się w Łodzi czuć dobrze. Lubiłam miasto, szkołę i przyjaciół. Ale nie miałam wyboru, więc wsiadłam do tego pociągu z bardzo mieszanymi uczuciami. Reszta rodziny pozostała jeszcze w Łodzi pod opieką Cioci Zosi, siostry Taty i oczywiście babci Zofii Dembińskiej (Babuni Przysuskiej).

Wczesne lata w Warszawie

Mieszkanie na Mokotowskiej wydawało mi się luksusowe; wszystko było nowiutkie, piękne drewniane podłogi, świeżo pomalowane ściany, przestronne pokoje, duży balkon. Było mało mebli, więc przestrzeń wydawała się jeszcze większa. Tata, Mama i ja spaliśmy na rozkładanych łóżkach, było kilka krzeseł i stolik. Wybraliśmy się rozejrzeć się po sąsiedztwie. Szczęśliwie ulica Mokotowska została ocalona od niemieckich bomb, bo oprócz tego miejsca wszędzie były ruiny. Widok mnie przeraził, chociaż wiedziałam, co przytrafiło się Warszawie podczas wojny. Stopniowo zaznajamiałam się z ulicami wokół naszego domu, chodziłam do pięknego Parku Ujazdowskiego, który wyglądał, jakby nigdy nie był dotknięty zniszczeniem. W końcu nadszedł czas, aby przedstawić mnie dyrektorce mojej nowej szkoły. Okazała się nią być miła starsza pani, która powiedziała nam, że była nauczycielką przez wiele lat przed wojną. Ta informacja spodobała się mojej Mamie, bo mogła być pewną, że przynajmniej ta kobieta nie będzie traktować mnie jak „wroga ludu”. Przeciwnie, zaczęła czule nazywać mnie „Anisią”, co mi się nie spodobało. Do dnia dzisiejszego mój syn Maciek (który przez lata był Mattem, a ostatnio powrócił do swojego nadanego imienia) nazywa mnie czasami Anisią, szczególnie wtedy, gdy chce mnie zdenerwować.

W tym miejscu trzeba wyjaśnić, że 1948 roku komunistyczny reżim zaczął zakotwiczać się w państwie, a aura podejrzeń i braku zaufania wśród ludzi wyczuwana była w powietrzu. Szeptano w pracy, szkołach, nawet w autobusach i tramwajach, mówiono, że była to robota „pasożytów” żerujących na klasie robotniczej. Miałam dziesięć lat i byłam pouczona przez Rodziców, aby być ostrożną w szkole, w tym co mówię o mojej rodzinie. Mieli nadzieję, że przynajmniej na początku nikt nie dowie się, że jestem córką byłego właściciela ziemskiego. Anonimowość nie trwała długo, niektóre dzieci przeżywały mnie „małą hrabianką”, kiedy chciały mi dokuczyć.

Ogólnie rzecz biorąc, lubiłam swoją szkołę, przyjaciół i prawie wszystkich nauczycieli. Na początku ciągle jeszcze funkcjonowała organizacja harcerska. Nawet raz zorganizowano letni obóz, gdzie każdego ranka i wieczora był pacierz. Jednakże szybko to się skończyło i w tym czasie zdjęto wszystkie krzyże ze szkolnych ścian, a zawieszono portrety przywódcy

partii komunistycznej. Zorganizowano nowy skauting, wzorując się na organizacji pionierów ze Związku Radzieckiego. Niektórzy tacy organizatorzy przyszli do szkoły i zostałam wybrana na szefową zastępu nowego harcerstwa. Oczekiwano od nas noszenia czerwonych chust i zbiorów, które miały przypominać zebrania partii komunistycznej. Rzadko pozwalano na jakieś zabawy czy zwyczajne zajęcia skautowskie. Zwykła nuda. Przynależność do tej organizacji stała się dla mnie bardzo trudna. To wszystko miało miejsce chyba w szóstej klasie, a przy najmniej tak mi się wydaje. W końcu zostałam wezwana przed oblicze nieznanym mi ludzi (prawdopodobnie członków urzędu bezpieczeństwa) i kazano mi złożyć raport o moich nauczycielach. Interesowano się, co ci ostatni mówią na lekcjach i poza nimi. To dopełniło miary. Mimo że byłam bardzo przestraszona, odmówiłam, wzbudzało to we mnie wstręt. Oczywiście łagodnie się wytłumaczyłam, że nauczyciele nigdy przy nas nie rozmawiali o czymś ważnym.

Do tego czasu cała moja rodzina przeprowadziła się do Warszawy, a brat Piotr także poszedł do szkoły. Zaprzyjaźniłam się blisko z Gaby Karską, która jest o rok starsza ode mnie. Do naszej szkoły chodziła także jej siostra Bessie. Ich arystokratycznie brzmiące imiona zdradzały ziemiańskie pochodzenie. Bardzo lubiłam i lubię Gabi. Gdy okazało się, że jesteśmy dalekimi krewnymi, natychmiast stałam się podejrzana o niewłaściwe pochodzenie. Znalazłam się w kręgu podejrzeń „organizacji”. Co więcej, mama Gaby nie nosiła okularów, ale lorgnon, co było wtedy, w 1949 r., dość ekscentryczne. Przychodziła do naszej klasy, szukając swojej córki i z mocnym francuskim akcentem pytała: „czy jest tutaj Gaby Karrrrska?”. Kuliłam się w sobie, bo wszystkie oczy skierowane były na mnie i zaczynano się śmiać.

Rodzina Karskich mieszkała blisko nas. Spędzałam dużo czasu z Gaby i zawsze będę jej wdzięczna, że była tak dobrą przyjaciółką, wtedy zwłaszcza, gdy sprowadziłam się do Warszawy. W klasie miałam dwie bliskie przyjaciółki, Ewę i Basię. Obie mieszkały całkiem blisko naszego domu. Spędzałyśmy razem mnóstwo czasu, głównie w ich domach, jako że obie były jedynaczkami i u nich było znacznie spokojniej. Mieszkanie na Mokotowskiej zawsze pełne było ludzi; wielu krewnych przyjeżdżało do Warszawy z Krakowa, Łodzi, Poznania. I oczywiście nas, dzieci było pięcioro, bo w 1950 r. urodziła się moja siostra Marta. Mama Basi zrobiła dla naszej trójki czerwone czapeczki i paradowałyśmy w nich przez całą zimę. Te czapki były symbolem naszej wiecznej przyjaźni. W mojej klasie było kilku niegrzecznych chłopców i przed szóstą klasą stali się naprawdę denerwujący – popychali i szturchali,

szczególnie dziewczynki. To oznaczało, że dochodziło do walk z niektórymi z nas. Było kilka wysokich i silnych dziewczyn, jak choćby ja, albo taka Danka i jeszcze jedna, której imienia nie pamiętam. Regularnie biliśmy się z chłopcami i po jakimś czasie zyskałyśmy ich szacunek. Miałam jednego romantycznego wielbiciela, miał na imię Krzysiek. Przesłał mi wiadomość przez przyjaciółki, że jeśli nie będę go kochać, to popełni samobójstwo i wyskoczy z okna. Przeraziłam się na serio i skonsultowałam z koleżankami, co robić. Jedna z sugestii wskazywała, że powinnam mu okazać trochę zainteresowania, aby tylko uratować jego życie. Oczywiście wszystko dobrze się skończyło i nie musiałam za długo udawać. Wielce prawdopodobne, że on ciągle żyje i ma się dobrze.

Moją ulubioną formą rozrywki w czasie wolnym była zabawa w ruinach Zamku Ujazdowskiego, który znajdował się blisko mojej szkoły, teraz jest odbudowany i znajduje się w nim Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Razem z kolegami uwielbialiśmy przeszukiwać podziemne korytarze i groty, bawiąc się w chowanego. Rodzice nie wiedzieli o tych eskapadach, z pewnością by się na nie nie zgodzili. Całkiem niebezpieczne było skakanie po tym gruzie i ruinach, łatwo mogło się zaważyć i zasypać nas na śmierć. Ale to były takie niektóre zabawy powojennych dzieci. Dreszczyk nieznanego – może jakieś szkielety, może duchy tak bardzo kusiły nas, że nie mogliśmy zaprzestać eksploracji. Naprawdę nie znosiłam lekcji wychowania fizycznego. Zmuszali nas do ćwiczeń na sprzęcie gimnastycznym i będąc raczej otyłą i niezdarną dziewczynką, ciągle mi się nie udawało wykonać tych ćwiczeń poprawnie. Jednym z ćwiczeń było wspinanie się na drabinki przymocowane do ściany z użyciem tylko rąk. Przez jakiś czas wytrzymywałam, a potem łądowałam na podłodze w bezsilności ciała i ze zranionym ego.

Innym razem biegaliśmy po sali gimnastycznej i trzeba było zatrzymać się przy ścianie, a że nosiliśmy filcowe kaptcie, ciężko było wytracić szybkość. Przy pełnej prędkości tak uderzyłam w tę ścianę, że w rezultacie złamałam oba nadgarstki. Nałożono mi gips na dłonie i ręce aż do łokci. Z początku pomyślałam: „wspaniale, sześć tygodni bez szkoły”. Niestety, rodzice zdecydowali, że opuszczenie szkoły nie wchodzi w grę i ostatecznie musiałam cierpieć i to bez żadnych widocznych korzyści. Co więcej, to był bardzo gorący miesiąc i to było okropne, że nie mogłam bawić się na dworze.

W 1950 roku zdecydowałam się pisać pamiętnik, okazał się krótkotrwałym zamiarem, ale teraz daje mi on migawkę z „jednego dnia z życia” dwunastolatki tamtych czasów. Wydaje się ona cieszyć małymi przyjemnościami

jazdy na sankach, ale trochę martwić szkołą i jawnie nudzić się na tak zwanych spotkaniach harcerskich. Zaczęłam także pisać powieść. Musiałam być pod wielkim wrażeniem historii z Dzikiego Zachodu z powieści Karola Maya (był Niemcem, nigdy nie odwiedził Stanów Zjednoczonych i najprawdopodobniej pisał swoje książki w więzieniu). Dzieci w moim wieku czytały wszystko tego autora, co tylko było dostępne, a jego najbardziej znaną książką była „Winnetou” o wielkodusznych białych i dzikich, ale równie szlachetnych Indianach. Moja powieść rozpoczyna się w Anglii, a główny bohater, dziewczyna oczywiście, jedzie z rodziną na wakacje do „południowoamerykańskiej dżungli”. Przygotowuje się do spotkania z Indianami, biegle posługuje się łukiem i strzałą, których zamierza użyć na polowaniu na dzikie zwierzęta... Książka za daleko się nie rozwinęła, musiałam być czymś bardziej zajęta.

W pewnym momencie Tata zmienił pracę i rozpoczął nową w Biurze Urbanistycznym Warszawy. Ich bar szybkiej obsługi, z którego korzystali, znajdował się w pobliżu naszej szkoły, więc razem z Piotrem często jedliśmy tam obiady. Innym kulinarnym doświadczeniem było jedzenie koniny w taniej restauracji blisko domu. Ledwie na to Rodzice mogli sobie pozwolić.

W domu mieliśmy gosposię, którą nazywaliśmy panią Korcią (Kornelią). Była miła, mieszkała w malutkim pokoiku blisko kuchni i gotowała pyszne obiady dla tak licznych domowników. Coraz ciężiej było związać koniec z końcem. Mama zaczęła pracę w prywatnym prestiżowym domu mody, który znajdował się w jednym z mieszkań naszej kamienicy. Eleganckie pannie przychodziły tam, by zamówić sukienki i kostiumy, interes szedł dobrze, a za reklamę wystarczyło czyjeś słowo. W tym samym czasie Mama wróciła na Uniwersytet, aby kontynuować to, co rozpoczęła we Lwowie przed wojną i przed zawarciem małżeństwa. Przyjęto ją na Wydział Historii Uniwersytetu Warszawskiego. Kiedy o tym myślę, podziwiam jej determinację i pracowitość. Przecież nie było wcale łatwo pracować, studiować, zajmować się domem i pięciorgiem dzieci. Babunia nie mogła za wiele pomagać, ponieważ była już starsza i słabowita. Ciocia Zosia, która także z nami mieszkała co nieco pomagała, ale nie byliśmy łatwi do trzymania w ryzach. Moja siostra Marta była jej ulubioną bratanicą, kochała ją jak swoją córkę. Tata również wrócił do „szkoły”. Zapisał się na podyplomowe studia planowania przestrzennego i zajęło mu dwa lata, by je ukończyć.

Dwaj bracia mojego Taty – Jan i Ludwik, ale też i jego siostra Krystyna po wojnie wyemigrowali do USA. Czuli, że nie mogliby żyć pod komunistycznym

reżimem. Wielu polskich oficerów i żołnierzy, którzy walczyli razem z Brytyjczykami na zachodnim froncie odrzuciło powrót do kraju. To samo dotyczyło większości jeńców wojennych i tych, którzy przeżyli obozy koncentracyjne i byli wyswobodzeni przez aliantów. Nie uważam, by rodzice rozważali emigrację. Tata może przeczuwał, że istnieje jakaś nikła nadzieja powrotu do Przysuchy. Kiedy stało się oczywistym, że ta opcja w ogóle nie jest możliwa, a polskie granice zostały uszczelnione, nikt nie podjąłby ryzyka ucieczki z tak liczną rodziną. Kolejna przyczyna dotyczyła odpowiedzialności za matkę. Był jedynym synem, który pozostał w Polsce, oraz za wiekowych już teściów. Mama, tego jestem pewna, nigdy nie chciała wyjeżdżać i uważała, że jest obowiązkiem wszystkich, którzy przetrwali i należeli do warstwy inteligencji, aby pozostać w kraju i uczestniczyć w procesie jego odbudowy niezależnie od poglądów politycznych. Ciocia Kryśia dołączyła do swojego męża, Macieja Radziwiłła, który oswobodzony przez Amerykanów z niemieckiego obozu jeńców wojennych w Murnau blisko Monachium, także nie chciał wracać do Polski. Wszyscy oni zaczęli pomagać finansowo naszej rodzinie: rodzice sami nie mogli sprostać zadaniu utrzymania tak wielkiej rodziny. Jego rodzeństwo czuło, że jest ich obowiązkiem wspomaganie nas. Rodzice opiekowali się ich mamą (a moją Babcią) i siostrą Zofią, które z nami mieszkały. Przypominam sobie, że posiłki były bardzo skromne, rzadko było mięso, raczej zupy, ziemniaki, kiszona kapusta, jabłka na deser. Szynka była poza zasięgiem nas, dzieci, tylko Tata ją otrzymywał z powodu słabego zdrowia, co było konsekwencją jego pobytu w obozie koncentracyjnym.

Pomoc z Ameryki zaczęła przychodzić w formie niektórych towarów na sprzedaż i używanych ubrań dla wszystkich – dzieci i dorosłych. Były takie miejsca, sklepy i stoiska na bazarze, gdzie sprzedawało się damskie nylonowe podwiązki. A te przychodziły w dużych ilościach i Tata dostarczał je do sprzedaży. Tam też często kupował używane ubrania i buty dla siebie i Mamy. Miał dobry gust i wyglądał jak właściciel sklepu tekstylnego. Jego rozmiar butów był dokładnie taki sam, jak Mamy, więc powodował niezłe zamieszanie wśród bazarowych babuszek, kiedy przymierzał damskie buty na wysokich obcasach. Bardzo lubiliśmy otwierać te długo oczekiwane paczki z Ameryki. Wszystko wydawało się takie egzotyczne i inne od tego, co było dostępne w państwowych sklepach, gdzie wszystko było buro-szare i marnej jakości. Najgorsze były buty; nie tylko bardzo brzydkie, ale zawsze raniły stopy. A do tego były drogie. Nie mieliśmy wystarczająco ubrań na zimą; czasami musieliśmy się dzielić jedną parą amerykańskich gumowych

butów przysyłanych w tak oczekiwanej paczce. Bardzo się przydały, kiedy podczas śnieżnych zim zjeżdżaliśmy na sankach ulicą Agrykola blisko ruchu ulicznego. Nie przejmowaliśmy się tym, że kalosze nie chronią nas od zimna, bo przynajmniej stopy były suche. Wkalkulowany też był szybki ślizg na dół przez przynajmniej trzy minuty.

Innym rodzinnym „działaniem chałupniczym”, który pozwolił nam przetrwać w jako takim komforcie, była sprzedaż amerykańskich pończoch. Na to przedsięwzięcie wpadły ciocia Zosia (niezamężna najstarsza siostra Taty) razem z ciocią Krysią Radziwiłł (jej młodszą siostrą), która mieszkała w Monterey w Kalifornii. Obie panie wykazały się przedsiębiorczością, wymyślając ten biznes, który wyglądał w następujący sposób: ciocia Krysia znalazła w sąsiedztwie (chyba w Salinas) miejsce, gdzie kupowała około 10 kg używanych damskich nylonowych pończoch (kosztowały tyle co nic) i wysyłała je na Mokotowską. Ważne, że nie trzeba było płacić cła za te „śmiecici”, a co więcej, paczka była zaadresowana na Babunię, która jako seniorka była zwolniona z takich opłat. Pierwszą czynnością, którą podejmowała ciocia, było wypranie tych wszystkich pończoch i odrzucenie tych, które nie nadawały się do reperacji (zbyt dużo puszczonej oczek). Następnie oddzielała te, które nie były dziurawe i te, które nadawały się do repasacji. W tym miejscu muszę wyjaśnić, że naprawa pończoch w czasach mojej młodości była niesamowitym biznesem. Nigdy nie odrzuciłoby się pończochy z powodu jedynie kilku biegnących oczek, tylko duże dziury powodowały, że pończochy nadawały się na śmietnik. Pończochy były cennym towarem, jeśli młodszą czy starszą kobietą chciała wyglądać elegancko. Ciocia Zosia weszła w nieformalny układ z pewnymi paniami, które zajmując małe kąciki w różnych sklepach, przy pomocy specjalnych urządzeń naprawiały tuziny pończoch przez osiem godzin dziennie. Niektóre z tych pań pracowały wyłącznie dla cioci Zosi. Naprawione pończochy wracały do mieszkania. Następny krok polegał na delikatnym ich wyprasowaniu i poukładaniu w kupki. Potem dzielono je na kategorie. Najdłuższe (i najdroższe) kompletowano w idealnie dopasowane, bez biegnących oczek pary w kolorze cielistym. Następnie łączono też te bez pary, ale w podobnym kolorze i ścięgu.

Najtańsze były te, które były niby od tej samej pary. Pary pończoch były z troską umieszczane w odręcznie wykonanej delikatnej kolorowej kopercie. Każdy kolor oznaczał inną kategorię. Ceny i rozmiary umieszczone były w rogu opakowania. Towar gotowy do sprzedaży ułożony był w stosy na

parapecie pokoju Babci. Interes od samego początku szedł dobrze i ta passa kontynuowana była co najmniej przez rok, czy dwa. Marketing nie musiał być zbyt skomplikowany, jedno czyjeś słowo przyciągało tłumy klientek. Były dni, w których dzwonek dzwonił bez przerwy, a Babcia odgrywała rolę dyrektora finansowego i skarbnika, przyjmując niezłe kwoty pieniędzy od wdzięcznych klientek. Często pomagałam przy dopasowywaniu par, pisaniiu cen i ... otwieraniu drzwi. Od czasu do czasu zostałam obdarowana parą pończoch, które przyjmowałam z radością i oszczędzałam je na bardzo wyjątkowe okazje, takie jak Wigilia Bożego Narodzenia.

Wszystkie te ubrania, które otrzymywaliśmy, często były albo za małe, albo za duże dla kogokolwiek z nas, więc trzeba było pomyśleć, co z tym dalej robić. Pani Maria, drobna kobieta w średnim wieku, przychodziła przynajmniej raz w tygodniu, brała nasze wymiary, przymierzała nam te ubrania i zabierała je ze sobą, by dokonać przeróbek. Była wirtuozem w tworzeniu z amerykańskich odpadów sukienek, spodni, bluzek itp. dla całej rodziny.

Przez lata szyla dla mnie „cuda”, kiedy byłam starszą nastolatką i bardzo potrzebowałam strojów na imprezy, na te szalone rock’n rollowe prywatki pod koniec lat pięćdziesiątych i początku sześćdziesiątych XX wieku. Chyba wspominałam już, że moja najmłodsza siostra Marta urodziła się w 1950 r. My, jej rodzeństwo, mieliśmy nadzieję na małego braciszka, ale pojawiła się ona, 12 lat młodsza ode mnie i taka słodka. Przerażona byłam, że w wieku dwunastu lat zostałam wybrana na jej matkę chrzestną. Moim męskim odpowiednikiem został daleki kuzyn mojego Taty, którego nazywałam Wujem Olesiem i który był starszy ode mnie o około 35 lat. To ten sam kuzyn, który znalazł w Łodzi nasze pierwsze mieszkanie. Poprosił, aby zwracać się do niego po imieniu, a ja nie mogłam tego zrobić, wydawał mi się bardzo stary, taki typ poważnego profesora. Unikałam tej rodzinnej formy przez długi czas, prawdopodobnie aż do zamążpójścia.

Lata pięćdziesiąte były bardzo ponurym okresem w Polsce. Reżim komunistyczny wszystko ściśle kontrolował. Aresztowano ludzi za polityczne żarty. Całkiem wielu krewnych i przyjaciół rodziców skazano na więzienie za tak zwany „sabotaż” w ich miejscach pracy lub za działalność w czasie wojny w Armii Krajowej (doczepiono im łatkę antysocjalistów, którymi rzeczywiście byli). Najmocniej uderzono w klasę byłych właścicieli ziemskich i arystokracji. Dyrektywy od Związku Radzieckiego dla ich marionetkowego rządu w Polsce i gdzie indziej w Europie Wschodniej miały na celu uprzykrzanie tym ludziom życia.

Wuj Jan Zamoyski spędził około 8 lat w ciężkim więzieniu oskarżony o sabotaż w miejscu pracy. To samo przytrafiło się wujowi Antoniemu (Tonio) Dembińskiemu. Będąc za kratkami, zostawili swoich bliskich, którzy musieli przetrwać bardzo ciężkie czasy bez żywiciela rodziny. Kobiety też nie oszczędzono. Matka mojego znajomego została osadzona w więzieniu na kilka lat i torturowana tylko dlatego, że jej brat był oskarżony o szpiegowanie na rzecz „imperialistów”. On też został aresztowany, skazany na karę śmierci, egzekucję wykonano, jak i w stosunku do wielu innych osób.

Dziesiątki ludzi, których uważano za „wrogów proletariatu”, straciło pracę. To przytrafiło się mojemu Ojcu w roku 1954, kiedy to określono go jako niepożądanego i zwolniono z pracy. Aby zarobić na życie, zajął się obwoźnym skupem złomu srebra dla firmy, która zajmowała się produkcją biżuterii religijnej. Został aresztowany i oskarżony o bycie „agentem” pry-masa Kościoła katolickiego w Polsce. W więzieniu spędził kilka miesięcy, a gdy nastąpił krótki okres „odwilży”, Ojca uniewinniono i wypuszczono. Ciężko było z powrotem powrócić do poprzedniej pracy, więc przez 2 lata zajmował się wszystkim, co wpadło mu w ręce, aby zarobić jakiegokolwiek pieniędzy. W roku 1956 mógł na nowo podjąć pracę w Biurze Planowania Rozwoju Warszawy, gdzie pozostał aż do swojej emerytury w 1975 roku.

Mama kontynuowała studia na wydziale Historii Średniowiecznej na Uniwersytecie Warszawskim, ukończyła je w roku 1950, tym samym, kiedy urodziła się Marta. Chciałabym dodać pewną uwagę do jednego aspektu polskiej, tak zwanej „drogi do socjalizmu”. Przeciwnie do sytuacji w innych krajach Bloku Wschodniego, możliwe było dla ludzi ziemiańskiego lub burżuazyjnego pochodzenia pójść na studia, co nie zawsze miało miejsce na Węgrzech, w Czechosłowacji, Bułgarii itp. Ważne jednak było, by wybierać jakiś egzotyczny kierunek studiów, taki jak wybrała Mama; „Historia żywności i napojów w średniowiecznej Polsce”. Fizyka i matematyka teoretyczna też były OK. Nie odważono się studiować historii współczesnej, nauk politycznych, dziennikarstwa i temu podobnych, chyba że chciano skompromitować swoje pochodzenie społeczne czy promować fałsz.

Mama uzyskała doktorat w roku 1960, a stopień profesora uzyskała w 1980 roku. Przez cały czas pracowała w Warszawskim Instytucie Historycznym, była wspaniałą matką dla wszystkich nas i razem z Tatą prowadziła otwarty dom dla tłumów przewijających się przez Mokotowską. W moim mniemaniu dano nam, dzieciom, dużo swobody, rodzice ufali nam, ale jeśli przyłapano nas na kłamstwie lub na złym

zachowaniu, kary były nieuniknione, nawet lanie (Piotr może na ten temat powiedzieć co nieco). W moim przypadku tylko raz pamiętam próbę kary cielesnej, ale Tata spudłował, co spotkało się z moją wielką radością. Zamierzył się, by dać mi w tyłek klapsa, ale w trakcie tego procesu wykręcił sobie palec. Zaczęłam się śmiać i pogorszyłam sobie jeszcze sytuację niewłaściwym komentarzem: „to się właśnie przytrafia, jeśli chcesz dawać mi klapsy”. Uwaga ta kosztowała mnie przedłużone samotne zamknięcie w moim pokoju. Innym razem za karę musiałam przepisywać 100–200 razy zdanie, w którym obiecywałam być grzeczną, wracać do domu na czas lub właściwie szczotkować zęby albo nie bić się z rówieśnikami. Sama będąc matką chętnie stosowałam tę metodę wobec moich dzieci, z różnym rezultatem.

W tym czasie Dziadkowie Gołuchowscy sprowadzili się do kawalerki połączonej z naszym mieszkaniem. Ale zanim „Dziadzio Komar” Gołuchowski przeszedł na emeryturę, mieszkał z Babcią w Łodzi blisko ciotki Zuli Libiszowskiej i jej męża Stefana. Często jeździłam do nich i wujostwa Libiszowskich w odwiedziny. Bardzo lubiłam te wizyty; wszyscy byli dla mnie tacy mili. Dziś sama będąc babcią doceniam, jak ważne są relacje wnuków z dziadkami. Chyba lubią z nami rozmowy, wizyty w naszym domu i to, że jesteśmy tu i teraz po prostu dla nich.

Życie to plaża

Mieliśmy to szczęście, że spędziliśmy kilka długich wakacji nad Morzem Bałtyckim w Juracie położonej na Półwyspie Helskim. Pamiętam te wakacje jako jedne z najszczęśliwszych chwil mojego dzieciństwa. Przed wojną Jurata była dość eleganckim kurortem, miejscem ładnych hoteli i wielu prywatnych willi. Dwie z nich, położone jedna obok drugiej należały do rodziny wuja Stefana Dembińskiego i cudem nie zostały skonfiskowane przez komunistyczny rząd. Wieloosobowa rada rodzinna wpadła na fantastyczny pomysł, aby w jednej willi otworzyć pensjonat, a w drugiej zgromadzić wszystkie dzieci (a było nas sporo). Pierwsza willa zwała się „Biedronka”, została odnowiona, pomalowano ściany, powieszono jasne zasłonki i mały hotelik gotowy był do rozpoczęcia działalności. Zajmowała się nim moja Mama, a była

to ciężka praca. Większość zaopatrzenia musiała być dostarczona pociągiem z miasta oddalonego o około 40 kilometrów. W tę podróż o 6 rano Mama czasem zabierała mnie, abym pomogła jej przytargać ciężkie torby do i z dworca. Gościom oferowano w cenie trzy posiłki, prócz tego nasza grupa dzieci też musiała być nakarmiona, więc takie wycieczki pociągiem miały miejsce trzy razy na tydzień. Dochody z pensjonatu miały wystarczyć na hordę dzieci w przyległej willi, a ta była tylko posprzątana, pokoje wyposażone w niezbędne rzeczy, kilka materacy na podłodze, a ubrania były w walizkach. Jedyna łazienka (wanna z prysznicem i gorącą wodą) oblegana była rano i wieczorem. To było bez znaczenia. Wszyscy byliśmy tak szczęśliwi, że mogliśmy tam być przez kilka kolejnych lat. Z perspektywy sześćdziesięciu lat wydaje mi się, że pogoda zawsze była doskonała, woda w Bałtyku całkiem ciepła, po prostu raj na ziemi. Wielkim plusem było to, że nie byliśmy zbyt kontrolowani przez Rodziców. Było tam kilku starszych kuzynów, okazjonalnych ciotek czy zatrudnianych opiekunek do opieki nad nami. Gośćmi w „hotelu” byli głównie artyści i dobrzy znajomi rodziców, więc dorośli dobrze się bawili, a Mama lubiła to swoje letnie zajęcie, mimo braku czasu, by pójść sobie na plażę. Pamiętam, że Mama jak i jej goście lubili imprezy, więc wszyscy często wychodzili potańczyć w modnej restauracji w sąsiedniej wiosce i bawili się aż do świtu.

A tymczasem w domu „dzieci” każdy sobie balował. W naszej grupie był przegląd młodzieży w różnym wieku. Kuzyn Włodek i kilkoro innych kuzynów byli już młodzieniaszkami, a ponadto od czasu do czasu przyjeżdżali ich koledzy; palili papierosy, pili alkohol i imprezowali przez większość nocy w „Domu Zdrojowym” w Jastarni – właśnie tam, gdzie grupa Mamy często się udawała. Było też parę osób poniżej 18 roku życia, ale i oni raczej nie rozmawiali ze mną i moją kuzynką Inią (w tym czasie miałyśmy około 12–13 lat). Starsza siostra Ini, Bisia, poznała na plaży chłopaka i koniecznie chciała się z nim wybrać do klubu w „Domu Zdrojowym”. Nie uzyskała na to zgody, ale i tak poszła, nakazując mi i Ini, aby czuwać przy oknie do łazienki do około trzeciej nad ranem, aby mogła się dostać z powrotem do domu (drzwi zamykano o 22). Byłyśmy takie dumne, że dopuszczono nas do sekretu i pilnie wykonaliśmy przydzielone nam zadanie. Bisia wróciła bezpiecznie i nikt się nie dowiedział.

Oprócz plaży, pływania, siatkówki, biegania i w ogóle dobrej zabawy zaczęliśmy interesować się militariami. Wyjaśnię dlaczego: Jurata znajdowała się pośrodku Półwyspu Helskiego, na koniuszku którego była wieś Hel, a w niej znajdowała się baza wojskowa. Można tam było dojechać tylko pociągiem, ale ludzi od tego odwodzono.

Między Juratą a Helem był las, do którego był zakaz wstępu, mówiono, że to z powodu pozostałości dużej liczby wszelkiego rodzaju amunicji z czasów wojny. Za naszym domem znajdowała się droga, która prowadziła do lasu. Na końcu tej drogi była brama z drutem kolczastym i tabliczkami „Nie ma przejścia! Teren niebezpieczny! Strefa wojskowa!”. To właśnie tam chcieliśmy iść. Przejście było ekscytujące i ten strach też był ekscytujący. Przywódcą naszej grupy był Krzysztof Dembiński, starszy brat Ini. Odkrył on całkiem bezpieczne przejście, przez które musieliśmy się czołgać pod drutem kolczastym, mając nadzieję, że nie będziemy zauważeni przez wojskowy patrol. Przechodziliśmy tam parę razy, za każdym razem głębiej w las, oczywiście znajdowaliśmy mnóstwo „skarbów”, które taszczyliśmy do domu. Były to łuski pocisków artyleryjskich, kule karabinowe, a także proch z pocisków armatnich.. Ale prawdziwa zabawa zaczynała się dopiero wtedy, gdy próbowaliśmy rozbroić te kule. Robiliśmy to w bardzo „wyszukany” sposób. Posiadłość była ogrodzona i co jakieś 3 metry były metalowe słupki. Każdy słupek miał dziurę u góry. Wkładaliśmy kulę do dziury, aby nabój wypadł z kuli i – bingo – proszek wysypywał się do podstawionego pojemnika. Dużo trudniej było rozbroić pocisk. Igraliśmy na granicy wielkiego nieszczęścia, ale szczęśliwie nic nie eksplodowało w trakcie zabaw. Łuski pocisków zawierały proch w postaci patyków, które stanowiły doskonały materiał do budowania rakiet; wystarczyło włożyć taki sprasowany proch do butelki, zapalić zapalnik i viola! – latający i syczący pocisk gotowy, wprawdzie leciał nie za wysoko, ale jednak!

Od militariów do umiejętności naukowych była krótka droga. Nasza grupa uznała, że chcemy zdobyć czysty szkielet ptaka (taki, jaki widuje się w muzeach historii naturalnej). Do tego celu udało nam się znaleźć martwego małego ptaszka i wykombinowaliśmy, że najlepszym sposobem, aby osiągnąć nasz cel będzie gotowanie go (w garnku, na ognisku, na podwórku), przez tak długi czas, jak to będzie konieczne, aby dało się oderwać pióra i oddzielić mięśnie od kości. No cóż, eksperyment nie udał się, tak jak chcieliśmy i pozostawił młodych odkrywców bardzo rozczarowanych.

Po tym niepowodzeniu nie prowadziliśmy żadnych doświadczeń zoologicznych ani na innych podobnych polach.

Mieliśmy szczególne poczucie humoru i stroiliśmy sobie głupie żarty z ludzi, którzy przechodzili ulicą obok naszego domu. Ulica ta była głównym deptakiem dla wakacjowiczów (szczególnie tych starszych), którzy lubili stroić się szykownie, spacerując wieczorem tam i z powrotem, eksponując swoje wyszukane toalety, w które przebierali się po plażowaniu. To, co robiliśmy, było po prostu okropne. Wkładaliśmy psią kupę do pudełka, pięknie pakowaliśmy, wyglądało, jakby ktoś zgubił prezent i zostawialiśmy to na wprost naszych okien.

Nie muszę opisywać „zaskoczenia” kogokolwiek, kto podniósł zawiniątko. Zachowywaliśmy się strasznie, ale ludzie nie przychodzili na skargę, prawdopodobnie w poczuciu wstydu, że byli tak naiwni, aby otwierać pudełko, więc rodzice nigdy się nie dowiedzieli.

Chodzenie na plażę było uświęconym rytuałem. Chodziliśmy tam codziennie, jeśli tylko pogoda była dobra. Zawsze z nami byli jacyś dorośli, aby pilnować młodszych dzieci lub tych, które nie umiały pływać. Na drugie śniadanie dostawaliśmy kanapki, więc zostawialiśmy na plaży aż do późnego popołudnia. Przez większość czasu niestety było wietrznie, każdy od razu zajmował się kopaniem gniazda, czyli takiej głębokiej i szerokiej dziury w piasku. Potem na wierzch nakładało się koc i w ten sposób człowiek miał ochronę od wiatru i można było się już opalać do woli. My, dzieci, spędzaliśmy większość czasu w wodzie, która bywa naprawdę zimna przez większość miesięcy, nawet latem, ale to nam kompletnie nie przeszkadzało.

Podczas ostatniego lata w Juracie poznałam w wieku 12 lat co to papierosy. Moja najlepsza przyjaciółka i kuzynka, Inia Dembińska, o rok tylko starsza, uznała, że to najwyższy czas, by spróbować. Podkradłyśmy kilka papierosów naszym starszym kuzynom i poszłyśmy na wydmy przy plaży. To doświadczenie nie zrobiło na mnie wrażenia, od palenia zakręciło mi się w głowie, ale przecież nie mogłam pokazać mojego rozczerwienia – chciałam zachować się tak dorośle, jak Inia. O naszej tajnej przygodzie został poinformowany dużo starszy kuzyn – Władek (brat Ini) przez kilku przebiegłych młodszych chłopców z naszej grupy, którzy donieśli na nas. Władek był autorytetem dla Ini, której mama, jak wcześniej wspomniałam, zmarła przy jej porodzie. Wezwał nas na dywanik i wygłosił nudny wykład na temat szkodliwych konsekwencji uzależnienia od palenia

i zmusił nas do obietnicy, że więcej nie spróbujemy. A my wpadliśmy na pomysł, by robić swoje własne papierosy z suchych liści zawiniętych w papier, ale były obrzydliwe. Całkiem możliwe, że to wczesne doświadczenie uchroniło mnie przed paleniem w późniejszych latach.

Wyjazd nad morze był zawsze przygodą. Polskim pociągom z lat 50. dwudziestego wieku daleko było do luksusu, były powolne i ciągle zatłoczone (nie było rezerwacji miejsc), szczególnie w czasie wakacji. Zawsze podróżowaliśmy drugą klasą – Mama, nasza piątka i opiekunka do zajmowania się moimi najmłodszymi siostrami. Pomysł był taki, aby zająć cały przedział, co było nadludzkim wyzwaniem. Jak pamiętam, Tata wskakiwał do wagonu, a my przez okno podawaliśmy mu dzieci i bagaż. Najmłodsi mieli przykazane, aby płakać i w ogóle źle się zachowywać, aby nikt nie chciał pozostać z nami w przedziale. Ta strategia całkiem nieźle się sprawdzała przez większość czasu. Wystawiony na widok nocnik też robił swoje.

Na Mokotowskiej – wczesne lata 50. dwudziestego wieku

Mój brat Piotr jest o ponad 2 lata młodszy ode mnie, więc nas oboje nazywano starszymi dziećmi, w przeciwieństwie do Elżbiety, młodszej o sześć lat, Joanny o osiem, a Marty o 12, które nazywano młodszymi dziećmi. To dlatego o wiele bardziej pamiętam relacje między mną a Piotrem, które, muszę dodać, nie były zbyt przyjacielskie. Za wiele razem się nie bawiliśmy, ale za to dużo biliśmy się ze sobą. Był w stanie doprowadzić mnie do furii, przekomarzając się lub z powodu praktycznych w stosunku do mnie żartów, takich jak zamykanie mnie w moim pokoju, kiedy on śmiał się z drugiej strony drzwi. A drzwi w mieszkaniu miały wstawki ze szkła, więc pewnego pięknego popołudnia, kiedy właśnie Piotr zamknął mnie w pokoju, roztrzaskałam szybę, dając upust niepowstrzymanej chęci obłożenia pięściami brata. W konsekwencji to ja miałam skrwawioną rękę i narobiłam sporo bałaganu. Oczywiście

zaprzeczył, że się ze mną przedrzeźniał i to ja zostałam ukarana („jesteś jego starszą siostrą i to ty powinnaś dawać mu dobry przykład...” i inne temu podobne nonsensowne kazania głoszone przez rozeźlonych rodziców). Spinaliśmy się też w poważnych zapasach, krzycząc i wijąc się na podłodze, a raz nawet walczyliśmy z nożyczkami, próbując pchnąć je w siebie. Byłam wyższa, silniejsza i prawie zawsze zwyciężałam w tych walkach, co doprowadzało Piotra do szału. To zmieniło się, gdy on miał 10 lat, a ja 12. Nagle mógł wykręcić mi nadgarstek, uderzyć mocno, a ja nie byłam już tak silna, by móc wygrać. Zmiana ta obróciła się na moją korzyść, ponieważ ku jego zdziwieniu, to jemu rodzice teraz mówili, że powinien być dżentelmenem i niewłaściwe jest, by bić się z dziewczynkami. A mnie powiedziano, że jestem już za duża na walki, więc uciekaliśmy się tylko do słów. Pamiętam taki jeden incydent, kiedy cała rodzina siedziała na kolacji przy kuchennym stole, Piotr zrobił uszczypliwą uwagę w moją stronę. Nie mogąc się opanować, a wiedząc, że kuksaniec nie wchodzi w grę, wysypałam mu na głowę dużą filiżankę mąki (podkrađłam się cicho od tyłu). Mało nie wybuchł, ale utrzymał spokój (za co go podziwiam). Zostałam odesłana do pokoju i ukarana jak zwykle przepisaniem sto razy czegoś w stylu „będę panować nad sobą”.

Kilka razy Piotr otrzymał niezłe lanie. Był raczej niezależnym typem i nie zmierzał do domu od razu po szkole, raczej wałęsał się po okolicy w towarzystwie kilkorga dzieci, czego rodzice nie aprobowali. Tata często musiał go szukać w parkach, ciemnych zaułkach lub w piwnicach zniszczonych domów – ulubionego miejsca zabaw. Chował się też godzinami w szafie wnękowej, śmiejąc się z dorosłych szukających go po sąsiednich ulicach i w domach przyjaciół. Lubił też straszyć Mamę, chodząc po barierce balkonu (na piątym piętrze!).

Postawa Piotra wobec szkoły była raczej nonszalancka. Rzadko odrabiał pracę domową czy robił notatki, a mimo to zaliczał egzaminy, nauczyciele mówili, że jest zdolny, ale leniwy. Złościłam się, kiedy rzucał mi „to spojrzenie”, widząc jak odrabiam lekcje lub coś powtarzam, podczas gdy on sobie skutecznie lawirował. Później w życiu okazał się być utalentowanym indywidualistą, uczęszczał do bardzo dobrej szkoły plastycznej, ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, a w końcu znalazł swoje powołanie w matematyce teoretycznej. Ukończył Wydział Matematyczny Uniwersytetu Warszawskiego i dziś jest profesorem zwyczajnym. W tym spokojnym i poważnym obecnie człowieku trudno mi

rozpoznać psotnika z przeszłości. Kocham go serdecznie i od dawna jesteście dobrymi przyjaciółmi, pewna jestem, że wspomnienia z dzieciństwa scementowały naszą przyjaźń.

Moje siostry Elżbieta i Joanna były nierozłączne. Było tylko dwa lata różnicy między nimi i wielu ludzi myślało, że są bliźniaczkami. Nie pamiętam za wiele szczegółów z ich dzieciństwa, jako że żyłyśmy w różnych światach z powodu różnicy wieku. Były ślicznymi dziewczynkami. Elżbietę można było określić jako małą złośnicę. Joanna – słodka i spokojna. Marta, moja chrześnica była dość temperamentnym dzieckiem, rodzicom było trudno okiełznać jej niezależność i brak szacunku wobec autorytetów. Razem z Piotrem byliśmy przekonani, że rodzicom było trudno, aby próbować zdyscyplinować swoje ostatnie dziecko i czuliśmy, że nas nigdy nie traktowano w ten sposób, gdy byliśmy młodszy. „To nie fair” często wykrzykiwaliśmy zezłoszczeni, kiedy Marta rozmawiała z Mamą czy Tatą bez należytego szacunku. Nam nigdy nie wolno było odnosić się w ten sposób, uziemiono by nas na wiele dni! Nasze uwagi nie działały na rodziców i odpowiadano nam w stylu, że wychowanie Marty to nie nasza sprawa.

Relacje z rodzicami były bardzo dobre i przyjacielskie, może nawet w pewnym sensie zbyt swobodne. Wolno nam było używać takiej formy, jakbyśmy zwracali się do kolegów (w języku francuskim byłoby to „tu” zamiast „vous”). Kiedy przyjeżdżali krewni czy przyjaciele rodziców i gromadzili się przy kuchennym stole, ta forma zwracania się do rodziców podnosiła niejedną brew w geście dezaprobaty jakiejś ciotki czy wuja. Przy tym stole często odbywały się gorące dyskusje dotyczące różnych spraw, wydarzeń mijającego dnia, polityki, historii, tego, jak nie współpracować z władzą, a utrzymać pracę, jak dostać się do dobrej szkoły itp. W ferworze tych rozmów my, dzieci, często dawaliśmy ponieść się emocjom, podnosząc głos i wyrażając swoje opinie w niezbyt grzeczny sposób. Gdybyśmy musieli zwracać się do dorosłych w formalny sposób, prawdopodobnie nie nazywalibyśmy ich opinii stekiem bzdur lub nie używalibyśmy innego uwłaczającego języka. Wracając pamięcią do tamtych czasów, pochwalam ich za to, że pozwolili nam zwracać się do siebie w tak swobodny sposób. Czuliśmy, że są blisko, przystępni, o wiele bardziej niż rodzice naszych kuzynów czy kolegów. Wiem, że mogłam im ufać, wysłuchiwali mnie, doradzali i okazywali bezwarunkową miłość. To było

szczególnie cenne, wiedząc jak bardzo byli zajęci, aby zapewnić nam byt i sprawić, by życie nie było zbyt ponure, potrafili zapełnić je małymi przyjemnościami. Mama uwielbiała muzykę i potrafiła grać na fortepianie, kiedy była młoda. Zaraziła mnie tą miłością, zabierając na wiele koncertów do Filharmonii Narodowej. Tata nie za bardzo podzielał tę pasję, więc my dwie miałyśmy wykupione bilety na sezon, byłam bardzo dumna z powodu przebywania wśród tych koneserów muzyki, zwłaszcza że rodzice osobiście znali wielu z kompozytorów i pianistów (między innymi Artura Rubinsteina). Mama często zabierała mnie ze sobą, kiedy robiła sobie manicure lub pedicure, ubóstwiałam te wspólne momenty, uważałam się za taką ważną i dorosłą. Podczas tych wyjść czułam się bardziej jej przyjaciółką niż jej dzieściocio- czy dwunastoletnią córką. Obydwoje rodzice czytali nam na dobranoc i odmawiali z nami wieczorne modlitwy. Kiedy dorastaliśmy, jako nastolatki czy dwudziestolatki, będąc jeszcze w domu, toczyliśmy z rodzicami interesujące dyskusje na różne tematy, takie jak polityka, religia, sztuka, teatr, kino, komunizm. Niektórzy krewni, którzy mieszkali w Krakowie, Poznaniu czy Łodzi, a przyjeżdżali na dzień czy dwa, uatrakcyjniali nasze kuchenne spotkania. Jeden wuj, w szczególności Felix Sobański z Krakowa, był niesamowitym gawędziarzem. Każdy uwielbiał jego opowieści i anegdoty z czasów przedwojennych. Mogliśmy słuchać tego starszego dżentelmena godzinami i nigdy nie nudziliśmy się. Jego najstarsza córka (a miał dziesięcioro dzieci, dwie z jego córek zginęły podczas Powstania Warszawskiego w 1944 r.), Lula Sobańska-Tyszkiewicz musiała po nim odziedziczyć poczucie humoru. Mogliśmy to stwierdzić, kiedy mieszkała z nami na Mokotowskiej przez pewien czas na początku lat pięćdziesiątych z powodu jakichś problemów finansowych i małżeńskich. Była żoną kuzy-
na mojego Taty, Alfreda Tyszkiewicza, a Adam Tyszkiewicz z Bel-Air jest ich synem. Lula była niezłą artystką, piękną kobietą z aspiracjami na piosenkarkę i aktorkę. Podczas pobytu w naszym domu częstowała nas zabawnymi historiami, zawsze dodając trochę kolorytu dla lepszego efektu. Specjalnie o niej mówię, ponieważ po pięćdziesięciu latach, w 2006 roku przybyła do Kalifornii, aby zamieszkać z Adamem i Hanią. W wieku prawie dziewięćdziesięciu lat ciągle była atrakcyjna, dobrze ubrana i stylowa. Kiedy spotkaliśmy się, czule wspominała swój pobyt w domu Rodziców; potrafiła przywołać w pamięci imiona wszystkich naszych gosposi czy szwaczki, którą ciągle nazywała „małą

kobietką”. Przyjechała do nas do Laguna Hills na dwa dni i wydawała się cieszyć naszym towarzystwem. Wieczorem piła trochę whisky, paliła papierosa (obydwie te rzeczy zakazane w domu syna) i na balkonie dała nam recital przedwojennych kabaretowych piosenek, niektórych, dodam, pikantnych. Była taka zabawna. Adam i Hania powiedzieli nam potem, że Lula natychmiast zaprzyjaźniła się z ich polskimi i amerykańskimi znajomymi, chociaż nie mówiła po angielsku, tylko po francusku. A propos, potrafiła także zatańczyć kankana... Ta kochana kobieta zmarła kilka miesięcy po tym, jak przyjechała do Kalifornii.

Rodzice bardzo dużo czytali i zachęcali nas do czytania. Wtedy ludzie czytali o wiele więcej, mało kto miał telewizor, a radio było dość nudne; tylko muzyka i propaganda. Dostawialiśmy małe kieszonkowe, które wydawaliśmy na oglądanie filmów ze szkolnymi kolegami. Filmy to była nie lada gratka, całkiem sporo zachodnioeuropejskich filmów pokazywano w Polsce z powodu tego, że wielu znakomitych reżyserów i aktorów tamtych czasów było członkami komunistycznych partii w krajach takich jak Francja czy Włochy (tak jak i z resztą pisarzy, filozofów i malarzy). Ktoś zapisał się z przekonania, niektórych nazywano komunistami intelektualistami od szampana i kawioru, ci lubili niekończące się dyskusje w kawiarniach Paryża czy Rzymu. Zachwyceni byli Związkiem Radzieckim nawet wtedy, gdy rzeczywiście tam pojechali i udawali nie zauważać oczywistego rozpadu totalitarnego systemu. Zajął im wiele lat, aby przejść. Ale nie można też zaprzeczyć faktowi, że mimo tego tworzyli znaczące filmy i książki (Camus, Sartre, Simone de Beauvoir etc.). Oglądaliśmy sporo sowieckich filmów o bohaterach socjalistycznej pracy z fabryk i kołchozów. Polska kinematografia osiągnęła w kraju i na zagranicznych filmowych festiwalach dość spory sukces. Nasi utalentowani i inteligentni artyści potrafili w zawołany sposób przechytrzyć cenzurę i pokazać inne znaczenie problemu w ich dziełach, za co byli równocześnie uwielbiani przez inteligentną widownię „czytającą pomiędzy wierszami”. To samo dotyczyło sztuki nowoczesnej, takiej jak malarstwo, rzeźba czy teatr. Mimo że oficjalną linią partii był „realizm socjalistyczny”, od którego oczekiwało się pochwały niepowstrzymanego marszu klasy robotniczej ku jaśniejszej przyszłości, pewna wolność była dozwolona. Artyści próbowali przekraczać granice możliwości tak daleko, jak tylko mogli, z różnym skutkiem. Niektóre sztuki zdejmowane były z afisza po jednym dniu, to samo dotyczyło wystaw sztuki, cenzorzy nie spali przy swoich biurkach, a ich obowiązkiem było wszędzie

doszukiwać się imperialistycznej propagandy. Przez Polskę szło powiedzenie, że nasz kraj to najweselszy barak w obozie socjalistycznych krajów w orbicie Związku Radzieckiego. Można było opowiadać kawały polityczne bez obaw o aresztowanie. Władze nie były w stanie ograniczyć działalności kościoła; prywatne katolickie szkoły przetrwały przez cały okres komunizmu. Było trochę prywatnych sklepów i gospodarstw. O wiele trudniej było żyć pisarzom, jeżeli nie chcieli dokładnie wpasować się w propagandę partyjną i zostać członkami partii. Łatwiej było ocenzurować słowo pisane, niż ocenić malarstwo. Wiele książek i artykułów nie publikowano latami, bo ich autorzy odrzucili styl komunistycznej poprawności politycznej.

Miałam swoje pięć minut sławy w ostatniej klasie podstawówki; wybrano mnie na modelkę do prezentowania strojów dziecięcych państwowego domu mody. Byłam bardzo dumna z powodu zdjęć do kilku popularnych magazynów dla rodziców nastolatków. Moja kariera modelki skończyła się w tym miejscu, a wybiegi Paryża i Mediolanu straciły taką szansę.

Przejście do szkoły średniej

Patrząc wstecz, mam mieszane uczucia związane ze szkołą podstawową. Przyjechałam z Łodzi do Warszawy i poszłam do szkoły w czasie, kiedy w Polsce narastały represje w stosunku do tzw. „wrogów ludu”. Już opisywałam, jak czułam się próbując ukryć mój stygmat „wroga ludu”. Z jednej strony dobrze bawiłam się z kuzynami i kolegami ze szkoły, a z drugiej strony utrzymywało się uczucie niepokoju. Byłam wystarczająco duża, aby zrozumieć niepokój rodziców o przyszłość, pieniądze, o przesłuchiwanie czy o krewnych w więzieniu.

Pod koniec klasy siódmej zaczęliśmy rozmawiać, do jakiej szkoły średniej mogłabym uczęszczać. Wszystkie moje koleżanki chciały pójść do najlepszych szkół, znanych jeszcze sprzed czasów wojny. Podekscytowane dyskutowaliśmy o przyszłości, widząc, że na pewno tam się dostaniemy, sądząc po naszych ocenach i doskonałych referencjach, które z pewnością otrzymamy od swoich nauczycieli. Miałam pewne wątpliwości

odnośnie do jednego z nich, członka partii, który był motorem organizowania „czerwonych” oddziałów harcerzy w naszej szkole, wtedy, gdy wymuszono na mnie przywództwo w takim zastępie. Myślałam, że każdy inny pomógłby mi w dostaniu się do szkoły średniej, miałam prawie same piątki. Czekало mnie wielkie rozczarowanie. Wezwano do szkoły Mamę, aby porozmawiać o moim losie. Powiedziano, że z powodu faktu, iż jestem członkiem rodziny, która, uważano, nie zasługuje na równe traktowanie w „nowej Polsce”, zaproponowano mi dowolną szkołę zawodową, ale absolutnie niepaństwową szkołę średnią, po której można pójść na uniwersytet. Potem dowiedzieliśmy się, że inny nauczyciel, którego zresztą zawsze lubiłam i myślałam, że on mnie też, okazał się głównym przyczynkiem do zablokowania mi uczęszczania do szkoły średniej. Widocznie znał kogoś z Przysuchy, kto nosił urazę w stosunku do moich Rodziców lub Babci, oskarżając ich o wyzysk chłopów. Wiedzieliśmy, że to jest kłamstwo, ale rodzice nie mogli wtedy wiele zrobić, władze podsycaly wrogość w stosunku do byłych właścicieli ziemskich. Czułam się zdruzgotana tym, jak bardzo niesprawiedliwie potraktowali mnie moi nauczyciele, oskarżałam ich wszystkich. To był pierwszy raz, kiedy ohydna ręka komunistycznego szaleństwa uderzyła we mnie bezpośrednio. Rodzina nie wiedziała, co robić. Ktoś poradził Mamie, że może powinnam spróbować dostać się do jednej z katolickich prywatnych szkół średnich. Ciągłe istniały, każdy następny rok był niepewny, walczyły o przetrwanie. Tak właśnie zostałam uczennicą Prywatnego Liceum Ogólnokształcącego Sióstr od Świętej Rodziny z Nazaretu, potocznie nazywanego Nazaretanki, gdzie spędziłam cztery szczęśliwe lata.

Większość moich koleżanek i kolegów dostała się do dowolnych liceów, a ja czułam się odrzucona i przygnębiona tym, że mnie tego odmówiono. Podczas pierwszych dni u Nazaretanek byłam nieszczęśliwa i podejrzliwa. Złe uczucia zaraz się rozwiały i zaczęłam myśleć, że bycie w szkole dla dziewcząt nie jest takie nieprzyjemne. Szybko nawiązałam tam przyjaźnię z dziewczętami, które uczęszczały do Nazaretanek z własnego wyboru, rodzice chcieli im dać katolickie wykształcenie wbrew wszystkiemu, aby przeciwstawić się władzy promującej ateizm. Zaczęłam się czuć członkiem wyjątkowej społeczności, która podejmuje ryzyko, aby pokazać światu, że się nie boi. To dodawało skrzydeł. Władze wielokrotnie próbowały szkołę zamknąć, nękały siostry ciągłymi kontrolami z Ministerstwa Edukacji i Urzędu Skarbowego. Co roku

straszono możliwością matury ze wszystkich przedmiotów. To tworzyło atmosferę nerwowości wśród uczniów ostatnich klas. I co roku, w ostatnim momencie przyznawano szkole tzw. „pozwolenie” do przeprowadzania egzaminów w taki sam sposób, jak we wszystkich szkołach publicznych w kraju; sprawdzano trzy lub cztery główne przedmioty. W tym czasie co roku wszystkie maturzystki przygotowywały się do zdawania egzaminów z całego materiału, co oznaczało o wiele więcej nauki. Ostatecznie wielu z nich to prawdopodobnie pomogło dostać się na studia. Z perspektywy lat widzę, że uczęszczanie do tej prywatnej szkoły było najlepszą rzeczą, jaka mi się przytrafiła.

Uzyskałam wartościowe wykształcenie w środowisku odpowiadającym duchowemu wychowaniu w domu. W szkołach publicznych indoktrynacja ateistyczna była powszechna poprzez udział w organizacjach młodzieżowych, ciągle świętowanie rocznic Rewolucji Październikowej, wyswobodzenia Warszawy przez armię radziecką, urodzin Stalina etc. Jedynym „festiwalem”, na który musieliśmy uczęszczać, był pochód na 1 Maja. Od tego nie było ucieczki i byłoby to zbyt ryzykowne, gdyż specjalne dyrektywy były przekazywane dyrektorce szkoły przez Komisję Szkolną. Maszerowałyśmy więc wszystkie, ubrane w nasze szkolne mundurki, razem z siostrami ubranymi w czarne habity. Musiałyśmy dziwnie wyglądać pośród tłumu ludzi (większość z nich została zmuszona do udziału, inaczej mogliby stracić pracę) niosących transparenty, czerwone flagi i wyśpiewujących slogany gloryfikujące rewolucję i naszych „ukochanych” przywódców partii wymachujących z trybun.

Lubiłam większość nauczycielek w szkole. Prawie wszystkie były wiekowe, przedwojenna ekipa, konserwatystki, pasjonatki swojej profesji. Do programu nauczania powszechnej wtedy łaciny dodatkowo zaproponowano j. angielski jako język obcy. Rosyjski był obowiązkowy – zaczynało się go uczyć w klasie czwartej szkoły podstawowej. Władze uważały, że każde dziecko w Polsce powinno być biegłe w języku naszego „największego przyjaciela”, Związku Radzieckiego. Wybrałam łacinę, poprzednika większości zachodnioeuropejskich języków, potem służyła mi jako baza do studiów lingwistycznych. Moją nauczycielką była uroczą pani, jestem jej wdzięczna za to, czego mnie nauczyła. Religia była oczywiście w programie nauczania. Ksiądz, który uczył nas religii kilka godzin na tydzień, miał szeroką wiedzę i dał nam solidną podstawę do budowania naszej wiary. Cztery lata spędzone w tej szkole w dosłownym

sensie ochroniły mnie przed codziennymi nieprzyjemnościami szkoły publicznej, gdzie indoktrynacja była subtelna, ale ciągła. Uczniowie byli zachęceni, jeśli nie zmuszani do zapisania się do organizacji młodzieżowych popieranych przez władze. W powietrzu utrzymywała się aura podglądania przez „Wielkiego Brata” na lekcjach i poza nimi. Nauczyciele bali się wyjść choćby trochę poza narzucone materiały, a jakakolwiek interpretacja niemieszcząca się w ramach panującego ustroju mogła mieć fatalny wpływ na ich pracę.

Muszę powiedzieć parę słów o siostrach zakonnych. Zawsze się dziwię, kiedy słyszę straszne historie od osób, które jakiś czas spędziły w internatach prowadzonych przez zakonnice; historie o biciu, strasznych siostrach stosujących tortury na uczniach itp. Co do każdej mam miłe wspomnienia, kobiety te poświęciły swoje życie, aby wyedukować dziewczęta w tak niekorzystnych okolicznościach. Nie byłam w internacie, ponieważ mieszkaliśmy całkiem blisko, a poza tym czesne i tak było wysokie jak na nasz rodzinny budżet. Elżbieta i Joanna poszły w moje ślady, gdyż Rodzice uznawali ważność zarówno wykształcenia na wysokim poziomie, jak i wartości duchowych, które były kluczowe w takim programie nauczania.

Nie zdecydowałam się na j. angielski w szkole, gdyż Rodzice zorganizowali prywatne lekcje ze starszą panią, która spędziła kilka dekad przed wojną jako sekretarka w ambasadzie – kiedyś Rodezji (teraz Zimbabwe). Była wspaniałą i wymagającą nauczycielką, sumiennie odrabiałam prace domowe. Do dnia dzisiejszego posiadam listę czasowników nieregularnych, które wypisała dla mnie na maszynie, a które musiałam znać na pamięć, nawet wybudzona w środku nocy. Kontynuowałam naukę francuskiego z babunią Dembińską z Przysuchy.

W pierwszej klasie u Nazaretanek poznałam co to sport dzięki młodemu entuzjastycznemu nauczycielowi, który sprawił, że lekcje wychowania fizycznego były zabawą (w podstawówce nienawidziłam ich). Koszykówka była jego największą miłością i szukał ochotniczek, które chciałyby grać również poza szkolnymi lekcjami. Zapisalam się i zaczęliśmy ćwiczyć w sali gimnastycznej o 6 rano trzy razy w tygodniu. Z nabożeństwem uczęszczałam na te treningi i po jakimś czasie nauczyciel zapisał nas do ligi żeńskiej, w ramach której odbywały się regularne rozgrywki i turnieje. Rodzina uważała, że zwariowałam, aby wstawać tak wcześnie, a szczególnie zimą, kiedy po treningu musiałam iść od razu

na zajęcia. Na wiosnę ćwiczyliśmy w dużym parku sportowym obok szkoły, gdzie również zapisałam się do sekcji siatkówki. Byłam bardzo zajęta szkołą i sportem – ten aspekt mojego życia bardzo cieszył rodziców, jako że nie starczało mi już czasu na rzeczy, których oni mogliby nie akceptować.

Nie przypominam sobie żadnych narzekań z powodu uczęszczania do szkoły dla dziewcząt. Jednak nie mogę zaprzeczyć faktowi, że moim koleżankom i mnie samej czasami brakowało tego środowiska, gdzie można byłoby umawiać się na randki, co miało miejsce, jak słyszałyśmy, w szkołach publicznych. Kilka razy w roku organizowano potańcówki z uczniami Męskiego Katolickiego Liceum Świętego Augustyna. Imprezy odbywały się w obu szkołach pod nadzorem i ciągłą obserwacją wszystkowiedzących nauczycieli i rodziców. Były też zawsze kapele grające na żywo, bo o DJ-ach w czasach mojej młodości nikt nie słyszał.

Pamiętam, że miło spędzałam czas z sympatycznymi chłopcami, trochę się flirtowało, a najważniejsze było unikać tzw. opiekunek – obserwatorek, co praktycznie było niemożliwe. W wyniku tych potańcówek umawialiśmy się (ja i moja koleżanka) z dwoma chłopcami na spacer i rozmowy do parku. Były to platoniczne spotkania pozwalające nam ćwiczyć ogłade towarzyską w mieszanym towarzystwie. Oczywiście my (dziewczyny) ubierałyśmy się na te spotkania w najlepsze sukienki. Dokładnie przypominam sobie jeden raz, kiedy chciałam wyglądać atrakcyjnie, ale uważałam, że nie mam co na siebie włożyć (ciągle mam takie odczucie, nawet teraz i jestem pewna, że kobiety i dziewczyny rozumieją, co mam na myśli). W tym czasie moja kuzynka Izia Dembińska (obecnie Mycielska) była u nas z wizytą na kilka dni. Zawsze podziwiałam jej urodę i elegancję. Przywiozła ze sobą bardzo ładną jasnoniebieską sukienkę, która wisiała w szafie w moim pokoju. Aby skrócić tę historię, powiem tylko, że skradłam tę sukienkę na kilka godzin, ulegając pokusie po krótkiej walce z moim sumieniem. Najbardziej obawiałam się przyłapania. Wróciłam z randki, odwiesiłam sukienkę i nikt nie dowiedział się o moim wykroczeniu aż do niedawna, kiedy to wypowiadałam się Izi i obie uśmiałyśmy się serdecznie, przypominając sobie to wydarzenie. W drugiej klasie szkoły średniej rodzice pozwolili mi zrobić prywatkę w naszym mieszkaniu. Moje koleżanki miały zachęcić do przyjścia swoich braci, kuzynów i kolegów-przyjaciół rodziny. Pamiętam tylko jednego z tych chłopców, ponieważ podobał mi się, a inni wcale. Wszyscy

oni raczej wstydzili się tańczyć, my dziewczyny musiałyśmy ich prosić do tańca, inaczej staliby i podpierałoby ściany. W końcu udało nam się ich „odkleić” i impreza ożyła. Muzyka w tych zamierzchłych czasach zaczynała adaptować się do zachodnioeuropejskich i amerykańskich trendów, tak jak i moda młodzieżowa. Zaczynały się ostrożne próby rock and rolla i boogie-woogie, a oprócz tego foxtrot, tango i walc. Dwa pierwsze nie były aprobowane przez władzę, ponoć z powodu demoralizującego wpływu na socjalistyczną młodzież. Równocześnie widoczna była coraz śmielsza moda, nieidąca w parze z wysokimi standardami moralnymi propagowanymi przez partię. Te niewinne próby, jak noszenie przez chłopców kolorowych skarpetek i krótszych wąskich spodni, aby pokazać te skarpetki, uważano za stroje noszone przez wyrzutki społeczne oraz element o wątpliwej reputacji.

Przez kilka wakacji jeździliśmy z rodzicami na krótkie rajdy rowerowe. Nawet Marta, która miała może sześć lub siedem lat uczestniczyła w niektórych z nich. To były radosne i beztrudne wakacje. Rowery łądowaliśmy do pociągu, a naszym celem były często różne miejsca Pojezierza Mazurskiego. Drogi były dobre, większość z nich zbudowana przez Niemców jeszcze przed wojną, w tym czasie prawie nie było samochodów, więc jazda rowerem była czystą przyjemnością. Mieliśmy tylko niejasne pojęcie, jak daleko każdego dnia dojechać. Czynniki, które mogły determinować trasę i odległość, to pogoda, ochota na jedzenie lub pływanie, to, jak długo Marta wytrzyma przejażdżkę i zorientowanie się, gdzie spędzimy noc. Wszystkie rzeczy mieliśmy ze sobą, bagaż więc nie był duży. Jedzenie kupowaliśmy w wioskach. Nie było niczym niezwykłym zatrzymać się przed domem jakiegoś chłopca i poprosić kobiety, aby nam coś ugotowały lub sprzedały mleko czy warzywa. Ta sama rodzina pozwalała nam przespacerować się w stodole na sianie, często w towarzystwie myszy, świerszczy i komarów. Często byliśmy zapraszani do domu, aby zjeść obiad z rodziną. Była to okazja, aby porozmawiać z mieszkańcami wsi i te rozmowy były bardzo ciekawe. Rankiem niechętnie traktowaliśmy nasze ciała myciem w lodowatej wodzie prosto ze studni. Dostawaliśmy pożywne śniadanie i wyruszaliśmy w dalszą drogę. Chłopi brali od nas bardzo małe pieniądze za jedzenie, chociaż widzieliśmy, że są dość biedni; byli zbyt dumni, by prosić o coś więcej. Czasami zatrzymywaliśmy się w turystycznych domkach letniskowych lub w szkołach zaadaptowanych na hostele na czas wakacji. Zakwaterowanie było dość prymitywne, ale czasem była gorąca woda

i prysznic. Ogólnie rzecz biorąc czule wspominam te małe wycieczki i podziwiam Rodziców za ich kondycję i ducha sportowego. Z drugiej strony – byli ciągle młodzi, ledwie czterdziestoletni.

Pływanie

Gdzieś w drugiej klasie szkoły średniej przekonałam się do pływania jako sportu. O ile dobrze pamiętam, to dzięki mojemu bratu Piotrowi, który wtedy należał do klubu pływackiego i to on przedstawił mnie swojemu trenerowi. Zaczęłam z nim trenować, a on poświęcał mi mnóstwo czasu, prawdopodobnie myślał, że jestem dobrym materiałem na przyszłe igrzyska olimpijskie. Klub nazywał się Gwardia, a głównym sponsorem był należący do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i będący jego siostrzaną gałęzią, wszechwładny Urząd Bezpieczeństwa, polska tajna służba. Byliśmy wtedy dziećmi i nieważne dla nas było, kim są nasi sponsorzy, ale, co prawdopodobne, to sprawiło, że nasi Rodzice nie byli zachwyceni. Tak czy siak życie w klubie było w porządku, bo Ministerstwo Spraw Wewnętrznych miało mnóstwo pieniędzy, więc program dziecięcych przyszłych mistrzów sportu nie miał problemów z funduszami. Jeździliśmy na letnie obozy szkoleniowe, gdzie zawsze było fajnie, ale również były ciężkie treningi przez wiele godzin. Stałyśmy się dobrymi przyjaciółkami z najmilszą dziewczyną żydowskiego pochodzenia Adą Ringer, której tata, o czym dowiedziałam się później, był wysokiej rangi członkiem partii. Mieszkali w Alei Róż, ulicy zamieszkałej głównie przez dygnitarzy rządowych lub partyjnych. Gdzieś po około roku przeniesiono nas obie do innego klubu – Kolejarsz (obecnie Polonia przyp. – E. P.). Nie pamiętam, jak to się stało, prawdopodobnie jeden z trenerów zauważył nas na basenie podczas wakacyjnych treningów i zasugerował zmianę. Im bardziej angażowałam się w pływanie, mojemu trenerowi z liceum coraz mniej podobało się, że tracę zainteresowanie sportami grupowymi. Powiedział wtedy, że muszę w końcu wybrać jedną dyscyplinę i się jej trzymać. Tak więc wsiąklam w pływanie na następnych kilka lat i dzięki temu wyborowi szczęśliwie „trzymałam się” przez wiele, wiele lat waszego Tatusia, Dziadziusia i mojego męża przez 50 lat. Taty, Dziadka i Męża przez prawie pół wieku. Nigdy nie żałowałam tej decyzji.

Kiedy razem z Adą dołączyłam do nowego klubu, wiedziałyśmy o jego sławnych pływakach, niektórzy mieli rekordy Polski. Byłyśmy juniorkami, pełnymi aspiracji, które ich podziwiałały, a będąc razem na basenie, zachowywałyśmy się z pełnym szacunkiem wobec tych zawodników, naszych ideałów. W czasie jednej z takich okazji, kiedy było nam dane dzielić z mistrzami chlorowaną wodę, zauważyłyśmy O mój Boże – wspaniałego, jedyne go, niepowtarzalnego Jurka Gorzkowskiego, rozcinającego taflę wody swoimi silnymi ramionami.

Czułyśmy się takie szczęśliwe, kiedy te silne ramiona o mało nie uderzyły nas w głowę, chociaż próbowałyśmy przykleić się do ścianki, tak blisko jak to możliwe, aby nie przeszkadzać mistrzowi. Jurek nie zauważył nas. Kto, będąc na takim poziomie, zaprzętałby sobie głowę garstką nieznośnych, czternastoletnich dzieciaków, ledwie utrzymujących się w wodzie i robiących mnóstwo hałasu. Właściwie przez całą szkołę średnią i przez część studiów pływanie dominowało nad wszystkim, co robiłam poza szkołą. Treningi wymagały spędzania wielu godzin na basenie, często przed szkołą i prawie każdego dnia wieczorami. Zimą nie było nawet czasu, by wysuszyć włosy, więc często przyjeżdżałam do szkoły z zamrożoną „fryzurą” – mój styl „cool” nie obejmował noszenia czapki. Co dziwne, za wiele nie chorowałam, chociaż ten mój styl życia trochę martwił Rodziców. Mimo to byli szczęśliwi, bo nie miałam czasu na myślenie o imprezach, papierosach i broń Boże o alkoholu. Życie towarzyskie koncentrowało się na koleżankach i kolegach z basenu, byli miłą i zabawną grupą ambitnych indywidualistów, z którymi spotykałam się prawie codziennie na treningu. W ciągu roku dużo podróżowaliśmy – mityngi w różnych miastach, obozy latem. Wszystko to było dla nas za darmo; musieliśmy tylko zakupić strój kąpielowy i mieć małe kieszonkowe. Resztę sprzętu, bilet kolejowy, wyżywienie, zakwaterowanie, wynagrodzenie dla trenerów było zapewnione przez hojny socjalistyczny rząd. Rodzice nie narzekali – większość wakacji mieli z głowy, a ja ogromnie wtedy się cieszyłam.

W wersji wydarzeń według Jurka (Dziadziusia), zaczął mnie zauważać, kiedy miałam mniej więcej 15, 16 lat. Jeśli były jakieś miłosne sygnały, to ja nie byłam gotowa, by na nie odpowiadać. Jurek i jego koledzy wydawali się nam innym pokoleniem, tacy dorośli w wieku 20 lub 21 lat.

Był miłym „starszym facetem” i co najważniejsze sławnym pływakiem, więc jego zainteresowanie mi pochlebiało. Czasami ta jego uwaga była denerwująca, szczególnie wtedy, gdy moi koledzy pływacy dokuczali mi z jego powodu. Jurek więc wycofał się i przyczał na około dziesięć lat, tylko czasami próbował przyciągnąć uwagę, sprawdzając moją reakcję. Muszę przyznać, że przez cały ten czas wysyłałam mieszane sygnały, co doprowadzało go do wściekłości. Jaka byłam samolubna, rozpuszczona nastolatka! A życie płynęło między treningami, wyjazdami na zawody, obozy sportowe. Jurek czasami jeździł z nami, ale często jego rozkład zajęć różnił się od naszego, był w końcu członkiem kadry narodowej.

Rok 1955 stał się momentem zwrotnym dla młodych ludzi w Polsce, a szczególnie w Warszawie. Rząd postąpił nierozważnie, organizując w Polsce latem 1955 roku, w Warszawie Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Festiwal łączył wydarzenia kulturalne, zawody sportowe, koncerty i imprezy plenerowe, pokazy uliczne itp. Z punktu widzenia partii komunistycznej miało to być zgromadzenie młodzieży socjalistycznej całego świata, gotowej potępić „imperialistyczne” rządy w Ameryce i Europie Zachodniej, maszerującej uroczyście przy dźwiękach „Międzynarodówki”. Zamiast tego stało się odurzającą radosną imprezą, gdzie młodzi ludzie śpiewali i tańczyli na ulicach aż do świtu, zawierając spontaniczne przyjaźnie, wymieniając się ideami dalekimi od komunistycznych doktryn. Każdy dobrze się bawił pod bezchmurnym niebem szczególnie pięknego lata. Jazz i rock grane były wszędzie, studenckie amatorskie teatry wyszły z cienia. Nagle nikt nie bał się obserwacji tajnych służb, które prawdopodobnie nie wiedziały, jak zareagować na to ludzkie tsunami. Władze musiały rwać sobie włosy z głów, kiedy uświadomiły sobie, że prąd tej nieokiełznanej rzeki nie może zostać powstrzymany. Moim zdaniem ten festiwal był początkiem powolnej śmierci komunizmu. Cieszyłam się tak jak każdy, mogąc przebywać na ulicach do późna, co normalnie było nie do pomyślenia w naszej rodzinie. Rodzice uświadomili sobie, że dzieje się coś niezwykłego i pozwolili mi poczuć tego smak.

Kiedy festiwal się skończył, życie powróciło do swojego nudnego porządku, ale ziarno pragnienia wolności zostało zasiane i rozprzestrzeniło się wszędzie. Śmierć Stalina dwa lata wcześniej i rewelacje na

temat jego zbrodni, które zaczęły wychodzić na jaw, po raz pierwszy zmieniły sposób myślenia ludzi. Nawet ci, co ślepo wierzyli we władzę, zaczęli mieć wątpliwości.

Kiedy byłam w szkole średniej, nie pozwalano mi wychodzić z domu wieczorami, iść do klubów lub na prywatki organizowane przez starszych kuzynów lub ich znajomych. Znałam młodych ludzi, którzy sporo imprezowali, niektórzy rodzice nawet pozwalali dzieciakom w takim wieku, jak mój, chodzić na prywatki do znajomych czy krewnych. Ale nie moi rodzice. Byłam wściekła, ale teraz rozumiem ich decyzje. Wtedy nie było imprez dla bardzo młodej młodzieży, głównie dla tej trochę starszej, gdzie często serwowano alkohol. Pierwszy raz napiłam się wina w domu; Rodzice pozwolili mi spróbować z powodu specjalnej okazji, takiej jak Boże Narodzenie, uważali, że mam ciągle sporo czasu, aby dorosnąć do intensywnego imprezowania. Wiem, że Jurek chodził na takie imprezy, ponieważ od czasu do czasu chętnie się przede mną, jakich to ludzi spotkał i jakież to były wspaniałe balangi.

Znalazłam sprytny, ale tylko w części, sposób na te niedogodności poprzez ... pływanie. Nasz klub próbował zarabiać pieniądze na sfinansowanie naszych obozów i mityngów, więc kierownictwo pomyślało o wynajmowaniu miejsca na organizowanie imprezy i pobieranie sportowych pieniędzy za wejściówki. Był niezły zespół, jedzenie na sprzedaż, bez alkoholu, w niedzielę od 17 do 22. Odbывało to się w budynku biurowym blisko naszego domu. Najsilniejsi chłopcy pracowali jako bramkarze, a Rodziców przekonałam, że jestem tam potrzebna do pomocy (nie jako bramkarz, ale w ogóle). Muszę przyznać, że było to małe kłamstewko, bo wcześniej przekonałam Rodziców, że te imprezy są tylko dla członków naszego klubu. Dla mnie miało największe znaczenie to, że mogłam wejść za darmo i tańczyć przez pięć godzin do upadłego. Prawdę mówiąc, wiele nie pomagałam, ale bawiłam się świetnie. Czasami, hmm, wybuchały bójki między chuliganami, którzy nie byli członkami żadnego klubu sportowego, a płatnymi „gośćmi”. Gdyby moi Rodzice wiedzieli, że niektórzy z tych uczestników przemycali wódkę i przyjeżdżali już podpici i gotowi, by zaczynać bójki, nigdy nie pozwoliliby mi tam chodzić. Ale ja, że zawsze trzymałam się grupy przyjaciół, czułam się całkowicie bezpieczna.

Lata pięćdziesiąte na Mokotowskiej

Zawsze była „walka” o kolejność korzystania z jedynej w mieszkaniu łazienki. Dzieci miały korzystać z łazienki wieczorem, dorośli rano. Tata miał wchodzić pierwszy, wskakiwać pod prysznic za kotarą. W tym czasie my, dzieci, wpadaliśmy, aby umyć zęby lub przeczesać włosy. Potem Tata mógł wyskakiwać spod prysznica i ubierać się. Nie był w najlepszym nastroju o godzinie 6.30 rano – jego praca zaczynała się punktualnie o 7.30 i spóźnienia nie były tolerowane przez kierownictwo (trzeba było podpisywać się na liście obecności przy wejściu). Z przekory dla tych wprowadzonych surowych zasad, nawet dla twórczych i dobrych pracowników, Tata trzymał w szufladzie swojego biurka zestaw do golenia i ostentacyjnie golił się w łazience w biurze. Potem robił sobie filiżankę herbaty i zaczynał czytać gazetę. Około godziny 9 gotowy był do rozpoczęcia pracy. Jakoś dział kadr zostawiał go w spokoju, traktując jako nieszkodliwego ekscentryka. Z drugiej strony był twórczym pracownikiem Biura Urbanistycznego Warszawy, a jego projekty i pomysły były wysoko cenione.

Ponieważ musiał zaczynać pracę tak wcześnie, był w domu już około 4 po południu, szedł prosto do swojego pokoju, aby się zdrzemnąć w pełnym ubraniu: w marynarce, krawacie i butach. Oczekiwano od nas, abyśmy podczas tych drzemek byli cicho. Po godzinie lub dwóch Tata wstawał odświeżony, gotowy do działania. Warto zauważyć, że mężczyźni w czasach mojej młodości nosili marynarki i krawaty przez cały dzień. Strój luźny właściwy był tylko na wakacje. Tata był elegantem nawet w czasach, kiedy nie było pieniędzy, potrafił wybrać coś gustownego na bazarze, co kosztowało grosze i wyglądało „szykownie”. Mimo trudnych czasów rodzice uwielbiali zapraszać gości na obiady lub większe imprezy, takie choćby jak imieniny. Tata zajmował się nakrywaniem do stołu i przemeblowywaniem sypialni/salonu, gdyby przyszło więcej osób. Kiedy on to robił, wszystko wyglądało elegancko. W takich przypadkach Piotr i ja nakazane mieliśmy wspiąć się na drabinę i wyjąć dobrą porcelanę z szafek wysoko w kuchni. Po skończonej imprezie Mama i ja myłyśmy i wycierałyśmy wszystkie naczynia (ręcznie oczywiście) i potem znowu Piotr i ja wracaliśmy na drabinę, aby odłożyć wszystko na miejsce. Mama była doskonałym kucharzem

i potrafiła wyczarować smakowite dania z bardzo tanich składników, a ich przyjaciele uwielbiali przychodzić na te imprezy.

Wigilia była również celebrowana ze wszystkimi szczegółami takimi jak nakrycie stołu, dobra porcelana, wypolerowane srebro, śnieżnobiały obrus (Tata) i tradycyjne polskie dania (Mama). Od każdego oczekiwano odświętnego ubrania i właściwego zachowania. My, dzieci, zmuszane byliśmy do drzemki między 3 a 5 po południu, to był czas, kiedy Rodzice w jednym pokoju za zamkniętymi drzwiami przygotowywali prezenty pod choinkę, a Tata nakrywał do kolacji dwa lub trzy mniejsze stoły w innym pokoju. O około 6 po południu cała rodzina zapraszana była do stołu i ceremonia rozpoczynała się od dzielenia się opłatkiem, a potem siadaliśmy do stołu na przydzielone miejsca. Kolacja wydawała się nam, dzieciom bardzo długa, nie mogliśmy się doczekać, kiedy będziemy mogli wejść do sąsiedniego pokoju, gdzie oczekiwała choinka i prezenty. Na choince były prawdziwe świece, więc każdy musiał uważać, będąc w jej pobliżu, by nie spowodować pożaru. Blask i zapach świec były naprawdę magiczne i razem z zapachem świeżego drzewka zostawiły niezatarty ślad w mojej pamięci, utożsamiany z dzieciństwem i młodością.

Moja kuzynka i przyjaciółka, Inia Dembińska, mieszkała z nami przez jakiś czas. Jej ojciec, Wuj Stefan, nie mógł sobie dać rady z tak buntowniczą córką, która rzuciła szkołę i zdecydowała się zająć szybownictwem i skokami spadochronowymi. Spędzała większość swojego czasu na lotnisku sportowym, zajmując się różnymi zajęciami, aby sfinansować swoje hobby. W końcu podczas skoków złamała nogę w kostce, a jej kariera musiała przez jakiś czas poczekać. W wolnym czasie wychodziła ze starszymi kuzynami i kolegami do restauracji i nocnych klubów; ten styl życia nie podobał się jej tacie (a ja byłam trochę zazdrosna). Moi Rodzice zgodzili się nią zająć i przekonać, aby podjęła jakieś kursy korespondencyjne, aby uzyskać dyplom szkoły średniej. Czułam się bardzo szczęśliwa, że mieszkała z nami. Była prawie w moim wieku, zabawna, a pewne jej pomysły na temat życia były dość oryginalne.

Zajęcia szkolne miała od czasu do czasu i widać było jakiś postęp, chociaż raczej powolny. Jej największym problemem był rosyjski i kiedy musiała zdawać test, namówiła mnie, aby zrobić to za nią. Byłam całkiem niezła z rosyjskiego, więc jedynym problemem było nie dać się złapać przy okazywaniu legitymacji i udawać, że moja znajomość języka jest najwyżej mierna. Wszystko poszło dobrze – ani nauczyciele, ani Rodzice niczego

się nie dowiedzieli. Po jakimś czasie Inia dostała zaproszenie do Rzymu do pracy w charakterze opiekunki do dziecka w bogatej włoskiej rodzinie powiązanej ze światem filmu. Będąc tam poznała jakiegoś sławnego wtedy reżysera i producenta (Antonioniego? Felliniego? Viscontiego? czy De Laurentisa? – nie pamiętam, którego), a który odkrył, że ma ona wyjątkowy dar – bez użycia jakiegokolwiek urządzenia wiedziała, ile światła potrzeba do nagrywania jakiejś sceny w filmie. Została natychmiast zatrudniona przez największe studia filmowe i zaczęła zarabiać naprawdę duże pieniądze, nauczyła się bardzo szybko języka i wydawała się być w Rzymie bardzo szczęśliwa. Napiszę o niej potem trochę więcej.

W tym czasie ciągle zajmowałam się pływaniem, wygrywając w pomniejszych zawodach i ciągle ciesząc się z uprawiania tego sportu. W 1954 roku zostałam jedną z aktorek w filmie o sporcie. Zostałam „odkryta” razem z dwiema innymi dziewczynami na treningach przez ludzi od castingów. Dostałyśmy zaproszenie na dwa tygodnie do Bielska, miasta na południu Polski, wszelkie koszty były pokryte plus niezła zapłata. Dla mnie to było nieme kino, nie musiałam kompletnie nic mówić, tylko spędzać kilka godzin dziennie w zimnym basenie. Wszystko razem było zabawnym doświadczeniem, byliśmy traktowane przez miejscowych fanów kina jak prawdziwe filmowe aktorki, co sprawiało, że czułam się taka „dorosła”. Kilka lat temu podczas jednego z naszych letnich pobytów w Warszawie natknęliśmy się na ten film („Trzy Starty”) w telewizji. Czułam się dziwnie, widząc siebie na ekranie jako szesnastolatkę; wróciły stare wspomnienia. Na wiosnę 1956 roku ukończyłam szkołę średnią po zdaniu egzaminu maturalnego z dobrymi ocenami. Moim planem było pójść na Uniwersytet Warszawski, na Wydział Literatury Polskiej, a potem kontynuować studia na Wydziale Krytyki Teatralnej i zostać krytykiem teatralnym.

Wczesna dorosłość

Czułam się szczęśliwa i oczekiwałam z radością nowego rozdziału w mojej wczesnej dorosłości. Rodzice uważali, że jako osiemnastoletnia młoda kobieta nie powinnam mieć zgody na wychodzenie do klubów i uczęszczanie na prywatki, które były dość popularne wśród moich

kuzynów i kolegów. Jednak zgadzali się pod warunkiem, że będę mówiła, kiedy planuję wrócić do domu. Mój starszy kuzyn Włodek Dembiński (ten sam, który kilka lat wcześniej zrobił mi wykład na temat szkodliwości palenia) zaoferował się wprowadzić mnie na scenę prywatną. Jednego wieczora zaprosił mnie do znanej restauracji na kolację i tańce. Grał rolę starszego wujka, wyjaśniając mi jak i kiedy pić i nie pić wódki, jak grzecznie odrzucać zaproszenie do tańca od nieznanego w restauracji czy w barze itd. Nie byłam tak naiwna, ale jednak słuchałam się go, ponieważ Włodek naprawdę wczuł się w rolę. Rodzice prawdopodobnie uznali, że jego bardziej posłucham niż ich. Kuzyn, mimo wszystko, czuł się jak ryba w wodzie w kręgach towarzyskich, do których i ja miałam dołączyć.

Imprezowanie rozpoczęło się dla mnie od razu, gdyż życie towarzyskie Warszawy miało się wtedy całkiem dobrze. Organizowano tańce w klubach studenckich, koncerty na stadionach i ludzie często zbierali się w prywatnych domach na herbatce lub czymś mocniejszym. Nie wszyscy mieli telefon, więc popularną praktyką było wpaść do czyjegoś domu wieczorem, po prostu. Taki ktoś prawie zawsze spotykał tam już innych, czasami cała grupa szła do kina, kawiarni lub rozmawiała. Tak się zdarzało, że mieliśmy przy sobie jakieś małe kwoty pieniędzy (w moim przypadku kieszonkowe), nie trzeba było wiele, by kupić filiżankę kawy czy kieliszek taniego likieru. Poza tym starsze towarzystwo, które miało już pracę (tak jak Jurek), z przyjemnością kupowało drinki dla dziewczyn, które im się podobały, lub dla biednych przyjaciół studentów. W ten beztroski sposób rozpoczęła się wiosna i lato 1956 roku. W tym czasie w Polsce miały miejsce ważne polityczne wydarzenia.

W czerwcu robotnicy z Poznania wywołali zamieszki, aby oprottestować swoją społeczną i ekonomiczną sytuację. Uczestnicy tych protestów byli prowadzeni przez robotników z Fabryki Cegielskiego. Żądali wyższych płac i „tańszego chleba”. Wiadomości o tych protestach rozprzestrzeniły się po Polsce jak ogień. Wraz z przyjaciółmi zdecydowaliśmy się natychmiast udać się do Poznania, aby być naocznymi świadkami tego pierwszego wybuchu klasy pracującej, będącej w opozycji do władz; razem z Jurkiem, ale i innymi osobami, dostaliśmy się na pierwszy dostępny pociąg do Poznania. Solidarność na ulicach była nie do uwierzenia; dołączyliśmy do tłumu mimo strażów oddziałów

milicji w kierunku demonstrantów. Szacowano liczbę zabitych na około 38 do 100 osób, w tym oficerów komunistycznych, którzy znaleźli się na linii ognia. Protestujący na krótko przejęli kontrolę w ratuszu i w siedzibie milicji. Liderów protestów osądzono, bardzo dobrze pamiętam przemowę premiera rządu Cyrankiewicza, który zadeklarował, że „rząd nie zawaha się odciąć ręki, która ośmieli się podnieść przeciwko władzy ludowej”. Na ironię, ci sami ludzie, których uważało się za rządzący lud, powstali przeciwko komunistycznej partii. Procesy zostały wstrzymane po kilku miesiącach, wydaje się, że rząd nie do końca był przekonany o swojej wszechmocy. Kilku przywódców komunistycznych zleciło usunięcie sowieckich oficerów z polskiej armii.

W atmosferze radości i nadziei, że nowa era zaraz się zacznie, podjęłam niezbędne kroki, aby przejść przez procedurę egzaminów wstępnych na Uniwersytet Warszawski. Czułam, że to tylko formalność, w moim mniemaniu byłam dobrze przygotowana. Trzeba było jeszcze odczekać kilka tygodni, aż wyniki zostaną wywieszone na tablicach. Ponieważ nie martwiłam się, zajęłam się dobrą zabawą; spotykając się z przyjaciółmi, poznając mnóstwo nowych ludzi, z którymi bawiłam się na licznych imprezach. W tym czasie Jurek, który należał do innej grupy towarzyskiej, do której i ja chciałam się dostać, z przyjemnością zapoznawał mnie z tymi ludźmi. Staliśmy się wtedy naprawdę dobrymi przyjaciółmi, doceniałam jego wysiłki, abym dobrze czuła się w nowym towarzystwie. Tak długo, jak próbował nie okazywać, że stara się być moim chłopakiem, akceptowałam to jego mną zainteresowanie. Poza tym ciągle byliśmy razem w tym samym klubie pływackim i nasze sportowe koleżeństwo było bardzo mocne. Muszę jednakże dodać, że pływanie pomału oddalało się z naszego życia. Jurek, świeżo upieczony inżynier, pracował w fabryce motocykli (praca rozpoczynała się o 6 rano) i ciężko było trenować codziennie po pracy. Wolał spotkać się z przyjaciółmi lub porządnie zdrzemnąć – to przyzwyczajenie odkryłam później. A ja, z drugiej strony, byłam zaaferowana perspektywą studiów i umawiałam się z różnymi młodymi mężczyznami na kawę i pogawędki lub grupą szło się do baru czy obejrzeć sztukę lub film. Latem spędzaliśmy wiele dni na najbardziej popularnym basenie Legia, gdzie przystojni faceci próbowali spotkać równie ładne dziewczyny. Dobrze się bawiliśmy i czasami prowadziło to do zawarcia nowych przyjaźni, sympatii, złamanych serc i scen zazdrości.

Studia

Nie byłam przygotowana na szok z powodu odrzucenia przyjęcia na Uniwersytet Warszawski. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy czytałam oficjalną listę przyjętych, chociaż zdałam egzaminy wstępne, nie zostałam przyjęta, oficjalnie z powodu niewystarczającej liczby miejsc na studia w stosunku do ubiegających się. Dla mnie to był kolejny dowód, że ludzie tacy jak ja nie byli dobrze postrzegani na wyższych uczelniach z powodu ziemiańskiego pochodzenia i dodatkowo obciążeni katolickim średnim wykształceniem. Nie było na to dowodów, jednak czułam się bardzo rozczarowana. W grupie bliskich kuzynów i przyjaciół było całkiem sporo takich, którzy nie dostali się na studia z prostego powodu – ich rodzice byli podczas wojny członkami Armii Krajowej bądź ich rodziny były właścicielami ziemskimi lub oficerami w przedwojennej armii itp. Doskonałym przykładem jest Jurek, mój mąż, który musiał pracować przez rok jako traktorzysta, aby mógł starać się o przyjęcie na Politechnikę. Jako członek klasy robotniczej dostał za to „pozytywne punkty”. Trudno w to uwierzyć, ale Jurek został zdyskwalifikowany przez swojego byłego przyjaciela i Sybiraka (te dwie rodziny przetrwały głównie dzięki wysiłkom mamy Jurka, która pracowała w tamtejszym szpitalu). Ten były kolega stał się wielkim entuzjastą systemu. Uważał, że takim ludziom jak Jurek nie powinno się pozwalać na uzyskanie wyższego wykształcenia w socjalistycznym kraju. Innym przykładem był Ferdynand Radziwiłł (Radziwiłłowie to historycznie jedna z najstarszych prominentnych arystokratycznych rodzin w Polsce), któremu ciągle odmawiano zgody na studiowanie na Akademii Medycznej. Wytrzymał przez kilka lat i w końcu go przyjęto. Było takich wielu, których historie rodziny analizowano tylko po to, aby znaleźć jakiś „haczyk” taki jak: przedwojenna własność ziemi czy fabryki lub znalezienie rodziny, których członkowie śmieli zostać na Zachodzie po drugiej wojnie światowej i nie chcieli powrócić do komunistycznego raju. Mama, która kontynuowała swoje studia i pracowała w Instytucie Historii, próbowała rozmawiać z niektórymi ludźmi, których знаła na Uniwersytecie i prosić ich o radę. W wyniku jej wysiłków pozwolono mi uczęszczać na wykłady jako ekstern z nadzieją, że jacyś studenci zrezygnują po pierwszym semestrze, jak to się często zdarzało. Wtedy dopuszczono by mnie na regularny tok studiów. Może tak, może

nie, myślałam, ale zdecydowałam się pójść tą drogą, jednakże z oporem. Jak większość wydarzeń w moim życiu, tak i studiowanie literatury polskiej widocznie nie było w „moich kartach”. Pewnego pięknego poranka pod koniec wakacji w skrzynce pojawił się tajemniczy adresowany do mnie list. Był z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i zapraszał mnie na wzięcie udziału w egzaminach wstępnych do Szkoły Głównej Służby Zagranicznej Sekcja dla Tłumaczy. W komisjach kwalifikacyjnych zasiadało wielu fanatyków partii, którzy odrzucali tzw. „wrogów ludu”. Nie miałam pojęcia, że taka uczelnia istnieje, ale gdy przekonałam się, że jest mocno upolityczniona, wydawało się to niemożliwe, aby moja kandydatura mogła być brana pod uwagę. Przedyskutowaliśmy z Rodzicami sytuację i pomyśleliśmy, że może czasy w końcu się zmieniają i Ministerstwo prawdopodobnie potrzebuje ludzi, którzy znają języki. Decyzja rodziny była taka, aby spróbować, nic nie było do stracenia, bo ciągle miałam opcję eksterna na Uniwersytecie. Byłam sceptyczna, ale zdecydowałam, że podejmę próbę i podejść do egzaminu. Okazało się, że mieli nasze papiery z uczelni, które nas odrzuciły i uważnie wybrali sobie osoby ze znajomością przynajmniej dwóch języków obcych. Zdawałam z angielskiego, francuskiego i rosyjskiego. Po tygodniu lub dwóch otrzymałam list z informacją, że zdałam i jestem przyjęta. Po przemyśleniach i głębokich rozważaniach zdecydowałam się pożegnać z Uniwersytetem.

Na jesieni 1956 roku w polityce dał się wyczuć pewien niepokój. Kiedy rozpoczęłam naukę w październiku, nasilały się antysowieckie demonstracje, które zaniepokoiły Związek Radziecki. Odbływały się olbrzymie wiece studentów, robotników i zwykłych obywateli żądających większej swobody wypowiedzi, mniejszej cenzury i lepszych warunków życia. To był czas, gdy nawet studenci mojej uczelni żądali przez swojego przewodniczącego zmniejszenia liczby godzin obowiązkowej „filozofii” Stalina i Lenina. To były małe kroki, ale my mieliśmy nadzieję na duże zmiany. W tym kontekście łudziłam się, myśląc, że wreszcie nadchodzi koniec mojego statusu „persona non grata”. Zaczynałam wierzyć, że po ukończeniu czterech lat moich studiów stanę się kimś użytecznym w szerokiej dziedzinie prawa międzynarodowego, polityki i dyplomacji.

Jeśli chodzi o program nauczania – to było wielkie wyzwanie. Na moim małym wydziale to był język – bardzo intensywny. Mieliśmy 14 godzin angielskiego na tydzień, po 4 godziny francuskiego i rosyjskiego i 2 godziny łaciny. A co do przedmiotów ogólnych, studiowaliśmy

prawo międzynarodowe, historię, geografę, historię dyplomacji, historię sztuki. Na pewnym etapie uczęszczaliśmy na kurs protokołu dyplomatycznego (ten przedmiot prowadzony był przez uroczego starszego profesora, którego Mama poznała, studiując w latach trzydziestych na Uniwersytecie Lwowskim). Spotkałam bardzo miłą grupę ludzi, którzy razem ze mną chodzili na zajęcia, niektórzy rzeczywiście byli członkami partii, niektórzy byli dziećmi urzędników służby zagranicznej. Atmosfera była serdeczna i wyluzowana, każdy był mniej lub bardziej krytyczny wobec sowieckiego wpływu na Polskę, a lata 1956–1958 były latami stosunkowo większej wolności i otwartości, przynajmniej powierzchownie. Pozostałam w kontakcie z niektórymi, którzy studiowali ze mną; moją najbliższą przyjaciółką była i jest Kasia Grodzicka (teraz Rozwadowska), z którą często się widuję podczas moich wizyt w Warszawie.

Lata studiów były beztrudne i szczęśliwe. Nie żałuję, że nie poszłam na Uniwersytet. Życie towarzyskie też miało się dobrze. Teraz nasza paczka powiększyła się o kilku młodych dyplomatów chętnych poznać „miejscowych”.

My też cieszyliśmy się ze spotkań z nimi; zwłaszcza że podróże na Zachód praktycznie nie istniały. Kiedy Babunia Przysuska (Dembińska) uzyskała zgodę na podróż do Stanów Zjednoczonych na początku lat pięćdziesiątych, aby odwiedzić swoje dzieci, było to dla nas wielką sensacją. Wracając do młodych dyplomatów – dużo z nimi chodziliśmy, byli zapraszani na nasze prywatki i my często zapraszani byliśmy do ich mieszkań na obiad, tańce czy brydża. To było bardziej praktyczne, bo ich mieszkania były przestronniejsze, a ich wszyscy polscy przyjaciele mieszkali z rodzicami, przeważnie na małym metrażu (Mokotowska w porównaniu z innymi miejscami uważana była za olbrzymi lokal).

Aby pomieścić większe grupy ludzi, często wynajmowaliśmy salę konferencyjną w jakimś biurowcu, za symboliczną opłatę, a nasi bardziej przedsiębiorczy przyjaciele organizowali tam pierwszej klasy bale. Jedzenie przynosiliśmy albo zamawialiśmy w restauracjach. Muzyka była z płyt winylowych. Imprezy trwały całą noc i do białego rana, skąd szło się grupą na poranną mszę świętą. Następnie spało się w domu cały dzień, czasami można się było spotkać po południu u kogoś w domu, aby trochę potańczyć czy ewentualnie napić się czegoś. Dziewczyny potrzebowały mnóstwa sukienek na imprezy, bo takie zdarzały się dość

często. Robiliśmy zakupy na „bazarze”, gdzie sprzedawano używane ubrania lub polegaliśmy na rzeczach, które przychodziły od krewnych ze Stanów. Tak zwana „mała pani”, nasza droga cudotwórczyni, zezowata szwaczka, miała pełno roboty z tymi ciuchami; tworzyła z nich bardzo eleganckie wieczorowe kreacje najpierw dla mnie, a potem moich sióstr.

Jednego lata byłam na obozie w Bieszczadach w południowo-wschodniej Polsce, część z nich tworzy granicę z Ukrainą (w tamtym czasie Związkiem Radzieckim). Zaraz po drugiej wojnie światowej na tym terytorium toczyły się ciężkie walki pomiędzy Ukraińcami szukającymi niepodległości (UPA przyp. – E.P.), a po polskiej stronie granicy między polską komunistyczną armią, która razem z Rosjanami próbowała brutalnie zwalczać jej oddziały.

W rezultacie praktycznie wszyscy mieszkańcy wiosek po polskiej stronie, uznawani jako sprzyjający bandom UPA, byli albo zamordowani, albo deportowani na ziemie byłego niemieckiego Pomorza (północno-zachodnia Polska). W konsekwencji tych czystek etnicznych, w czasach mojej tygodniowej wędrowki, polskie Bieszczady były wyludnione. Zostałam zaproszona przez koleżankę Magdę, aby dołączyć do niej i jej dwóch starszych kolegów, Andrzeja i Wacka. Nie znałam tych chłopaków wcześniej i rodzice wahali się, czy zgodzić się na tę wędrowkę w tak małej grupie. Ale dzięki małej perswazji mamy Magdy, która знаła bardzo dobrze naszych towarzyszy, udało się to. A ponadto obaj byli wysoko w hierarchii harcerzy Orląt. Pozostaje dla mnie tajemnicą, dlaczego chcieli wziąć nas dwie pod swoje skrzydła. Wspaniale spędziliśmy czas; ci młodzi mężczyźni byli bardzo doświadczonymi piechurami. Wiedzieli, że będziemy musieli nieść większość naszego prowiantu i sprzętu na plecach. Ładunek był rozłożony prawie równo, żadnego specjalnego traktowania dziewczyn, więc nasze plecaki tylko trochę były lżejsze od ich. Maszerowaliśmy godzinami w dół i w górę, Magda i ja byliśmy zbyt wykończone, aby podziwiać widoki, ale pod koniec wycieczki nasza kondycja stopniowo wzrastała. Razem gotowaliśmy posiłki i potem wieczorem rozbijaliśmy dwa namioty. Grupowa modlitwa była punktem każdego wieczora. Bieszczady są naprawdę urokliwe; nie ma tam wielkich szczytów jak w Tatrach. Delikatne, pokryte trawą stoki i niekończące się równo pokryte zielenią równiny oraz łąki pełne dzikich kwiatów. Pamiętam obfitość jagód i poziomek. Nasi „liderzy” byli czasami tak mili, że pozwalali nam skorzystać z tej masy obfitości, takie

przystanki nie były jednakże zbyt częste, nakłaniali delikatnie do dalszego marszu. Ten cały wyjazd był doskonałą lekcją poznawania dyscypliny i własnej odporności w trudnych warunkach często takich, jak na przykład schodzenie ze stromego stoku podczas szalejącej burzy. Nasza czwórka została przyjaciółmi po tej wycieczce. Dość często spotykam Andrzeja w Warszawie, bo ożenił się z jedną z moich dalekich kuzynek.

Prawie każdej zimy z grupą przyjaciół jeździliśmy na narty do Zakopanego, które jest najbardziej znanym górskim kurortem polskiej części Tatr. Mogłam sobie jakoś pozwolić na bilet kolejowy i skromne codzienne wyżywienie. Jak na standardy studenckie, byłam dość bogata dzięki różnym zleceniom, które otrzymywałam jako polsko-angielsko-francuska tłumaczka w firmach, które przyjmowały zagranicznych gości. Czasami musiałam przygotowywać się do problematyki, o której nie miałam zielonego pojęcia; jednym takim przykładem była konferencja na temat chorób wenerycznych. Organizatorzy dali mi parę kartek z tematyką konferencji i nakazali nauczyć się na pamięć większości terminologii. Trochę się obawiałam, ale robota była dobrze płatna, więc zgodziłam się. Myślę, że zrobiłam dobrze. Moja powierzchowna wiedza łaciny pomogła mi bardzo, jako że terminy medyczne były prawie identyczne w obu używanych językach. Muszę przyznać, że wiele się nauczyłam o rzeżączce, syfilisie i całym zestawie tych okropnych dolegliwości. Wzięłam pieniądze i byłam szczęśliwa, że wydarzenie się skończyło.

Wracając do gór. Z dworca kolejowego w Zakopanem jechaliśmy autobusem do stacji Kuźnice. Stamtąd wędrowaliśmy dobrych kilka godzin, niosąc plecaki i narty, do schroniska na Hali Gąsienicowej. Zakwaterowanie było w stylu młodzieżowego hostelu, chociaż również było tam paru starszych narciarzy. Pokoje były bardzo duże, ale z wąskimi wojskowymi łózkami. Jeśli schronisko było pełne, lokowano ludzi w sąsiednim domku letniskowym lub raczej chałupie podobnie wyposażonej, zwanej trumną, prawdopodobnie z powodu jej wąskiego i długiego kształtu. Wszystkie te pokoje były koedukacyjne; jedna osoba była od drugiej na odległość plecaka, który musiał być schowany pod łóżkiem. Pysznice często były zimne lub letnie, ale nam to nie przeszkadzało. Najważniejsze były narty. Wyciąg narciarski biegł od schroniska do szczytu góry i dobrzy narciarze zjeżdżali kilka razy na dzień. Czasami przed ostatnim wjazdem zrobili zakupy żywności dla grupy, więc nie musieliśmy wszystkiego kupować w barze. Bardzo

często dostawaliśmy gorącą wodę z kuchni, aby zrobić sobie herbatę i zjeść nasz własny chleb i kiełbasę. Kierownictwo schroniska było bardzo wyrozumiałe i nigdy zabraniało nam tej formy posiłku. Byłam bardzo słabym narciarzem, więc moim wyczynem było wjechanie na szczyt wyciągiem i zjechanie do kwatery. Muszę nadmienić, że mój tyłek był bardzo obolały od codziennych częstych upadków. Z pewnością nie byłam w stanie zaimponować moimi umiejętnościami narciarskimi przystojniakom z naszej grupy, gdzie wokół było wiele ślicznych dziewczyn, które bez trudu szusowały i jeździły slalomem obok mnie nieszczęsnej... Do mnie należały zajęcia po nartach, kiedy wszyscy gromadzili się w ładnym holu przed kominkiem, z herbatą czy kieliszkiem wina w dłoni i rozmawiano o wydarzeniach minionego dnia. Narty z pewnością nie były moją mocną stroną. Podczas obozu sprawnościowego dla pływaków złamałam kostkę i musiałam być przetransportowana do szpitala w Zakopanem. Byłam w szoku i nie mogłam przestać trząść się w czasie jazdy tam saniami. Moim „aniołem stróżem” był Jurek, który zdecydował się towarzyszyć mi w tym moim opłakanym stanie. To rzeczywiście było miłe z jego strony, naprawdę czułam się beznadziejnie; zagubiona i obolała.

Kilka lat potem pojechałam do Zakopanego z dobrym znajomym, który był doskonałym narciarzem i usiłował podszkolić mnie w tym sporcie. Pomógł również wypożyczyć właściwe narty i buty, wtedy dopiero poczułam różnicę. Nic więc dziwnego, że byłam nim dość zainteresowana, bez wzajemności jednakże. Wiele, wiele lat później, kiedy pracowałam dla Travel Adventures w Newport Beach, miałam okazję z kolegami z pracy pojechać na kilka dni do Aspen. Jedna dziewczyna i ja wynajęłyśmy prywatnego instruktora, który naprawdę nauczył nas jeździć na nartach. W ciągu dwóch dni potrafiłam zjechać może nie z samego szczytu największego ośrodka narciarskiego Snowmass, ale z całą pewnością byłam w stanie kontrolować moje ruchy i poczułam absolutny dreszczyk emocji.

Kiedy mówimy o tym, że byłam słaba w niektórych sportach, trzeba powiedzieć, że raz zostałam zaproszona na żeglowanie po Zalewie Szczecińskim. Wypad miał trwać około tygodnia i zostałam poinformowana, że na łodzi będzie nas mała grupa. Pojawiłam się na doku w dniu wypływu, przyjechałam z Warszawy transportem, jak zwykle uprzedniego Jurka, na jego motocyklu. Musiał nie być zachwycony, widząc

załogę w liczbie jednego człowieka witającego mnie w porcie Szczecin. Podejrzewałam, że to był plan opracowany przez mojego przyjaciela „komodora”, ponieważ niejasno tłumaczył szczegóły odnośnie do wyjazdu. Próbowalam namówić Jurka, aby pozwolił mi jechać pociągiem, aby uniknąć ewentualnej kłopotliwej sytuacji. Czułam się bardzo źle, bo nie chciałam zranić uczuć Jurka. Dwaj dżentelmeni znali się, ale w tych okolicznościach powitanie było ledwie uprzejme, pożegnanie szorstkie i bez uśmiechów.

Jurek zawrócił na swoim motocyklu i odjechał z głośnym rykiem swojej maszyny. Szybko zostałam wprowadzona na pokład i razem z moim przyjacielem, na mocy taktownego porozumienia, nigdy nie wspominaliśmy niezręcznej sytuacji, która miała miejsce chwilę przedtem. Dowiedziałam się, że inni potencjalni członkowie załogi wycofali się i musiałam szybko nauczyć się arkanów żeglowania. Starałam się sumiennie wykonywać polecenia, ale muszę się przyznać, że nie jestem „naturalna” w żeglarskim, więc moja nauka szła raczej wolno, ku konsternacji mojego przyjaciela K. Muszę wyznać, że cała wyprawa nie była piknikiem. Napotkaliśmy bardzo silne wiatry pod chmurnym i często deszczowym niebem; przez prawie cały czas było mi zimno i mokro. Często cierpiałam na chorobę morską i w końcu poddał się i mój żołądek. K. zlitował się nade mną i pomógł mi dotrzeć do końca. Szkoda mi go, ponieważ naprawdę próbował sprawić, abym czuła się komfortowo i przekonywał mnie do polubienia żeglowania. Hmm, naprawdę to żeglować lubię na Karaibach, Hawajach czy Tahiti, gdzie woda i powietrze są ciepłe, załoga pracuje za ciebie i można cieszyć oko widokiem turkusowej wody.

Klub Motocyklowy Bristol

Muszę powiedzieć parę słów o naszym sławnym Klubie Motocyklowym Bristol. Było to nieformalne stowarzyszenie przyjaciół, którzy posiadali motocykle i lubili weekendowe wyjazdy poza miasto do wcześniej zaplanowanych miejsc: na pikniki, pływanie, wędrowki, zwiedzanie czy zwykle nicnierobienie nad brzegami jezior. Te eskapady miały miejsce od wiosny do jesieni, czasami były z noclegami z soboty na niedzielę,

najczęściej w jakiejś stodole pełnej siana. Mieszkańcy wiosek zapraszali, aby zostać, za skromną opłatą przygotowywali śniadanie i lubili rozmawiać o swoim życiu, bez skrupowania narzekając na biedę spowodowaną przez władzę.

Każdy z nas (ale głównie dziewczyny) brał prowiant do przygotowania wspólnych posiłków. Mówiąc o dziewczynach, miało to znaczenie dla wiedzy o tym, która z nich była zaproszona do jazdy z którym chłopakiem. Pary utworzone na te wyjazdy mogły oznaczać, że coś tu z randką jest na rzeczy, ale nie zawsze. Skład grupy był ujawniany na miejscu spotkania w dniu wyjazdu. Jeden patrzył na drugiego, aby zorientować się, kto z kim jedzie, aby móc ustawić jakieś aranżacje. Często byłam zapraszana, by jechać z Jurkiem – z radością przyjmowałam taką propozycję, bo on zawsze miał najlepszy i najszybszy motocykl, a ponadto był wyborowym kierowcą, pozwalał mi również prowadzić. Czasami jechałam z Kaziem Moesem; był moim dobrym kolegą i bardzo dobrym partnerem do tańca. Razem z nami w wyjazdach brały udział moje siostry Elżbieta i Joanna, ale też brat Piotr i siostra Jurka – Anka. Byli też inni znaczeni członkowie naszego klubu; niektórzy z nich potem pobrali się: Jaś Stecki i Renia Michałowska, Zak Zakrzewski i Gaby Karska, której brat również należał do klubu. Byli także Andrzej i Izia Dembińscy, Krzysztof Meisner (znany jako Małpa) i wielu, wielu innych. Maja Oliver (z domu Jagnińska) z Londynu dołączała do nas, kiedy była w Polsce. Tradycją było spotkanie w barze Hotelu Bristol po powrocie z wycieczki, aby pożegnać się wieczorem. Było to doskonałe miejsce, aby przedyskutować wydarzenia dnia lub weekendu nad kieliszkiem (czy dwoma) wódki. Oczywiście nie trzeba mówić, że pojazdy zostawały w domach, gdy my wybieraliśmy się do barku. Ten Moto Klub funkcjonował przez całkiem długi czas, nawet kiedy skończyłam studia. Po jakimś czasie dwie dziewczyny zdecydowały, że same będą prowadzić swoje pojazdy. To była Izia Dembińska i Maka Meissener, które były dumnymi posiadaczkami skuterów marki Lambretta. W pewnym momencie i ja stałam się niezależnym kierowcą, co miało miejsce po nabyciu skutera Vespa. Mama знаła jakiegoś człowieka, Polaka w Zurichu, który mieszkał tam od czasu, gdy był jeńcem wojennym, jeszcze na początku drugiej wojny światowej. Mama ustaliła z nim zakup używanej Vespy i wysłanie jej do Warszawy. Musiałam zapłacić Rodzicom, a mogłam to zrobić dzięki pieniądзом uzyskanym z tłumaczeń.

Biedny student zarabia pieniądze

Miałam szczęście dostać parę dobrze płatnych zleceń. Niektóre były nudne, niektóre ekscytujące. Jednym z takich ciekawych wydarzeń było zatrudnienie mnie jako tłumacza dla uczestników Chopinowskiego Konkursu Pianistycznego. Dzięki tej funkcji mogłam uczęszczać na wszystkie koncerty, chociaż czasami było już trochę nudne słuchanie tych samych utworów granych przez uczestników walczących o kwalifikację do następnego etapu konkursu. Byłam świadkiem wielu złamanych serc i łez tych, którzy zostali wyeliminowani po pierwszym czy drugim etapie. My, tłumacze, próbowaliśmy pocieszać tych młodych artystów, którzy przyjechali do Warszawy z całego świata, również z Chin, Japonii, a nawet Indii. Niektórzy zwycięzcy tego szczególnego konkursu stali się światowej sławy artystami, tacy jak Maurizio Pollini, Martha Argerich i inni.

Innym interesującym zadaniem była funkcja tłumacza dla zagranicznych drużyn narciarstwa nordyckiego na Międzynarodowych Studenckich Zawodach w Zakopanem. Zakwaterowano nas w całkiem ładnym hotelu w mieście. Moim obowiązkiem głównie była opieka nad zawodnikami podczas ich czasu wolnego.

Zawarłam kilka przyjaźni z uczestnikami, których przywiało ze Skandynawii i Finlandii, pamiętam, że była też drużyna z Libanu. Ci młodzi ludzie wiedzieli, jak się bawić! Libańczykom tak spodobała się Polska, że przedłużyli swój pobyt w Warszawie, a ja zaprosiłam ich do domu Rodziców – byli pod wielkim wrażeniem, że umiemy mówić po francusku!

Mama załatwiła mi funkcję oficjalnego tłumacza swoich artykułów, które pisała dla historycznych periodyków. Na początku było ciężko wejść w te archeologiczne terminy, ale z czasem moja praca spotkała się z aprobatą „wyższych władz” jej Instytutu.

Wyjazd do Anglii

Mój pierwszy wyjazd na Zachód do Anglii był po pierwszym roku studiów. Rok 1956 był pierwszym, kiedy wyjazd za granicę stał się możliwy dla całkiem wielu Polaków. Mogli oni uzyskać paszport, jeżeli mieli oficjalne zaproszenie od członków rodziny mieszkających za granicą; paszport wydawany był wyłącznie na czas podróży, tylko do wskazanego kraju i musiał być zwrócony władzom natychmiast po powrocie. Można było kupić ekwiwalent 5 dolarów, nic więcej. Posiadanie zagranicznej waluty było zabronione. Podróżowałam z grupą kolegów z uczelni; nasza studencka organizacja załatwiła nam zaproszenie do Anglii do pracy na polach truskawek w hrabstwie Cambridge. Najpierw jechaliśmy pociągiem, potem płynęliśmy promem, a potem znowu jazda pociągiem. Zakwaterowani byliśmy w dużych namiotach pośród pola truskawek; brygadzysta budził nas każdego ranka około 6 rano, ćwierkając wesoło przy wejściu do każdego namiotu – „niech zobaczą wasze uśmiechnięte twarze”. Po śniadaniu na serio rozpoczynała się praca. Płaca zależna była od wagi zebranych owoców. My, ubodzy studenci z Polski, pracowaliśmy tak szybko, jak się tylko dało. Obietnica zarobienia realnych pieniędzy na realne zakupy była naszym celem. Studentom z krajów zachodnich nie zależało na wydajności, często ucinali sobie drzemki na polu wśród krzaczków truskawek lub jedli owoce złościąc pracodawców. Włosi byli szczególnie dobrzy w takim kamuflażu.

Po pracy często szliśmy razem z naszymi międzynarodowymi kolegami do miasta; robiliśmy zakupy, tańczyliśmy i trochę piliśmy. Potem zawsze był problem z powrotem do obozu, bo autobusy nie jeździły późno w nocy. Dziewczyny zawsze załapywały się na autostop, mnie często zdarzała się podrzutka ze strony motocyklistów, co dzisiaj uważałoby się za bardzo niemądre, ale nie zastanawialiśmy się wtedy i wskakiwałyśmy na tylne siedzenie. Ci kierowcy byli zawsze grzeczni i mili. Mieliśmy pracować sześć tygodni, ale pod koniec miesiąca wszystkie truskawki zostały zebrane, a nam powiedziano „dziękujemy i możecie wyjeżdżać” lub „znajdźcie sobie inną pracę”. Łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić, nie mieliśmy pojęcia, co robić, a nasz polski kontyngent nie miał jeszcze najmniejszej ochoty na powrót do Polski. Dowiedzieliśmy się, że w pobliskiej fabryce przetworów poszukują niewykwalifikowanych

pracowników, więc rzuciliśmy się, aby się ubiegać o tę pracę. Nasza grupa była spora i składała się ze zbieraczy truskawek – studentów różnych europejskich krajów. My, Polacy, czuliśmy się, jak byśmy byli aktorami w filmie *cinema verite*. Te francuskie i włoskie filmy robione głównie przez lewicowych reżyserów pokazywały trudną sytuację uciskanych robotników wykorzystywanych przez kapitalistów na Zachodzie i używane były w bloku państw komunistycznych do celów propagandowych. Nasz własny film reality rozpoczął się, kiedy brygadzysta otworzył bramę i tłum bezrobotnych napierał na niego, krzycząc „weź mnie, proszę weź mnie”. Oczywiście szukali tylko około tuzina silnych męskich robotników. Resztę odesłano. W ciągu kilku dni każdy znalazł sobie jakieś mieszkanie. Było całkiem sporo miłych Polaków mieszkających w Londynie, którzy zaprosili moich przyjaciół, aby u nich zamieszkali, niektórzy zdecydowali się wracać do Polski. Jedna dziewczyna zakochała się i została w Anglii, by poślubić swojego kawalera. Ci, w tym i mnie, którym udało się znaleźć pracę w sąsiedztwie, mogli zostać w naszym obozie przy truskawkach; ta zgoda obejmowała zakwaterowanie, prysznice, pranie itp. Zostałam zatrudniona przez gospodarza, który uprawiał w wielkich szklarniach wszystkie rodzaje warzyw. Zrywałam pomidory, sałatę, fasolkę itp. i wykonywałam inne równie ważne zadania. Bardzo miło wspominam te dwa tygodnie pracy. Spotkałam tam najmilsze panie, które również tam pracowały, szybko się zaprzyjaźniłyśmy, panie te zaprosiły mnie do swoich domów i potem przez wiele lat przysyłały mi zdjęcia swoich rodzin czy kartki świąteczne. Z czułością wspominam sakralny rytuał picia herbaty – pierwsza filiżanka zaraz po przyjeździe około 8 rano, potem następna – o 10, na obiad była ryba i frytki zawinięte w gazetę.

Pod koniec tych dwóch tygodni pożegnałam się z rolnictwem i przyjechałam do Londynu, gdzie zostałam zaproszona na pobyt u moich dalekich krewnych i bardzo dobrych przyjaciół Rodziców, Izia (Jerzego) i Marysi Baworowskich (ona odeszła w 2011 roku w pięknym wieku 101 lat). Zostałam tam chyba na jakiś miesiąc – zwiedzając, robiąc zakupy i dobrze się bawiąc. Spotkałam się z wieloma Dembińskimi, którzy mieszkali w Londynie od zakończenia drugiej wojny światowej.

Klub Inteligencji Katolickiej

Po roku 1956, „po odwilży”, rząd pozwolił katolickim organizacjom działać legalnie. Oddział warszawski (w większości dużych miast były takie oddziały) był dość aktywny. Spotykano się raz na miesiąc, był zaproszony prelegent, który odnosił się do bieżących wydarzeń z katolickiej perspektywy. Te spotkania były bardzo popularne i prowokowały do ożywionych dyskusji. Razem z mnóstwem przyjaciół, którzy należeli do klubu, regularnie uczęszczaliśmy na te spotkania. Byłam dość aktywna w młodzieżowym programie klubu, który utrzymywał bliskie relacje z podobnymi ruchami w krajach Europy Zachodniej. W pewnym momencie kierownictwo poprosiło mnie o zorganizowanie wycieczki po Polsce dla młodych katolików z różnych krajów. To było niezłe wyzwanie dla studentki takiej jak ja, ale zgodziłam się. W tamtych czasach nie dało się ot tak wziąć telefonu i zadzwonić, czy użyć Internetu, aby w całym kraju zarezerwować hotel i wyżywienie. W rzeczywistości musiałam pojechać do wszystkich tych miejsc, które mieliśmy odwiedzić. Wsiadałam więc do pociągu lub autobusu i jechałam na Mazury, do Gdańska, potem na południe – do Krakowa i w Tatry. Wszystko było zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach – każdy nocleg i posiłek, każda wycieczka i zwiedzanie. Grupa była bardzo sympatyczna – młodzi ludzie z Francji, Włoch, Anglii chętni, aby poznać Polskę – ten „egzotyczny” kraj zza „żelaznej kurtyny”. Wszystko się udało i byłam z siebie dumna, że przyczyniłam się do sukcesu tego wydarzenia. Oczywiście wszyscy podziwiali nasze historyczne miejsca, takie jak Kraków, Malbork, Gniezno, ale uczestnicy wydawali się być bardziej podekscytowani wpływem kajakowym na Mazurach i wpływem Dunajcem w Pieninach.

Francja

Latem 1957 lub 1958 roku grupa reprezentująca Klub Inteligencji Katolickiej została zaproszona na dwutygodniowe seminarium na temat katolicyzmu w Europie Zachodniej, w porównaniu z niektórymi

aspektami wiary katolickiej w Polsce. Seminarium zostało zorganizowane przez pewną lewicującą organizację kościoła we Francji, która próbowała dowiedzieć się czegoś o niewyobrażalnym fenomenie Kościoła katolickiego w Polsce, który nie tylko przetrwał, ale był w rozkwicie mimo prześladowania księży i pozostał w swej wierze w komunistycznym reżimie. Seminarium miało mieć miejsce na wyspie Port Cros, jednej z trzech uroczych wysp Hyeres (pozostałe dwie to Porquerolles and Levant) położonej na południe od portu w Toulon na Morzu Śródziemnym, w zatoce Hyeres. Można sobie wyobrazić moje podeksytowanie, kiedy dowiedziałam się, że zostałam zaproszona do udziału w tym wyjeździe. Prawdopodobnie zostałam wybrana, ponieważ mówiłam dość biegle po francusku, studiowałam nauki polityczne i byłam praktykującą katoliczką. Ten pobyt na wyspie był czymś w rodzaju bajki dla kogoś takiego jak ja, którego zagraniczne wyjazdy zostały ograniczone do jednego wyjazdu na zbiór truskawek w Anglii.

Nasza grupa jechała pociągiem z Warszawy przez Wiedeń, Paryż do Tulonu. To była bardzo długa podróż w pociągu klasy drugiej. W Tulonie weszliśmy na pokład małej łodzi i po około godzinie w końcu dotarliśmy na miejsce. Wyspa, na której byliśmy, jest najmniejsza z tych trzech – tylko 4 kilometry długości i 3 kilometry szerokości, skalista, mająca najwięcej wzniesień i najdziksza z tych trzech wysp. Obecnie utworzono tam park narodowy, nie można poruszać się samochodami, nie wolno palić. Zakwaterowano nas w jednym z pięciu starożytnych fortów, a raczej w jego ruinie bez dachu, jedna wielka sala otoczona grubym murem. Spaliśmy na łózkach polowych, a w rogu było coś w rodzaju prysznic (woda tam jest bardzo ograniczona) i małej kuchni. Pogoda latem jest bardzo, bardzo upalna z suchymi dniami i nocami. Cykady „śpiewały” bardzo głośno przez całą noc, ale to nam nie przeszkadzało, mogliśmy spać pod gwiazdami przy tej muzyce. Powietrze było tak czyste, że wydawało się, iż można prawie dotknąć rozgwieżdzonego nieba, które miało się wrażenie, że jest na wyciągnięcie ręki. Odczucia były nie do zapomnienia. Nasi francuscy gospodarze byli bardzo mili i chętni do rozmów. Grupie przewodził dominikanin lub benedyktyn w średnim wieku, który był bardzo miły i elokwentny. Nasze seminaria prowadzone były bardzo wcześnie rano, po mszy i szybkim śniadaniu.

Te wymiany zdań były uroczne i interesujące. Po obiedzie zwiedzaliśmy wyspę, ciesząc się zapierającymi dech w piersiach widokami ze szczytu

góry, kiedy wspinaliśmy się wieloma szlakami, jakie były do wyboru. Jeżeli chcieliśmy popływać sobie w morzu, schodziliśmy na dół, znajdując malutkie plaże schowane między kamieniami, wskazując do nieskazitelnie czystej i ciepłej wody, co warte było każdego wysiłku. A powrót na górę to całkiem inna kwestia, wspinanie się stromymi ścieżkami prowadzącymi do naszego „zakonu” na wzgórzu, pomiędzy nieprzyjazną, kolczastą roślinnością i niesamowicie wysokimi temperaturami – nie było zabawne, ale jakoś przetrwaliśmy i to w niezłej kondycji.

Po dwóch tygodniach wróciłam do Paryża, gdzie postanowiłam pozostać do końca wakacji, znaleźć jakąś pracę, ale nie miałam żadnego sprezyowanego planu, co będę robić. Do tego czasu nawiązałam przyjaźnie z niektórymi osobami, które były z nami na wyspie. Jedna dziewczyna zaprosiła mnie do swojej rodziny, abym mogła tam pobyć, to był dobry start. Skontaktowałam się również z francuskimi krewnymi z gałęzi Muratów – Mama utrzymywała z nimi bliski kontakt. Zaproszono mnie do bardzo eleganckich domów w sercu Paryża i do ich majątków na wieś. Wuj Paul Murat zorganizował mi wejście do Palais des Invalides, abym mogła zobaczyć grób Napoleona. Potem zaprosił mnie do wytwornej restauracji, gdzie pierwszy raz w życiu zjadłam żabie udka. Smakowały jak kurczak, nic szczególnego.

Udało mi się znaleźć różne prace podczas tego pobytu w Paryżu, byłam kelnerką w małej kawiarni, pomagałam pewnej kobiecie robić naszyjniki itp. Pamiętam ten czas jako wspaniałe i zabawne doświadczenie typowego biednego studenta, żywiącego się przez dwa miesiące bagietkami, tanim winem i doskonałym serem. Niezbyt zdrowe i niezbyt dobre dla trzymania figury. Jakoś udało mi się często chodzić do teatru, korzystając z przeróżnych zniżek lub wchodząc nawet na darmowe wejściówki dla studentów. Byłam częstym gościem różnych muzeów, najpierw Luwru, gdzie chodziłam wiele, wiele razy, gdyż miałam ten luksus niespieszenia się, w przeciwieństwie do większości turystów.

Pod koniec września zdecydowałam się udać do Brukseli w Belgii, gdzie miała miejsce Światowa Wystawa. W tamtych czasach było to ogromne wydarzenie, ludzie zjeżdżali się tam ze wszystkich krańców Europy i świata. Nie znałam nikogo w Brukseli i nie miałam pojęcia, gdzie mogłabym się zatrzymać. Miałam tylko jakieś blade pojęcie o odległym krewnym Mikołaju Grocholskim, którego nigdy wcześniej nie widziałam i który podobno miał pracować w pawilonie amerykańskim. Rzeczywiście tam

go znalazłam; był bardzo miły i obiecał mi pomóc. Tymczasem spacerowałam sobie po wystawie, która wydawała mi się bardzo interesująca. Rozmawiałam z innymi – wystawcami i turystami. Wszyscy wydawali się mili i pomocni. Jedna para zaprosiła mnie, abym u nich się zatrzymała na noc czy dwie, a ja się zgodziłam, co było raczej naiwne, jak się potem okazało. Kiedy znaleźliśmy się u nich na miejscu, stało się jasne, że są świadkami Jehowy, zdeterminowani, aby nawrócić mnie w bardzo natarczywy sposób. Nie miałam wyjścia, spędziłam u nich jedną noc, a następnego dnia szybko wyjechałam w nie najlepszych relacjach z gospodarzami. Wróciłam do Mikołaja, który ulokował mnie u jakichś swoich miłych kuzynów. Przez przypadek był tam również bardzo dobry przyjaciel moich rodziców, Wyszek Plater, który następnego dnia miał wracać do Polski na swoim motocyklu. Zaoferował mi transport, na co szybko się zgodziłam, wydawało mi się to ekscytującą propozycją. Był znacznie młodszy od moich rodziców i znany był wśród znajomych jako poszukiwacz przygód, dość nieodpowiedzialny facet uwielbiający zabawę. Jego motocykl to był militarny typ BSA 500 z koszem, gdzie została umiejscowiona moja niebieska tekturowa walizka. Zdecydowałam się jechać na tylnym siodełku i wraz z kierowcą i przeżywać zmienną pogodę.

A był to zimny i deszczowy koniec września. Dotarcie do polskiej granicy zajęło nam trzy dni, kiedy w końcu mogłam zadzwonić do rodziców, którzy nie mieli zielonego pojęcia, co się ze mną dzieje. Nie byli zachwyceni moimi decyzjami, ale byli też szczęśliwi, że dojechałam cała i zdrowa.

„Odwilż”

Ktoś się może zastanawiać, jak to było możliwe, że Polacy podróżowali na zachód Europy pod koniec lat 50., gdyż powszechnie uważano, że nikt zza „żelaznej kurtyny” nie może podróżować w tamtym kierunku. Prawda jest taka, że Polska po 1956 roku była krajem o większej swobodzie niż reszta „bloku”. Podróże utrudniano, trzeba było ubiegać się o paszport za każdym razem, a to były wyczerpujące procedury. Paszport musiał być zwrócony natychmiast po zakończeniu podróży, a władza zawsze trzymała w niepewności, czy dokument będzie znowu udostępniony. Zgoda na

wyjazd była wydawana na dokładny i niezbyt długi okres. Zaniechanie w kwestii zwrotu paszportu w określonym terminie mogło skutkować wciągnięciem członków rodziny na czarną listę w pracy lub szkole. A zgoda na paszporty z całą pewnością byłaby odrzucona. Innymi słowy ten dokument był doskonałym narzędziem, aby trzymać w ryzach większą grupę społeczeństwa, szczególnie ludzi młodych i inteligencję.

Około roku 1959, po okresie zwanym „odwilżą”, kontrola społeczeństwa przez Urząd Bezpieczeństwa wzmocniła się, ale stała się bardziej dyskretna.

Próbowano zwerbować większą liczbę informatorów, którzy infiltrowali kręgi inteligencji, Kościół katolicki, nawet takie legalne organizacje jak Klub Inteligencji Katolickiej. Chciano również gromadzić informacje o cudzoziemcach, którzy utrzymywali towarzyskie kontakty z Polakami. To właśnie wtedy zaczęli się mną interesować ludzie Bezpieki. Miałam rozmowę telefoniczną z człowiekiem, który nazwał się tajnym agentem i nakazał mi przyjść do pewnej kawiarni. Nie śmiałam powiedzieć „nie” i poszłam. Ten mężczyzna był bardzo uprzejmy, kupił mi kawę i mimochodem zadał mi pytania o moim zagranicznych znajomych. To nie było żadną tajemnicą, wiedziałam o co chodzi, ale ten człowiek nie wydawał się rozczarowany, że nie bardzo rwę się do takiej rozmowy.

Kiedy znowu zostałam poproszona o przyjście do tej samej kawiarni, porozmawiałam z rodzicami i ustaliliśmy, że definitywnie powiem tym ludziom, że nie zamierzam się znowu z nimi spotykać w tym nieformalnym otoczeniu i że jedynie, niechętnie, mogę przyjść, jeśli formalnie zostanę zaproszona. Faktycznie zaproszenie przyszło i zostałam wezwana do Pałacu Mostowskich (do dnia dzisiejszego boję się patrzeć na ten budynek, kiedy jestem w Warszawie).

Metodą Urzędu Bezpieczeństwa było zastraszanie osoby poprzez prowadzenie jej przez długie, ciemne korytarze do ledwie umeblowanego pokoju z urzędnikiem w cywilnym ubraniu za olbrzymim biurkiem, które znajdowało się pośrodku. Wezwany delikwent musiał przejść w kierunku biurka pod czujnym okiem urzędnika. Od samego początku człowiek czuł się nieswojo. Po jakimś czasie przychodził inny ich pracownik i zaczynało się przesłuchiwanie, chociaż naprawdę nie miałam nic do powiedzenia. Na koniec powiedzieli, że mają dla mnie zadanie do wykonania. Mianowicie, kiedy będę na obiedzie w pewnej ambasadzie, mam wejść do

olbrzymiego pokoju, który oni wskażą i zabrać pewne papiery z szuflady biurka. Zamurowało mnie z wrażenia, że proszą mnie o taką rzecz i kategorycznie odmówiłam, na co oni odrzekli, że moje zachowanie nie jest patriotyczne, ponieważ jako obywatel jestem zobowiązana do współpracy z władzami i jeśli tego nie zrobię mogę nigdy już nie otrzymać paszportu. Moją odpowiedzią było to, że jeśli zobaczyłabym szpiega z całą pewnością złożyłabym skargę na niego, co oczywiście było śmieszną odpowiedzią.

Powiedzieli, że absolutnie nie wolno mi mówić nikomu o naszym spotkaniu, a potem pozwolili mi odejść. Do domu wróciłam wstrząśnięta i natychmiast powiedziałam rodzicom, co się stało. Mój paszport został zawieszony na całkiem długi czas. Zrozumiałam, że muszę coś w kwestii tego dokumentu zrobić, po tym, jak udało mi się pojechać do Anglii i Francji, chciałam móc znowu podróżować za granicę. Świadomość bycia na niewidzialnej smyczy była bardzo nieprzyjemna.

Wiedziałam, że ojciec mojej koleżanki od pływania, Ady, piastuje znaczące stanowisko w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Poprosiłam ją, aby zaaranżowała „widzenie” z kimś wpływowym i kto mógłby mnie wysłuchać i pomóc zdjąć zakaz posiadania paszportu z mojej kartoteki. W rezultacie prośby Ady zostałam wezwana do ciemnego olbrzymiego budynku ministerstwa, instytucji notorycznie przetrzymującej politycznych dysydentów, zanim zostali oni skazani i przeniesieni do innych więzień. Nieźle się denerwowałam kiedy przekroczyłam progi imponującej brązowej bryły. Procedura była podobna do tej, jak traktowano odwiedzających Pałac Mostowskich – nieprzyjemnie wyglądający mężczyzna prowadził mnie przez niekończące się korytarze do wygłuszonych drzwi, do olbrzymiego pokoju z dużym biurkiem na jego końcu.

Dzięki Bogu za biurkiem siedział gentleman w średnim wieku, zaczął się do mnie uśmiechać i grzecznie zaprosił bym usiadła i przedstawiła swój problem. Opowiedziałam o całkowicie niewinnych przyjaźniach z młodymi dyplomatami i zauważyłam, że nie widzę żadnego powodu, aby być prześladowaną przez ludzi tajnej służby, gdyż nie zamierzam pracować jako szpieg, chociaż jestem patriotką i kocham swój kraj. Spojrzał na mnie z ojcowskim uśmiechem i odpowiedział: „moje dziecko, nic nie rozumiesz, musimy zbierać informacje o cudzoziemcach z zachodnich krajów, bo oni są ze swej natury wrogami Polski. Potrzebujemy ludzi takich jak ty, aby nam w tym pomagali”. Powiedział jeszcze, że jedynym sposobem, aby przestano mnie prześladować jest zerwanie wszelkich

wieżów z tymi zagranicznymi przyjaciółmi. Jeżeli posłucham jego rady, będę mogła ubiegać się o paszport po jakiś kilku tygodniach. To rozwiązanie bardzo mnie zdenerwowało, ale nie widziałam innego wyjścia. Paszport otrzymałam jakiś czas później. Zdołałam jeszcze przekazać tę smutną wiadomość moim przyjaciołom, a oni zrozumieli. Wiele lat potem, po upadku komunizmu, spotkałam kilkoro z nich i wtedy mogłam im wyjaśnić moje zachowanie. Przynajmniej pozostali w przekonaniu, że ich nie szpiegowałam.

Końcowe lata studiów

Studia szły mi całkiem nieźle. Na każdy semestr było mnóstwo nauki; każdy był coraz bardziej poirytowany przedmiotem, który nazywał się ekonomią polityczną, a w praktyce indoktrynowano nas teoriami Marksa i Engelsa. Niektórzy nasi profesorowie delikatnie wprowadzali pewne aspekty ekonomii Johna M. Keynesa, ale tylko po to, aby podkreślić nadrzędną rolę komunistycznego zarządzania całą produkcją i konsumpcją. Ten fakt był małym, ale znaczącym znakiem zmiany w ludzkich umysłach, pragnieniem, aby myśleć niezależnie i zakwestionować oficjalnie zatwierdzone poglądy. Zimna wojna była obecna wszędzie, antyamerykańskie slogany i plakaty na ulicach wychwalające naszych wielkich przywódców witały nas każdego dnia. Cywilne i wojskowe parady z okazji 1 Maja były wtedy normą, a apatyczny tłum wykrzykiwał z fałszywym entuzjazmem hasła o wiecznej przyjaźni z „Wielkim Związkiem Radzieckim”. Mur berliński miał się dobrze, blok wschodni był w uścisku Sowietów; nikt nie myślał, że sytuacja mogłaby się jakoś wkrótce zmienić. Jednakże w zaciszu swoich domów wielu ludzi słuchało Radia Wolna Europa lub BBC w języku polskim – aby uzyskać prawdziwe informacje o świecie i przede wszystkim o ...Polsce (te rozgłoszenie miały doskonałych i inteligentnych informatorów). Obie stacje były zagłuszane, ale nie powstrzymywało to ludzi od słuchania. Publikacje w języku polskim były przemywane z Francji i Anglii. Ci, co podróżowali na Zachód przywozili gazety. Powoli, ale na pewno powstawała opozycja do reżimu, przynajmniej w świadomości ludzi. Zajęło to aż dwie dekady, aby powstał znaczący ruch.

W 1959 roku był już czas, abym zaczęła myśleć o mojej pracy magisterskiej, która miała być napisana po angielsku. Zdecydowałam razem z moim profesorem stosunków międzynarodowych, że będę pisać o Radzie Nordyckiej, która w tym czasie była organizacją dla współpracy ekonomicznej krajów skandynawskich. Temat jako taki interesował mnie, ale była też inna przyczyna, co muszę przyznać, a mianowicie moja znajomość z młodym attache ze szwedzkiej ambasady. To było przed moimi nieprzyjemnymi doświadczeniami z tajnymi służbami. Razem z polskimi kolegami bardzo lubiliśmy jego towarzystwo. Był przystojny, miły i zabawny. Poza tym miał ładne mieszkanie w centrum Warszawy, do którego zapraszał nas, aby pograć w brydża lub napić się Aquavitu i skosztować szwedzkiego jedzenia. Poprosił mnie, abym dawała mu lekcje polskiego w ambasadzie, na co ochoczo przystałam. Dzięki tym kontaktom miałam mnóstwo materiałów o gospodarce skandynawskiej.

Kiedy rodzice Lennarta przyjechali, aby odwiedzić go w Warszawie, zostałam zaproszona, by im towarzyszyć w wycieczce do Krakowa i Oświęcimia. Byłam w szoku, kiedy usłyszałam, że przed tą wizytą nie wierzyli w istnienie obozów koncentracyjnych, a jeśli już, to że informacje o tych obozach były bardzo przesadzone. A ojciec Lennarta był jednym z sędziów szwedzkiego Sądu Najwyższego! Niewiarygodne! Lennart piął się w swojej karierze dyplomatycznej aż do czasu przejścia na emeryturę na początku lat 90., ostatnie jego stanowisko to ambasador w Wielkiej Brytanii. Wcześniej był ambasadorem Niemczech Zachodnich przed upadkiem muru berlińskiego. Swoją rezydencję miał w Bonn, gdzie zorganizował weekendową imprezę dla swoich polskich przyjaciół. To były wspaniałe trzy dni, kiedy wszyscy zgromadziliśmy się w jego i jego amerykańskiej żony pięknym domu nad brzegami Renu. Teraz mieszkają w Waszyngtonie, więc widzimy się z nimi, kiedy odwiedzamy Małgosię i wspominamy stare dobre czasy w Warszawie, gdy wszyscy byliśmy tacy młodzi.

Kiedy w bibliotekach zagłębiałam się w książkach i dokumentach, przygotowując się do obrony pracy magisterskiej, szukałam również pracy jako tłumacz. Jedna taka praca prowadziła do zauroczenia młodym Amerykaninem, który przyjechał do Warszawy na konferencję organizacji pod nazwą „Przyjaciele Organizacji Narodów Zjednoczonych”. Pojawiły się tłumy międzynarodowych studentów, a ja zostałam przydzielona do osób mówiących po angielsku i francusku. Franklin był bardzo przystojny

i miły; podczas tych kilku dni poznaliśmy się wzajemnie (w ścianach sal konferencyjnych i na korytarzach, gdzie niemożliwością nawet było trzymanie się za ręce), uznaliśmy, że się w sobie zakochaliśmy.

Od tej chwili zaczęliśmy pisać do siebie bardzo romantyczne listy, które, jestem pewna, były ocenzone, jak większość korespondencji między Stanami Zjednoczonymi a blokiem komunistycznym. Franklin zaciągnął się do amerykańskiej marynarki wojennej, aby sfinansować swoje studia prawnicze i został wysłany do Neapolu we Włoszech. A od tego momentu nasze korespondowanie stało się nawet trudniejsze, ponieważ musiałam pisać do centrum dystrybucji poczty wojskowej. To musiało być dość zabawne dla polskiego wywiadu, aby podążać szlakiem tych listów. Jakoś jednak nikt nie dręczył mnie z powodu tego młodego człowieka w moim życiu. Kilka lat później, kiedy pracowałam dla Swissair i poleciałam na miesiąc do Nowego Yorku, Franklin zaprosił mnie w odwiedziny do swojej rodziny w Baltimore. Pojechałam tam, a ci mili i sympatyczni ludzie przywitani mnie z otwartymi ramionami. Wydawali się akceptować fakt, że ich syn może będzie miał żonę z komunistycznego kraju. To z pewnością nie pomogłoby mu w jego wojskowej karierze w samym środku zimnej wojny. Tymczasem Franklin miał być rzekomo przeniesiony do bazy morskiej w Norfolk w Wirginii. Ostatecznie nie uważałam, abym była gotowa spędzić wiele lat w bazie i szczerze mówiąc nie byłam również gotowa, aby poświęcić się poważnemu związkowi. Poza tym był to czas, kiedy bardzo dobrze bawiłam się w Nowym Yorku. Byłam zapraszana na przyjęcia przez ludzi, których poznałam w Polsce, a którzy pracowali dla Organizacji Narodów Zjednoczonych. Byłam gościem w domu Arthura Rubinsteina, sławnego pianisty i w innych miejscach, gdzie często bywali politycy i znani artyści.

Ten styl życia był w rażącym kontraście do tego, co mogło oferować Baltimore. Uświadomiłam sobie również, że nie chcę żyć nigdzie indziej niż w Polsce. Zdecydowałam, że to czas, aby zerwać z Franklinem, co też uczyniłam. Rozstania są zawsze smutne, ale pomyślałam sobie, że tak będzie lepiej, chociaż czułam się okropnie, raniąc jego uczucia. Dzięki Bogu jakiś czas potem znaleźliśmy prawdziwą miłość. Wysłaliśmy sobie wzajemnie informację o tym. Jego żoną była córka pułkownika, a na imię miała.... Anita.

Ze studiów do pracy

Teraz wracamy do lat 1959–60. Był to czas intensywnej nauki na zakończenie szkoły i poważne myślenie o pracy po obronie magisterskiej. Praca dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych wydawała się poza moim zasięgiem z powodu mojego pochodzenia. Dlatego skoncentrowałam się na Instytucie Spraw Zagranicznych – zespole doradców, gdzie nawet mój bliski kuzyn Ludwik Dembiński, dziennikarz katolicki i profesor prawa międzynarodowego, mógł publikować swoje artykuły. Zaczęłam prowadzić prace dla pewnego doktora habilitowanego, specjalisty problemów w dziedzinie Indii i Pakistanu. Zapewnił mnie, że będę jego asystentką, kiedy zacznę ubiegać się o pracę w Instytucie. Poprzez znajomości w Ambasadzie Francuskiej zaproponowano mi stypendium w Ecole des Science Politiques w Paryżu, abym mogła kontynuować moje studia jako pracownik naukowy. Innym wyjściem było zostanie stewardessą – praca, w której, wydawałoby się, że moja znajomość języków byłaby przydatna. Och, jaka byłam naiwna! Żadna z tych prac nie była w moim zasięgu. Poszłam na rozmowę kwalifikacyjną do Instytutu, gdzie spotkałam się z sekretarzem ich organizacji partyjnej, który przystąpił do maglowania mnie z powodu uczęszczania do prywatnej katolickiej szkoły średniej (czy to była moja decyzja, czy rodziców?). Potem oświadczył, że nie mogą tolerować dwojga katolików. Pozycja mojego „sponsora” (wyżej wspomnianego doktora od problemów hinduskich) w Instytucie nie była tak mocna, aby mi pomóc. Stypendium we Francji też przepadło. Kiedy poszłam na rozmowę do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, powiedzieli, że doceniają moje kwalifikacje, ale z przyjemnością wezmą na to miejsce kogoś innego. W taki sam sposób potraktowano mnie w dziale kadr Polskich Linii Lotniczych LOT, kiedy ubiegałam się o posadę stewardessy. Oficjalną odpowiedzią było to, że moje umiejętności językowe nie są wystarczające. Dobry żart! Wiem, że akceptowali ludzi z kiepskim angielskim i bez znajomości francuskiego. Bardzo byłam rozczarowana. Idąc w ślady idealizmu mojej Mamy, próbowałam wierzyć w jakąś sprawiedliwość i przyzwoitość, nawet w komunistycznym kraju, szczególnie w Polsce. Okazało się, że byłoby dla mnie mądrzej studiować jakiś mało popularny kierunek, jak historia średniowiecza czy języki klasyczne, jak łacina czy greka (niestety nie byłam za dobra z matematyki i nauk ścisłych – a tak mogłabym

zostać inżynierem lub profesorem fizyki czy matematykiem, jak mój brat Piotr). Gdzieś w tym czasie zwrócił się do mnie mój daleki krewny i dobry przyjaciel rodziców, Jan Zamoyski, który zajmował się organizowaniem w Warszawie nowego biura dla Swissair. Zaproponował mi pracę tymczasową z perspektywą stałego zatrudnienia. Myślałam wtedy, że praca dla linii lotniczych jest poniżej mojego wyższego wykształcenia i niechętnie zaakceptowałam to tymczasowe zlecenie. Po jakimś czasie, bez żadnych interesujących ofert pracy na horyzoncie, zdecydowałam się na pracę w Swissair, który stał się moim pracodawcą na 17 lat aż do dnia, kiedy wyjechaliśmy do Minnesoty. Płaca była bardzo dobra, ludzie, z którymi pracowałam bardzo mili, praca sama w sobie nigdy nie była nudna. Obowiązki obejmowały pracę biurową, nadzór przylotów i wylotów – odprawy, catering, rozwiązywanie problemów pasażerów, współpracowanie ze służbą graniczną i celną. Ta współpraca to również śniadania około 9 rano w towarzystwie panów ze służby granicznej po wylocie naszego samolotu. Aby utrzymać z nimi dobre relacje, nie mogliśmy odmówić celebrowania tych śniadań, co więcej, trzeba było znosić wódkę w kawie czy herbacie, od czego wywracał się nam żołądek; musieliśmy udawać, że ich prostackie żarty nas bawią. Trzeba było bardzo uważać, aby nie obrazić żadnego pogranicznika czy celnika, gdyż mogli utrudnić nasze życie poprzez napisanie negatywnych raportów dla Urzędu Bezpieczeństwa (tak czy siak większość z nich była jego członkami).

Moi koledzy i ja musieliśmy mieć pewność, że załoga Swissair ma zrobione rezerwacje hotelowe i że czeka na nią transport z i na lotnisko – ten drugi około 5 czy 6 rano. Innym aspektem pracy na lotnisku, co szczególnie lubiłam, było wstawanie o 4 rano, zwłaszcza zimą, kiedy bardzo często mój samochód nie chciał zapalić.

Jakiś czas po tym, jak zatrudniłam się w Swissair, dostałam telefon w sprawie zatrudnienia od Instytutu Spraw Zagranicznych. Widocznie sekretarz partii, który mnie tak męczył, został usunięty, dawano mi do zrozumienia, że posada czeka. Propozycja mi pochwlebiała, ale do tego czasu zdążyłam się zadomowić w mojej pracy, a zwłaszcza obiecujące były perspektywy podróżowania i wyższej pensji. Bez emocji odrzuciłam ofertę, w głębi duszy nie byłam pewna, czy znowu się nie rozczaruję, gdyby ktoś kiedyś próbował mnie zdyskredytować jako „persona non grata”.

Gdzieś pod koniec 1960 roku ukończyłam pisanie pracy magisterskiej, która została dobrze przyjęta przez mojego profesora i na wiosnę 1961 roku obroniłam się, uzyskując tytuł licencjata nauk politycznych.

Po zakończeniu studiów zafundowałam sobie wycieczkę do Związku Radzieckiego, którą mogłam opłacić z pieniędzy zarobionych za moje tłumaczenia. Wycieczka była przede wszystkim dla młodych pracowników jakiejś firmy (nie pamiętam jakiej), ale miałam znajomego, którego znajomy tam pracował. I dlatego zostałam zaakceptowana – to daje wyobrażenie, jak ten system działał w małych i większych sprawach. Sieć przyjaciół, którzy mają przyjaciół we właściwych miejscach była bardzo ważna. Najpierw podróżowaliśmy pociągiem do Moskwy. Miasto było szare i ponure; ludzie na ulicach wydawali się smutni i nieprzyjaźni, ale mili w kontaktach osobistych; a te były rzadkie, bo ogólnie przyjęte było, by nie rozmawiać z cudzoziemcami, nawet Polakami. Nasi przewodnicy musieli mieć wytyczne z KGB, bo cokolwiek powiedzieli, pełne było propagandy i nie było miejsca na żadną dyskusję. Gdziekolwiek spotkałiśmy zwykłych ludzi, chcieli wszystko od nas kupować. Sprzedaliśmy nasze ubrania, kosmetyki i świecidełka. Niektórzy z nas byli dobrze przygotowani, bo zasięgnęli w tej kwestii języka i nakupowali chodliwego towaru, takiego jak udające welur narzuty na łóżko, przezroczyste franki itp. Za moje ubogie rzeczy dostałam wystarczająco pieniędzy, za które mogłam kupić sobie aparat fotograficzny „Zorka”. Po powrocie odsprzedałam go za przybliżoną cenę całej mojej wycieczki. To były niektóre paradoksy życia w komunistycznym raju. W Moskwie, a potem w Kijowie (teraz Ukraina) zwiedzaliśmy pomniki i muzea. Wychodziliśmy też do restauracji (jedzenie i wódka były zawarte w cenie).

Podczas takiej restauracyjnej eskapady zgubiłam mój „dokument podróży” (ekwiwalent paszportu dla podróży do krajów bloku komunistycznego). W rezultacie musiałam udać się na posterunek milicji – to było raczej okropne przeżycie. Dzięki Bogu mój paszport się odnalazł i następnego dnia został dostarczony do hostelu. Potem znowu wsiedliśmy do pociągu, aby odbyć bardzo długą podróż do Gruzji, kurortu nad Morzem Czarnym, gdzieś blisko Soczi. Sama podróż pociągiem była interesująca. Podróżowaliśmy trzecią klasą około trzech dni. Mało snu i możliwości umycia się, toalety, ale za to alkohol lał się strumieniami, zaczynając od śniadania. Aby strawić kiszoną kapustę w towarzystwie kawałków niezidentyfikowanego mięsa i ziemniaków – wszystko

pływało w bardzo tłustym sosie. Morze Czarne to radość i słońce. Nasi przewodnicy też byli wtyczkami KGB, ale chyba głównie z powodu tamtejszego łagodnego klimatu byli bardziej zrelaksowani niż ich odpowiednicy w Moskwie. Próbowaliśmy droczyć się z nimi ich drażliwymi hasłami, a oni, aby nie być prowokowani; śmiali się i próbowali flirtować z ładnymi dziewczynami z naszej grupy. Wędrowaliśmy i obozowaliśmy w pięknych miejscach w otoczeniu gór, dwie noce spędziliśmy w namiotach w pobliżu szemrzących strumieni i łąk pełnych jagód. Uwielbiałam zbierać i jeść ich kasztany jadalne, smakowały jak orzechy nerkowca, ale większość ludzi je pieczone. Ogólnie rzecz biorąc, to była bardzo interesująca podróż i bardzo się cieszę, że miałam możliwość wziąć w niej udział. Nigdy więcej nie byłam w Rosji.

Nadszedł czas, aby stać się dorosłą i zająć się pracą na poważnie.

Ciągle pracowałam dla Swissair, często podróżowałam do Zurichu na szkolenia, nawiązałam wiele przyjaźni z pracownikami centrali. Życie było wspaniałe, nasza motocyklowo-skuterowa grupa ciągle w drodze w prawie każdy weekend od maja do września; często wychodziłam z domu i poznawałam wielu nowych ludzi.

Nękanie przez bezpiekę było mniej intensywne, ponieważ nie widywałam się z wieloma cudzoziemcami poza załogą Swissair i biznesowymi znajomymi w Szwajcarii. Ten aspekt mojego życia też interesował tajnych agentów, więc chcieli, aby im powiedzieć, co widziałam na lotniskach Zurichu i Genewy. Odpowiadałam im: „głównie samoloty” lub jakieś tam oczywiste nonsensy. Chcieli również uzyskać informacje o moich kolegach z pracy; o czym rozmawiamy, kto handluje obcą walutą na czarnym rynku (a robił to każdy, ponieważ kurs był 25 razy wyższy niż ten oficjalny). Wszystkim nam zadawano te pytania, kiedy wzywano nas do okrytego złą sławą Pałacu Mostowskich (biura Urzędu Bezpieczeństwa), ale oczywiście nic od nas się nie dowiedzieli. Od czasu do czasu unieważniali czyjś paszport, ale na to już się uodporniliśmy i wiedzieliśmy, że po prostu trzeba poczekać kilka miesięcy i ubiegać się znowu.

Oczywiście trudno było nazywać taką sytuację normalną, ale ten reżim nie był normalny, a ludzie byli i są niezwykłymi stworzeniami, zdolnymi przystosować się do nienormalnych okoliczności.

Trzeba podkreślić, że procedura ubiegania się o paszport była ekstremalnie uciążliwa. Trzeba było zgłosić się do biura paszportowego osobiście, wypełnić niekończące się formularze, przedłożyć zdjęcie i przejść przez wywiad, którego dokonywał jakiś typ tajnego agenta – zawsze nieprzyjemny. Całkiem często agent próbował zmusić ubiegającego się, aby stał się nieformalnym informatorem, co przyspieszyłoby procedurę. Czas oczekiwania wynosił od sześciu tygodni do dwóch miesięcy. Jeżeli przyznano by paszport, musiałbyś go odebrać osobiście, stojąc znowu w długiej kolejce do biura paszportowego. Paszport był ważny do kraju podanego w podaniu i na czas nie dłuższy niż wskazano w formularzu. Następnie trzeba było otrzymać właściwą wizę (a te były wymagane do każdego kraju na świecie). To był również długi proces, mnóstwo formularzy do wypełnienia i zdjęć do zrobienia. Nie można było wcześniej zaplanować niczego związanego z podróżą, takiego jak kupienie biletów na pociąg, autobus, czy samolot, ponieważ trzeba było przy zakupie tych biletów okazać ważny dokument. Po powrocie z wyjazdu należało zwrócić paszport do tego samego biura i ubiegać się znowu i znowu, kiedy planowało się kolejne podróże.

Moja pierwsza długodystansowa podróż (pracownicy linii lotniczych byli szczęśliwymi posiadaczami darmowych biletów we własnych lub kilku siostrzanych liniach) była do USA, aby odwiedzić stryjów: Lulę i Jana Dembińskiego (braci taty) i ich dzieci – Paula, Marka i Jana. Mieszkali w Nowym Yorku od chwili przyjazdu tam po drugiej wojnie światowej. Nie mogłam spotkać się z moim kuzynem Markiem, ponieważ był on oficerem armii amerykańskiej i rodzina bała się kontaktów ze mną, bo mogłoby to zagrozić jego karierze. Spędziłam wspaniały czas w Nowym Yorku, a potem poleciałam do Monterey w Kalifornii, gdzie spotkałam się z Ciocią Krysią (siostrą Taty i moją matką chrzestną) oraz jej mężem, wujem Maciejem Radziwiłłem. Historia cioci Krysi o jej ucieczce z Polski, aby móc się spotkać z jej mężem, po tym, jak został wyswobodzony z niemieckiego obozu dla więźniów wojennych, jest zdecydowanie warta przeczytania (posiadam kopię w języku angielskim, czyta się jak dreszczowiec).

Moja kuzynka i przyjaciółka Inia Dembińska – pisałam o jej życiu w Rzymie, pracowała dla przemysłu filmowego. Zawsze zapraszała, aby przyjechać i trochę z nią pobyć, więc dość często do niej jeździłam, a kiedy ona pracowała, ja zabawiałam się w turystkę. Zakochałam się

w tym mieście i ten sentyment jest żywy do dzisiaj. Wieczorami wychodziłyśmy razem i spędzałyśmy mnóstwo czasu z jej bogatymi dalekimi krewnymi, rodziną Gawrońskich, których matka pochodzi ze znającej włoskiej rodziny Frassati, którzy byli posiadaczami turyńskiego konglomeratu prasowego La Stampa. Ich styl życia był trochę inny niż nasz w komunistycznej Polsce (pięknie urządzone mieszkanie blisko Watykanu, służący w białych rękawiczkach podający do obiadu itp.), ale jednocześnie twardo stąpali po ziemi. Jedna z sióstr, Wanda, była fotografką we francuskim magazynie Paris Match, Grazia wyszła za mąż za arystokratę i mieszkała w dużym majątku blisko Florencji, brat Jan był dziennikarzem, a ich ojciec był dyplomatą i pisarzem. Podczas jednego z moich pobytów w Rzymie zostałam zaproszona na weekend na polowanie do zamku Grazii. Wsiadłam do pociągu do Florencji, trochę tam i w Pizie pozwiedzałam i przyjechałam do majątku po południu. Zaprowadzono mnie do dużej sypialni i powiedziano, abym przebrała się do obiadu, co uczyniłam (dzięki Bogu przywozłam sukienkę). Obiad był wystawny, odbywał się przy blasku świec, jedzenie było pyszne, a wino nienagannie serwowane przez dyskretnych służących. Kiedy wróciłam do swojego pokoju, znalazłam moje ubogie rzeczy już rozpakowane i schludnie ułożone w szafie. Następnego ranka pokojówka przyniosła mi śniadanie do pokoju.

A potem rozpoczęła się przygoda z polowaniem; zostałam przypisana do towarzystwa jednego z męskich gości, a celem było polowanie na dziki. Były one pędzone w stronę myśliwych przez nagonkę, czyli zatrudnionych w tym celu chłopów. Zwierzęta nie miały szansy – biegły na pewną śmierć. Muszę dodać, że polowanie w przedwojennej Polsce odbywało się dokładnie w taki sam sposób, ale w drugiej połowie dwudziestego wieku wydawało się to już niemożliwe.

Byłam w Rzymie podczas Drugiego Soboru Watykańskiego, który był bardzo fascynującym okresem dla Kościoła katolickiego. Sobór został zwołany w 1959 roku z inicjatywy papieża Jana XXIII, ale tak naprawdę rozpoczął się w 1962 roku, a zakończył w 1965. Jan XXIII zmarł, zanim podjęto ostateczną deklarację Soboru, a papież Paweł VI dokończył dzieła.

Znałam kilku polskich dziennikarzy akredytowanych przy Soborze, więc mogłam dostać wejściówki do Bazyliki Świętego Piotra oraz na kilka konferencji prasowych. Zostałam również zaproszona na jeden

czy dwa obiady z katolickimi i prawosławnymi biskupami. Czułam się uprzywilejowana móc być tam podczas tych historycznych i emocjonujących wydarzeń. Pierwszym celem Soboru było przystosowanie wielu aspektów życia Kościoła do wymogów współczesnego świata. Jego zadaniem była też reforma liturgii, powrót do tradycji pierwszych chrześcijan. W rezultacie ustalono, że msza święta będzie odprawiana w językach ojczystych, a nie po łacinie, z kapłanem zwróconym twarzą do wiernych. Eucharystia miała zmienić się z pasywnej na uczestniczącą. Atmosfera wokół Watykanu przepełniona była radością i nadzieją. Nigdy tego nie zapomnę.

Lata sześćdziesiąte na Mokotowskiej

Cała nasza rodzina mieszkała na Mokotowskiej aż do późnych lat sześćdziesiątych. Ja wyprowadziłam się w 1965 roku, kiedy wyszłam za mąż. Babunia Dembińska odeszła pierwsza w 1958 roku i została pochowana w rodzinnej krypcie w Skrzyńsku, kilka kilometrów od majątku rodzinnego. Jej pogrzeb był manifestacją szacunku i poważania, jakim cieszyła się wśród byłych pracowników majątku mojego ojca. Przez całą drogę na cmentarz nieśli jej trumnę na ramionach. Babunia wybudowała kryptę dla zmarłego w 1915 roku męża, tak aby mogła widzieć ją z okna swojej sypialni przez park i przylegającą łąkę. Dziadek Gołuchowski „Dziadzio Komar” dostał wylewu, w wyniku którego był całkowicie sparaliżowany. Nie mógł mówić, ale rozumiał, co się do niego mówiło, oczywiście, że się denerwował, kiedy nie rozumiano, o co mu chodzi. Mieszkał razem z babcią w malutkim mieszkaniu obok naszego. Sytuacja była bardzo trudna dla mojej Mamy, która była najważniejszą opiekunką, a to oznaczało ciężką fizyczną pracę. Babcia była delikatna i krucha i nie mogła za wiele pomóc. Od czasu do czasu przychodziły jakieś pielęgniarki, ale były drogie i nasza rodzina nie mogła sobie na nie pozwolić. My, dzieci, próbowaliśmy pomagać, tyle ile tylko mogliśmy, Dziadzio był zadowolony, kiedy go odwiedzaliśmy i rozmawialiśmy z nim, ale nie pozwoliłby nam widzieć siebie, kiedy

go myto lub przebierano, zaczynał złościć się przy najmniejszej próbie z naszej strony pomocy mamie w tych jej codziennych obowiązkach. Oboje dziadkowie Gołuchowscy odeszli na początku lat 60. i zostali pochowani na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Brat po ukończeniu liceum plastycznego zapisał się na Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Zawsze był utalentowany artystycznie, więc studia szły mu bardzo dobrze. Kulturował również swoją miłość do koni i spędzał wiele godzin w stajniach, trenując na zawody hippiczne. Po kilku latach na Akademii nagle przeniósł się na Wydział Matematyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Ten krok zaprowadził go do znakomitej kariery i profesury w Polskiej Akademii Nauk.

W domu był jeden telefon i każdy z nas chciał go używać, szczególnie my, dziewczyny uwielbiałyśmy rozmawiać godzinami. W rezultacie telefon był ciągle zajęty, nikt nie mógł połączyć się z Rodzicami i dodzwonić się w ważnych sprawach. Tata ciągle przypominał nam, aby nasze rozmowy sprowadzić do minimum. Aby to wyegzekwować, umieścił telefon na ścianie w najwęższej części długiego korytarza, gdzie ruch był największy, więc prywatności zero. W tym czasie Piotr zalecał się do Elżbiety (która potem została jego żoną), a ta często podróżowała jako członek grupy tanecznej. Dzwoniła do niego często i rozmawiali, rozmawiali; Piotr szeptał чуłe słówka do słuchawki, abyśmy nie mogli usłyszeć, o czym była mowa, ale siostry i ja przechadzałyśmy się tam i z powrotem, chichocząc. Dokuczaliśmy mu bezlitośnie, co doprowadzało Piotra do białej gorączki. Wydawało się nam to bardzo zabawne, ale do czasu, kiedy miałyśmy swoich chłopaków i przechodziłyśmy taką samą mękę. Moje siostry Elżbieta i Joanna były odpowiednio o 6 i 8 lat młodsze ode mnie. Były najlepszymi przyjaciółkami i niektórzy myśleli, że są bliźniaczkami. Po szkole średniej poszły na Uniwersytet Warszawski studiować języki. Marta, naszym zdaniem (moim i Piotra), była ciągle dzieciakiem i zachowywała się jak rozpuszczona smarkuła; uznaliśmy, że nasi Rodzice byli zbyt zmęczeni wychowywaniem przez lata starszych dzieci, aby być wobec niej wymagający. Czula prawdopodobnie, że nie traktujemy jej poważnie, nigdy nie mówiliśmy przy niej nic ważnego, bo „i tak by nie rozumiała”.

Z perspektywy czasu myślę, że Rodzice byli prawdziwymi bohaterami, aby zapewnić nam bezpieczne i niezwykle miłe dzieciństwo we wrogim środowisku stworzonym przez komunistyczny reżim. Po wyjeździe

z prawie niczym z Przysuchy, ciężką pracą i poświęceniem zdołali zapewnić jedzenie na stole nie tylko dla nas, ale i dla naszych dziadków i innych krewnych, którzy pojawiali się w domu. Przez swoją mądrość, tolerancję i własny przykład wpoili nam wartości moralne bez nacisku czy indoktrynacji sprawili, że pozostaliśmy w Kościele katolickim.

Nic nie było tematem tabu w naszych dyskusjach. Zawsze mogliśmy do nich przyjść z naszymi problemami, wątpliwościami czy słabościami. Byli gotowi słuchać, przedyskutować problem i dać inteligentną radę. Nie mieli za dużo wolnego czasu, jako że oboje pracowali na pełny etat – Tata w planowaniu przestrzennym miasta, Mama w Instytucie Historii, robiąc jednocześnie doktorat i pisać artykuły do profesjonalnych periodyków. Rzadko spędzali razem wakacje, gdyż praca Mamy obejmowała podróże do miejsc wykopalisk archeologicznych i czasem na konferencje na temat średniowiecza w Polsce.

Na początku lat 60. ludzie zaczęli podróżować samochodem do nadmorskich kurortów w Bułgarii, Rumunii i Jugosławii. O wiele łatwiej było tam się wybrać niż na Zachód, te kraje były w bloku komunistycznym, więc można było dostać ich waluty i specjalne dokumenty (nie paszporty), aby przekroczyć granicę.

Rodzice w końcu zdecydowali się dołączyć do kilkorga przyjaciół, którzy wybierali się w taką podróż do kurortu w Jugosławii. Tym wyjazdom daleko było do luksusu, spali w namiotach, brali ze sobą mnóstwo jedzenia, aby nie wydawać bardzo ograniczonych funduszy, które można było zabrać ze sobą z Polski.

Joanna

Byliśmy bardzo szczęśliwi, że Rodzice w końcu pojechali, aby cieszyć się ciepłym morzem Dubrownika i okolicy.

To był sierpień 1964 roku. Marta była na dwutygodniowym obozie harcerskim dla dziewcząt, Joanna była w Krakowie na praktykach studenckich, a Elżbieta na wakacjach z przyjaciółmi na Mazurach. Piotr i ja musieliśmy zostać w Warszawie z powodu pracy (ja) i nauki

(Piotr). Przed wyjazdem Rodzice poprosili mnie i Jurka, abyśmy odwiedzili Martę na jej obozie w pobliżu Krakowa i sprawdzili co i jak. Pojechaliśmy tam wkrótce – po wyjeździe rodziców – odwiedzając też Joannę w Krakowie. Obie dziewczyny wydawały się szczęśliwe, Joanna powiedziała nam, że niedługo wraca do domu. Mimo że bardzo podobało się jej na tym wyjeździe do Krakowa, gdzie nawiązała wiele przyjaźni, tęskniła jednak za domem i swoim chłopakiem Ludwikiem.

Jednego sierpniowego i gorącego popołudnia w parę osób siedzieliśmy w salonie. Byliśmy tam; Jurek i ja, Piotr i Elżbieta (jego wielka już wtedy sympatia) i Ludwik. I wtedy nastąpiła tragedia, która wstrząsnęła naszym życiem na bardzo długo. Telefonem z posterunku milicji w Krakowie poinformowano mnie, że był wypadek samochodowy, w którym Joanna i jej dwoje przyjaciół stracili życie. Nasza piątka zamarła w szoku, nie mogąc zrozumieć, co właśnie usłyszeliśmy. Potem zaczęliśmy łudzić się, że może nie usłyszeliśmy dobrze, może to ktoś inny, może ciągle żyją itp. Zaczęliśmy oddzwaniać, ale za każdym razem powtarzano nam okrutną prawdę. Po pierwszym szoku zaczęliśmy działać. Pierwszym zadaniem było odnalezienie gdzieś w namiocie w Jugosławii naszych Rodziców i przekazanie im jak najdelikatniej, że ich córka nie żyje. Ale jak to zrobić? Jaki rodzic jest gotowy na taką informację? Byliśmy w rozterce, jak działać, ale wiedzieliśmy, że musimy.

Poprzez telefon do Ministerstwa Spraw Zagranicznych udało nam się ominąć biurokrację i połączyć się w weekend poprzez misję dyplomatyczną. Trzeba sobie uświadomić, że w tamtych czasach musiano się połączyć z operatorem rozmów międzynarodowych, aby dodzwonić się do celu. Normalnie zajmowało to wiele godzin. W naszym przypadku Ministerstwo postawiło w stan alarmu swoich ludzi w Belgradzie, którzy natychmiast zaczęli misję poszukiwawczą. Fakt, że Rodzice podróżowali ze swoim starym przyjacielem, który w tym czasie był ministrem żeglugi (typowy polski paradoks, kiedy niepartyjna osoba mogła zajmować tak wysokie stanowisko, ponieważ był wysokiej klasy specjalistą), trochę ułatwił sprawę. Ambasada musiała otrzymywać informacje o jego pobycie, więc Rodzice zostali zlokalizowani dość szybko. Jugosłowiański policjant znalazł namiot rodziców w środku nocy i przekazał im te okropne wieści łamanym angielskim. Oczywiście jest, że nie zrozumie-li, co ten człowiek do nich mówi, właśnie ich obudzono, a Tata nie znał

ani angielskiego, ani serbskiego; Mama знаła dobrze angielski, szybko zatem dotarła do niej ta straszna prawda. Nie potrafię wyobrazić sobie żadnej matki, która musi stawić czoła takiej tragedii, z daleka od rodziny, niemogącej zrobić nic oprócz czekania na powrót do domu. Kiedy transport do domu został załatwiony, my w Warszawie musieliśmy zająć się ogromną ilością spraw. Drogówka była z nami w stałym kontakcie i dowiedzieliśmy się, że Joanna wracała z wycieczki w górach – dzień przed powrotem do domu – małym Fiatem 500 z dwoma kolegami (obydwu znaliśmy). Bez widocznej przyczyny ich samochód znalazł się na przeciwnym pasie jezdni i zderzył się nadjeżdżającą wielką ciężarówką. Jedyne „pocieszeniem” było to, że od tego uderzenia zmarli na miejscu. Milicja chciała, abym przyjechała do kostnicy zidentyfikować ciało, ale nie mogłam się do tego zmusić. Dzięki Bogu moja kuzynka zaoferowała się wykonać to okrutne zadanie. Byłam jej bardzo wdzięczna. Ja i mój brat nigdy wcześniej nie musieliśmy zajmować się formalnościami związanymi ze śmiercią ukochanej osoby. Najpierw i przede wszystkim musieliśmy poinformować nasze siostry Martę i Elżbietę. Śmierć Joanny była strasznym ciosem dla Elżbiety, która straciła ukochaną siostrę i przyjaciółkę. Potem zajęliśmy się mnóstwem spraw związanych z pogrzebem. Domów pogrzebowych wtedy nie było za wiele, jak to jest teraz, kiedy jeden telefon wszystko załatwia. Musieliśmy zamówić specjalną metalową trumnę do przetransportowania ciała (to był bardzo gorący sierpień), upewnić się, że mamy wystarczającą liczbę aktów zgonu i zająć się niezliczoną ilością szczegółów, z jednym najważniejszym – zakupić kwaterę na cmentarzu Powązkowskim. Piotr i ja nie bylibyśmy w stanie wypełnić wszystkich naszych obowiązków, gdyby nie olbrzymia pomoc ze strony Jurka i Elżbiety (dziewczyny Piotra). O Jurku myślę z najwyższym uznaniem, dał nam najwięcej moralnego i materialnego wsparcia wtedy, kiedy byliśmy oszołomieni smutkiem i rozpaczą i nie mogliśmy rozsądnie myśleć. Podczas tych trudnych dni wzrosło moje uznanie wobec cech Jurka, który okazał się współczującym i lojalnym przyjacielem. Dzięki jego determinacji byliśmy w stanie przeciwstawić się biurokracji kierownictwa cmentarza, które powiedziało nam na początku, że nie ma żadnych wolnych kwater. W końcu miejsce się znalazło, więc mogliśmy załatwić sprawy w kościele, ustalić datę itp. Chcieliśmy być gotowi z ustaleniami na przyjazd Rodziców. Kiedy w końcu dojechali, wyglądali okropnie; postarzel się, chorzy z cierpienia. Najgorszą rzeczą było to, że nie mogliśmy nic zrobić, tylko

ich pocieszać. Sam fakt, że byliśmy blisko, dając im morze miłości, mógł być jak ciepły koc w zimną noc i nic więcej. Podejrzewam, że Rodzice nigdy całkowicie nie doszli do siebie po śmierci Joanny. Oczywiście czas pomaga leczyć rany, ale nawet mnie, piszącej te słowa 45 lat później, chce się płakać.

Pogrążona w smutku rodzina powróciła do codziennej rutyny; Rodzice i ja do pracy, rodzeństwo do szkoły i uniwersytetu. Jestem pewna, że rutyna stanowiła coś w rodzaju terapii, ale kiedy myślę o tych miesiącach po tragedii, to naszą rodzinę wydawała się pokrywać szara mgła. Wszyscy próbowaliśmy się wzajemnie wspierać, skupiając się na Rodzicach, którzy potrzebowali całej czułości i miłości od dzieci, które pozostały przy życiu.

Naprawdę niewiele pamiętam z tego okresu. Wiem, że prawdziwa żałoba rozpoczyna się, kiedy złoży się ukochaną osobę do grobu i nagle nie ma więcej pilnych spraw do załatwienia związanych z pogrzebem, kwiatami, przyjęciem po pogrzebie, przyjmowania słów współczucia od setek ludzi. Nagle wszystko się kończy i pozostaje się samemu z własnym smutkiem.

Szwecja, Dania, Londyn, Rio de Janeiro

Pod koniec września 1964 roku wybrałam się w podróż po Europie, aby odwiedzić kilkoro przyjaciół i powoli powracać do zdrowia psychicznego po tragicznych wydarzeniach ostatniego miesiąca. W Sztokholmie i Göteborgu spotkałam się z przyjaciółmi, których poznałam, kiedy przebywali w ambasadzie w Warszawie. W Kopenhadze zatrzymałam się u mojej dobrej przyjaciółki Joli Buch-Andersen, która w czasach mojego pływania była w wodzie twardym przeciwnikiem (pokonała mnie o kilka sekund pod koniec mojej kariery – muszę niechętnie przyznać). Była doskonałą gospodynią i wspaniałym przewodnikiem po mieście i okolicy. Jej mąż Erling był uroczym towarzyszem. W końcu pojechałam do Londynu, gdzie odwiedziłam krewnych i przyjaciół. Mieszkałam

u Cioci Marysi i wuja Izio Baworowskiego, tych samych, którzy potem bardzo nam pomogli z formalnościami w londyńskim szpitalu przed narodzinami Marieli.

Praca szła dobrze, ale smutek pozostał i nie byłam w nastroju do imprezowania. Szukałam czegoś, co można byłoby robić wieczorami, bo nie miałam ochoty wychodzić wtedy z domu, jak to miało miejsce wcześniej. Randki nagle przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie, nie zależało mi na spotykaniu nowych ludzi, którzy wszyscy wydawali się tacy nudni i nieatrakcyjni. Egoizm w czystej formie!

Zapisałam się na dwuletnie podyplomowe studia afrykanistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Zajęcia były przeznaczone głównie dla osób pracujących, więc wykłady odbywały się wieczorami. Podobał mi się program, który dotyczył geografii i historii kontynentu oraz jego mieszkańców. Wiele państw afrykańskich właśnie uzyskało niepodległość, więc praktycznie studiowaliśmy historię, która się dopiero tworzyła. Musieliśmy wybrać do nauki jeden z afrykańskich języków, wybrałam arabski, myśląc, że może pewnego dnia będę go mogła użyć. Zawsze wydawało mi się, że jestem całkiem utalentowana lingwistycznie, ale arabski sprawił, że poczułam, że nie mam talentu. Ciężko było z wymową, a z pisanem jeszcze gorzej (od prawej do lewej); muszę przyznać, że niektórzy moi koledzy ze studiów byli w tym o wiele lepsi.

W lutym 1965 roku zaczęłam planować podróż marzeń – do Rio de Janeiro w Brazylii, aby odwiedzić Helenkę Tarnowską, kuzynkę kuzyna (w Polsce każdy wydaje się z kimś spokrewniony). Ona i jej mąż bardzo uprzejmie zapraszali mnie, abym pozostała u nich przez jakieś trzy tygodnie w ich wspaniałym apartamencie na Avenida Atlantica z widokiem na plażę Copacabana. Podróż sama w sobie była przygodą; samolot dwa razy z powodu usterek musiał lądować – w Genewie i Dakarze (w Senegalu).

W Dakarze było szczególnie interesująco, ponieważ spędziłyśmy tam cały dzień i mogłam poznać to interesujące afrykańskie miasto, które było moim pierwszym zetknięciem się z afrykańskim kontynentem. Kiedy w końcu wylądowaliśmy w Rio de Janeiro, Helenka i Jan Jurjewicz (ona zatrzymała nazwisko po swoim pierwszym mężu, który, a propos zginął kilka lat wcześniej w wypadku samochodowym) czekali na mnie na lotnisku, a potem zabrali do swojego domu.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy wyglądałam przez okno mojego pokoju na dziewiątym piętrze, bo widok był nierealny. Patrzyłam na ocean i plażę Copacabana, a w oddali była sławna góra Głowa Cukru. Mariela, młodsza córka Helenki, w tym czasie była w Europie (była modelką). Wiele o niej wiedziałam, bo Jurek podróżował służbowo do Brazylii i wtedy się z nią zaprzyjaźnił. Moi gospodarze byli bardzo uprzejmi i zadali sobie wiele trudu, aby znaleźć dla mnie młode towarzystwo wśród znajomych Marieli. Strategia zadziałała doskonale i spotkałam całkiem dużo miłych ludzi, którzy byli zabawni i lubili imprezować, co i mnie się podobało. Zostałam zaproszona, aby spędzić trochę czasu na luksusowym jachcie należącym do jednego z tych przyjaciół; innym razem przyłączyłam się do grupy, która spędzała weekend w wytwornym i modnym kurorcie w Busios (niedaleko Rio). Były szalone przejażdżki wyścigową łodzią motorową i oczywiście wiele godzin spędzonych na plaży naprzeciw naszego budynku. Helenka i Jan mieli wielu przyjaciół w kręgach dyplomatycznych, więc od czasu do czasu towarzyszyłam im w przyjęciach koktajlowych w ambasadach. Traktowali mnie jak swoją córkę (jestem prawie dokładnie w wieku Marieli). Zabawne też było spotkać się z załogą Swissair, która nocowała w mieście po długim locie z Europy (większość z nich spędziła dwie noce w Rio). W tym czasie stolica Brasilia była już ukończona – bardzo awangardowy projekt sławnego architekta Oskara Niemeyera. Miałam parę darmowych biletów na lokalne linie lotnicze, więc polecałam tam na dzień, aby podziwiać oszałamiającą architekturę jego projektu i raczej zimne (oczywiście w przenośni) miasto. Mieszkało tam nie za wiele ludzi, bo nikt nie chciał się przenieść z Rio do miasta na pustkowiu. Członkowie rządu, dyplomaci i pracownicy różnych urzędów państwowych robili wszystko, aby opóźnić przeprowadzkę. W każdym razie miałam ubaw (i najlepsze widoki na miasto), ponieważ beztroscy brazylijscy piloci pozwolili mi usiąść w kokpicie w obie strony lotu.

Innym godnym zapamiętania doświadczeniem z Brazylii była moja podróż samochodem z Helenką i Janem przez Sao Paulo, aby odwiedzić tymczasowe miasteczko blisko Brasilii, gdzie zakwaterowani byli pracownicy budowy. Helenka i Jan byli tam właścicielami kina, co w tamtym czasie przynosiło im mnóstwo pieniędzy, ponieważ nie było tam nic lepszego do roboty (oprócz picia w barze). W Sao Paulo odwiedziliśmy kilkoro przyjaciół, a w drodze powrotnej zabrano mnie do Instituto

Butantan, największego na świecie serpentarium, gdzie trzyma się jadowite węże, tarantule i inne pająki itp., aby móc prowadzić badania nad szczepionkami przeciwko ukąszeniom węży, jaszczurek, skorpionów i pająków. To mogła być bardzo interesująca wizyta, gdybym nagle nie poczuła się bardzo źle; połączenie silnej gorączki, mdłości z widokiem kobr, pytonów, żmij i innych strasznych i groźnych stworzeń nie było receptą na miłe odczucia. Resztę wycieczki spędziłam zwinięta na tylnym siedzeniu z wizjami atakujących mnie gigantycznych anakond i grzechotników.

Po powrocie do Rio szybko wyzdrowiałam z nie wiadomo jakiej choroby, która dopadła mnie na wycieczce i szczęśliwie powróciłam do tamtejszych radości życia. Chociaż wydawało mi się, że czegoś mi brakuje. Zaczęłam jakieś nieokreślone przemyślenia na temat braku celu w moim życiu, szczególnie z powodu bycia w tak pięknym miejscu, a nie mogąc dzielić tego zachwyty z najbliższymi przyjaciółmi (a może przyjacielem?). Ciężko opisać tamte moje myśli, ale rezultat był taki, że nagle poczułam, że osobą, której brakuje mi najbardziej jest... Jurek. W tym czasie pracował w Indiach, napisałam więc do niego, robiąc aluzję o możliwości zaręczyn, kiedy oboje wrócimy do Polski. Po prawdzie, to ja mu się oświadczyłam, ale w rzeczywistości to była moja akceptacja jego oświadczyn sprzed kilku lat. Wcale nie byłam pewna odpowiedzi, gdyż w czasie, gdy każde z nas chodziło swoimi drogami, on umawiał się z wieloma pięknymi i interesującymi dziewczynami. Nie miałam pojęcia, jak poważne to było z jego strony. W oczywisty sposób nie było, ponieważ jego list szybko doszedł ogłaszając wielkie TAK. Nagle tu w Rio zaręczyłam się. I w tym momencie już spieszyło mi się do powrotu, ale nie mogłam się dostać na żaden lot do Europy z moim otwartym biletem. Zmuszona byłam przedłużyć swoje wakacje do około dwóch tygodni, co nie za bardzo spodobało się mojemu szefowi w Warszawie. To dlatego dostałam tylko tydzień wolnego na nasz miesiąc miodowy.

Wróciłam do Warszawy na początku marca, aby przekonać się, że pogoda jest niezwykle ponura, szara, zimna, mglista i przygnębiająca, co jest całkiem normalne o tej porze roku i niesprzyjająca romansom. Ale byliśmy tak zdeterminowani, aby pobrać się tak szybko, jak to możliwe, że nie obchodził nas deszcz i śnieżyce. Szczerze mówiąc, nie za bardzo pamiętam okres między marcem a lipcem (ślub odbył się 17 lipca

1965 roku). Pewna jestem, że było wiele przygotowań, a my szczęśliwie robiliśmy, co należało. Śluby w tamtym czasie nie były tak ekstrawaganckie, jak teraz, ponieważ wesele miało się odbyć w domu Rodziców. Wybraliśmy kościół Wizytek, gdzie w tamtejszym zakonie matką przełożoną była moja ciocia. Tydzień przed ceremonią kościelną mieliśmy ślub cywilny, ponieważ władze komunistyczne nie uznawały ślubu w kościele jako prawnie ważnego.

Zdecydowałam się na suknię szytą na miarę (wielki błąd), gdyż wydawało mi się, że w tym szczególnym butikum wiedzą co robią. Sukienka nie podobała mi się wcale, a kiedy w końcu była gotowa, było za późno na jakiegokolwiek zmiany. Jak widać, nie wyglądałam tak źle przy ołtarzu i ceremonia się udała po tym, jak my i nasi goście musieliśmy pokonać ogromną burzę, aby dostać się do kościoła na czas. Przygotowywałam się w domu rodziców, kiedy zadzwonił telefon z klasztoru w sprawie przełożenia o jakiś czas naszego przyjazdu, ponieważ muszą usunąć wodę, która wlała się do kościoła. Tymczasem samochód Jurka nie chciał wystartować z powodu wody, która dostała się do silnika. Musiał jakoś uruchomić samochód, chociaż miał już na sobie garnitur, który się zmoczył, bo Jurek musiał taplać się na kolanach w wodzie. W związku z tym każdy trochę się spóźnił i ceremonia mogła już przebiegać mniej więcej normalnie. Dwóch moich kuzynów, którzy mieli robić zdjęcia, niestety nie stanęło na wysokości zadania. Jeden z nich zapomniał, że nie włożył filmu do aparatu (to była ta „epoka kamienia łupanego”, kiedy jeszcze nie wynaleziono aparatów cyfrowych). „Artystyczne” zdjęcia drugiego mojego kuzyna zrobiły się ciemno-brązowe, a więc niezbyt atrakcyjne.

Odjechaliśmy sami z kościoła starym renaultem Jurka. Myśleliśmy, że to jest bardziej romantyczne niż wynajmowanie samochodu i kierowcy.

W noc poprzedzającą ślub zostały przygotowane przez mamę, siostry, mnie i przyjaciół małe kanapeczki na przyjęcie. Tych kanapek były setki, ponieważ to miało być jedyne jedzenie serwowane do szampana i innych napojów. Przybyło około 100 osób, niezły tłum, chociaż mieszkanie rodziców uważano za bardzo duże. Wydaje się, że wszyscy dobrze się bawili, a szampan, pity w dużych ilościach, z pewnością pomógł utrzymać wesoły nastrój.

Radości i udręki małżeńskiego życia

Kiedy planowaliśmy nasze wspólne życie, nie za bardzo martwiliśmy się tym, gdzie będziemy mieszkać. Taki szczegół miał się rozwiązać w ostatniej chwili, jak u większości ludzi w naszej sytuacji. Oboje aż do ślubu mieszkaliśmy z rodzicami, jak było w zwyczaju w tamtych czasach, gdyż młodym ludziom brakowało środków na własne mieszkanie, do którego mogliby się wyprowadzić. Niemożliwością był zakup nowego mieszkania, a i wynajem był drogi. Można było złożyć zaliczkę w spółdzielni mieszkaniowej, a czekanie zajmowało lata. Z pewnością nie tydzień przed ślubem. Udało się nam wynająć mały pokój w wolno stojącym domu na obrzeżach Warszawy. Mogliśmy korzystać z łazienki gospodyni i jej kuchni. Kiedy przyjechaliśmy tam na naszą pierwszą noc – nie było za bardzo romantycznie; pokój był zapchany naszymi rzeczami, a w łazience nie było ciepłej wody. Bardzo się tym nie przejęliśmy, bo byliśmy naprawdę zmęczeni, a następnego ranka wyjechaliśmy w naszą podróż poślubną. Celem były Węgry, a ten tydzień był wspaniały. Nieco czasu spędziliśmy w Budapeszcie, a potem pojechaliśmy do ładnego pensjonatu nad jeziorem Balaton. Pogoda była wspaniała, otoczenie piękne, a dobre wino niedrogie. Odprężyliśmy się w tej wspaniałej atmosferze i wyjechaliśmy do domu odświeżeni i szczęśliwi.

Wróciliśmy do naszego małego wynajmowanego pokoju i próbowaliśmy urządzić go tak, aby wyglądał przyjemnie, ale naprawdę ciężko było cokolwiek ustawić w atrakcyjny sposób.

Niektóre ślubne prezenty zostały na przechowanie na Mokotowskiej, niektóre przywieźliśmy ze sobą. Pośród tych skarbów były kryształowe kielichy. Zamierzaliśmy pić dużo wina z przyjaciółmi, więc uznaliśmy, że te kieliszki to istotny element naszego gospodarstwa domowego. Postawiliśmy je na składanym stoliku i bardzo szybko wszystkie rozbiły się, spadając na podłogę, bo któreś z nas przypadkiem zaczęło o stół. Byliśmy tym zmartwieni, ale jedyne, co mogliśmy zrobić, to zapomnieć o tym incydencie. Co rano oboje wsiadaliśmy do naszego renaulta i jechaliśmy przez całe miasto do pracy. Dla mnie, kogoś, kto mieszkał przed ślubem w samym sercu Warszawy, ta odległość wydawała się

olbrzymia. Dopasować musieliśmy się oboje – po pracy wracaliśmy do naszego pokoju-klitki i musieliśmy myśleć o zakupach czegoś do jedzenia i ugotowaniu jakiegoś obiadu w kuchni właścicielki. Żadne z nas nie umiało gotować, więc nasze eksperymenty kulinarne były całkiem interesujące, na szczęście parę kieliszków ocalało z katastrofy i mogliśmy pić wino, jeść chleb i ser na kolację. Po naszych wyszukanych posiłkach mój drogi mąż bardzo często uciął sobie drzemkę (a to był jego normalny rytuał, o którym nie miałam pojęcia), która miała trwać około godziny. Hmm, w większości trwała o wiele dłużej, a ja czekałam na jego przebudzenie... Przypomniało mi się, że kiedy dzwoniłam do Jurka do domu, telefon odbierała jego siostra Anka, mówiąc, że Jurek śpi. A potem, raczej surowo odpowiadała: „Czy to coś ważnego? Jeżeli tak, obudzę go”. Na co ja odpowiadałam: „absolutnie nie. Nie mam nic ważnego do powiedzenia”. W mojej nowej sytuacji od czasu do czasu tęskniłam za Mokotowską i tą wspaniałą atmosferą, ludźmi przychodzącymi i wychodzącymi, za rozmowami przy kuchennym stole itp. W takich momentach chciałam, abyśmy tam pojechali, ale próbowałam też przekonać samą siebie, że teraz jestem mężatką i nie mogę biegać do domu moich Rodziców kilka razy w tygodniu.

Potem Jurek musiał pojechać służbowo do Rosji i naprawdę poczułam się bardzo samotna i smutna. Trzymało mnie na duchu to, że Jurek dobił interesu z moim bratem Piotrem, że będzie ćwiczył ze mną jazdy samochodem, a w zamian będzie mógł zatrzymać samochód na cały dzień. Piotr przyjeżdżał więc rano, by mnie zabrać, jechaliśmy do pracy; ja prowadziłam, potem on zabierał samochód, aby pojeździć ze swoją dziewczyną Elżbietą (teraz jego żoną). Po południu zabierał mnie z pracy, znowu ja prowadziłam i jechałam do mojego nędznego domu. To był wspaniały pomysł, ponieważ Piotr był bardzo dobrym i cierpliwym instruktorem (a Jurek nie, przynajmniej ze mną).

Zaczęliśmy myśleć poważnie o sposobach na zdobycie własnego mieszkania. Uświadomiliśmy sobie, że osiągnięcie tego celu będzie wymagało pokaźnej sumy pieniędzy i nie można było nawet zaczynać bez właściwych „kontaktów”. Jurek znalazł takie kontakty w osobie swojego dalekiego kuzyna, który zajmował wysoką pozycję w spółdzielni mieszkaniowej. Miał możliwości, aby położyć nasze podanie gdzieś na samej górze sterty, a to wiadome było, że skróci nasz czas oczekiwania o kilka lat. Po wielu długich spotkaniach, rozmowach otrzymaliśmy w połowie

1968 roku klucze do naszego małego mieszkania, tuż przed urodzeniem Maćka.

Do tego czasu przeprowadzaliśmy się siedem razy, migrując od jednego mieszkania do drugiego, w większości przypadków były to mieszkania osób, które wyjechały do pracy za granicę. Każda przeprowadzka była trudniejsza niż poprzednia, ponieważ po drodze coś nabywaliśmy. Chcieliśmy w końcu, aby każde z tych miejsc wyglądało jak NASZ dom.

Kontynuowałam uczęszczanie na studia wieczorowe na Afrykanistycę, gdzie zostało mi trochę więcej niż rok do ich ukończenia. Ten aspekt mojego życia nie podobał się mojemu mężowi, więc poprosił, abym je rzuciła, by być bardziej żoną, a nie studentką. Niechętnie zgodziłam się i zaczęliśmy planować podróż do Brazylii, aby uczcić nasze zaręczyny na odległość. Otrzymanie brazylijskiej wizy zajmowało dużo czasu, więc zdecydowaliśmy się pojechać do Francji i tam czekać. Wiza nigdy nie przyszła, więc plany musiały się zmienić i zaplanowaliśmy „Tour de France” samochodem z przysłowiowym budżetem „jednego dolara na dzień”. Złożyliśmy wizytę na składzie używanych samochodów i zakupiliśmy bardzo starego Renault Quatre Chevaux w stanie do zaakceptowania według standardów Jurka. Hamulce potrzebowały poważnej naprawy, którą wykonał mój mąż – gdzieś i jakoś, przy pomocy kilku narzędzi, które prawdopodobnie musiał zakupić lub improwizować czy pożyczyć od znajomych. To była niezapomniana podróż z Paryża przez Dolinę Loary, Drogę Napoleona i na Riwierę.

Zatrzymywaliśmy się u przyjaciół i znajomych lub w tanich motelach, gdzie kierowcy ciężarówek nocowali i pili wino lub koniak na śniadanie. Żyliśmy na bagietkach, pysznych serach i winie bardzo często w formie „śniadania na trawie” lub pikniku. To była zapadająca w pamięć podróż; byliśmy szczęśliwi, beztroscy i nigdy sobą nieznużeni. Czułam się chroniona i bezpieczna pod opieką Jurka, z radością przyjął jego przywództwo. Ostatecznie był 34-letnim „starszym panem”, a ja miałam „dopiero” 28 lat. Wróciliśmy do Paryża i udało nam się sprzedać wiernego renaulta naszemu przyjacielowi Tomkowi, który właśnie przyjechał z Warszawy, aby szukać pracy jako architekt. Był początkującym kierowcą i widocznie doznał mrozącego krew w żyłach doświadczenia, krążąc wokół ronda i nie wiedząc, w którą uliczkę skręcić, aby nie narazić się na kraksę z innym samochodem. Po kilkukrotnym okrążeniu w końcu udało mu się wyjechać. Jeździł naszym samochodem przez jakiś rok.

Jako beztroska i jeszcze bezdzietna para zdecydowaliśmy się pojechać do Stanów Zjednoczonych, aby przedstawić Jurka amerykańskiej gałęzi rodziny Dembińskich. Otrzymaliśmy amerykańską wizę, co nie było wtedy łatwym wyczynem (i ciągle nie jest dla polskich obywateli) i poleciliśmy na „otwarty bilet” (sposób pracowników linii lotniczych na podróżowanie). Ten wyjazd był dla Jurka pierwszą wizytą w Ameryce, na co bardzo się cieszył. Zatrzymaliśmy się w Nowym Yorku u Cioci Marysi Dembińskiej, która wspaniałomyślnie oddała nam swoją sypialnię, a sama spała na kanapie w malutkim salonie. Jej mieszkanie znajdowało się na Upper East End, wspaniała lokalizacja na zwiedzanie, zakupy, spacerowanie itp. Z Nowego Yorku poleciliśmy do Monterey w Kalifornii, tam złożyliśmy wizytę cioci Krysi i wujowi Maciejowi Radziwiłłom (ciocia była siostrą mojego Taty i moją matką chrzestną). Obojgu nam bardzo podobała się Północna Kalifornia, a w szczególności okolice Monterey i Carmel. Radziwiłłowie przyjęli nas bardzo serdecznie; Jurek bardzo lubił rozmawiać z Wujem Maciejem o jego życiu w przedwojennej Polsce (był właścicielem ziemskim i księciem), jego przeżyciach w obozie jenieckim w Murnau i w końcu o rozdziale ich życia w USA. Po przyjeździe wuja z Europy do Bostonu w 1940 roku, podjął on studia na uniwersytecie, aby uzyskać dokumenty potwierdzające kwalifikacje do nauczania języka rosyjskiego i polskiego. W tym czasie Ciocia zarabiała na życie jako służąca, aby utrzymać ich oboje. Można sobie wyobrazić, jakie to dla niej było trudne, gdy jako księżna w Polsce, sama zatrudniała służące, kucharki i inny personel w swoim majątku, a teraz musiała szorować podłogi i pracować przy ubraniach. Wkrótce Radziwiłłowie przeprowadzili się do Kalifornii, gdzie wuj Maciej uczęszczał na Uniwersytet Berkeley, aby przygotować się do pracy instruktora języków w Defense Language Institute w Monterey. Pracował tam aż do emerytury. Mieszkali w bardzo ładnej okolicy, nawiązali wiele przyjaźni i udzielali się charytatywnie w Kościele katolickim i innych tamtejszych organizacjach. Wysyłali pieniądze do Polski, aby wspomagać klasztory oraz rodziny walczące o byt. Odbyliśmy z nimi podróż do San Francisco, Yosemite, Doliny Śmierci, Wielkiego Kanionu i z powrotem do Monterey przez Riverside (tam spotkaliśmy się z Netty i Arturem Turnerami), do Anaheim (oczywiście spędziliśmy kilka godzin w Disneyland), Santa Barbara. To był prawdziwy objazd i bardzo nam się podobało, mimo częstych – powiedzmy to – sprzeczek naszych gospodarzy w mało istotnych kwestiach. Potem nastąpił powrót do Polski.

Pracowaliśmy, przeprowadzaliśmy się miejsca na miejsce, dobrze bawiliśmy się z przyjaciółmi próbując ignorować „tryumfalny marsz do socjalizmu”. Do późnych lat sześćdziesiątych mało kto w Polsce wierzył w rosyjski model sprawiedliwości społecznej narzucony naszemu krajowi i innym państwom wschodnioeuropejskim. Istniał wówczas strach przed władzą, która miała do dyspozycji wszelkie narzędzia kontroli, był on zbyt silny, aby okazywać niezadowolenie. Ludzie robili swoje, próbując cieszyć się życiem, koncentrując się na rodzinie i pracy. Powszechnie uważano, że władza robi wszystko, aby powalić nas na kolana. Braki podstawowych artykułów były uciążliwe. Długie kolejki po żywność stały się normą. Praktycznie nie można było kupić mięsa, chyba że stało się od świtu w kolejce. Właściwie nie było papieru toaletowego, więc jeśli była dostawa do jakiegoś sklepu, cudowne wieści rozchodziły się po mieście szybko i ludzie biegli, by zrobić zakupy. Często spotkać można było ludzi obwieszonych „naszyjnikami” papieru toaletowego. Pojawiła się sieć często nielegalnych prywatnych dostawców mięsa. Praktycznie każdy z mojego pokolenia miał „babę z cielęciną”. Była instytucją. Przyjeżdżała pociągiem ze wsi i miała swoich zaufanych klientów, dla których przywoziła ładne kawałki mięsa zamówione przy poprzedniej wizycie. U nas w Swissairze mieliśmy dostawcę polędwicy wołowej. Ten człowiek, który przywoził mięso co tydzień, znał kogoś z zakładu przetwórczego, tamten z kolei kradł mięso, aby sprzedać temu facetowi, który z kolei sprzedawał nam. Kiedy przychodził do naszego eleganckiego biura w Hotelu Europejskim czy Victoria, zawsze się spieszył i chciał się pozbyć krwistego towaru, który rzucał na nasze biurka. Dziwny to rzeczywiście był widok, ale dla nas wydawało się to całkiem normalne. Inkasował pieniądze, przyjmował zamówienia na następny tydzień i znikał.

Codziennie życie było przyjemne; lubiłam moją pracę (i hojną pensję). Jurek dużo jeździł służbowo, a ja czasami wyjeżdżałam na szkolenia do Szwajcarii. Zaszłam w ciążę w 1966 roku, a Jurkowi zaoferowano pracę w Londynie, która miała potrwać kilka miesięcy. Oznaczało to, że urodzę swoje pierwsze dziecko bez męża w pobliżu. Nie podobał mi się ten pomysł, więc zaczęliśmy badać możliwość urodzenia w Anglii. To był szalony pomysł, wiedzieliśmy, że Brytyjczycy nie palą się do przyznawania wiz kobietom w ciąży. Prawie się poddałam, ale nasz przyjaciel Sascha Razumovsky szepnął dobre słowo komuś w ambasadzie i w końcu wizę przyznano. Jurek był już w Anglii, kiedy przyleciałam dwa tygodnie przed spodziewaną datą porodu. Po prostu wariactwo.

Natychmiast udałam się do mojej cioci Marii Baworowskiej (złote serce – ona i jej mąż). Jurek mieszkał w hotelu, a ja nie mogłam do niego dołączyć, bo jego pobyt był stricte służbowy, a ja w Londynie nie byłam z żadnego „oficjalnego” powodu. Nie miałam lekarza, żadnych ustaleń odnośnie do szpitala, myśleliśmy, że to mogłoby być pokryte z ubezpieczenia Jurka. Niestety nie, bo moja ciąża nastąpiła przed przyjazdem do Anglii, a więc nie podlegała ubezpieczeniu. Ciocia wysłała mnie do swojego zaprzyjaźnionego lekarza, który z kolei zorganizował dla mnie szpital. Wynajęliśmy pokój u jakiejś miłej Polki w Ealing i zaczęliśmy prowadzić w miarę normalne życie.

Mieliśmy wystarczająco czasu, aby zapoznać się z działaniem kominka na monety opalanego gazem, głównym źródłem ciepła. Nauczyliśmy się obsługiwać olejowe grzejniki w pokoju oraz prysznicem, też działającym na monety. Elektryczność też tak działała. To była raczej spartańska egzystencja, bo było dość chłodno w tym czasie (styczeń), ale mimo wszystko podobało mi się tam. Mariela urodziła się 17 stycznia 1967 roku. Opieka w szpitalu była wspianiała, trzymano mnie tam prawie 10 dni, aby nauczyć mnie, jak opiekować się dzieckiem, jak kąpać, karmić i zmieniać pieluchy. Byłam bardzo zaskoczona (po tym co wiedziałam o zwyczajach w polskich porodówkach, gdzie nie było żadnych odwiedzin), gdy natychmiast zobaczyłam Jurka i innych, którzy mogli przychodzić w odwiedziny tyle, ile chcieli. W rezultacie wszystkie kobiety w mojej sali miały krewnych przychodzących i wychodzących, pijących i palących, kiedy siedzieli sobie na łózkach, każda radośnie spędzała tam czas. O 5 rano każdego dnia przyjeżdżała taca z pyszną, gorącą i bardzo mocną herbatą, z mlekiem oczywiście (bawarka) i tak nas budzono. Ten zwyczaj o tej godzinie nie podobał się nam, ponieważ mało spałyśmy, mając przez całą noc swoje dzieci przy sobie. Od tego czasu stałam się jednak zagorzałym smakoszem herbaty.

Nasz pobyt w Londynie był przyjemny. Byłam zajęta opieką nad Marielą, zabierałam ją na długie spacery w wypożyczonym od dalekiego kuzyna wielkim wózku, praniem ubrań i pieluch i ogólnie „bawieniem się w dom”. To były „bezpieczne” czasy, kiedy można było zostawić dziecko przed sklepem i spędzić pół godziny, oglądając towary, a dziecko wdychało sobie na zewnątrz świeże powietrze. Inny dalszy kuzyn pożyczył nam samochód, abyśmy mogli odwiedzać rodzinę i przyjaciół lub pojechać sobie na weekend nawet do Brighton. Łatwo było podróżować

z maluchem – bez fotelika, co jest teraz wymagane; wkładało się tak zwane „łódeczko” na tylne siedzenie i w drogę.

Mariela była czarującym dzieckiem i bardzo ją kochałam od samego początku, ale nie powiem, że była bardzo spokojna. Dużo płakała podczas pierwszych tygodni po urodzeniu i czułam się zupełnie bezradna, nie wiedząc, jak radzić sobie z dzieckiem z kolką. Przychodzące pielęgniarki były bardzo pomocne, ale brakowało mi mojej Mamy, która dałaby mi mnóstwo rad i upewniłaby mnie, że dobrze postępuję. Urządzenia na monety wprowadzały nas w rozpacz, bo zawsze się martwiliśmy czy mamy wystarczającą ilość monet. Jednej nocy zapomnieliśmy załadować wystarczającą kwotę pieniędzy do urządzenia do oświetlania i kominika gazowego. Obudził nas płacz dziecka i uświadomiliśmy sobie, że w pokoju jest lodowato. Elektryczności też nie było, zaczęliśmy więc szukać monet w kompletnej ciemności, winiąc jedno drugiego za ten nocny koszmar. Wyobrażaliśmy sobie, że Mariela dostanie zapalenia płuc, lub innej okropnej choroby. Wszystko skończyło się dobrze, nikt nie zachorował, ale od tamtej chwili byliśmy bardziej uważni i pilnowaliśmy zapasu monet.

Ciocia Marysia Baworowska (nasz Anioł Stróż) i jej mąż Izio byli częstymi gośćmi w naszym „domu”. Stali się „zastępczymi” rodzicami dla Marieli. Jednego dnia zdecydowaliśmy ulotnić się na cały dzień, tylko my dwoje (lekarz ze szpitala odwiódł mnie od karmienia piersią). Zostawiliśmy Marielę z ciocią Ziutą Witort, macochą cioci Wandy Kokurewicz z Rhode Island. Ziuta nigdy nie miała własnych dzieci i trochę się obawiała, ale łaskawie się zgodziła. Okazało się, że nasze ukochane dziecko płakało prawie cały dzień, a Ciocia nie miała pojęcia co robić oprócz nakarmienia i zmiany pieluch, co nie pomagało. Nie przyszło nam na myśl, aby zadzwonić po kilku godzinach, więc wspaniale spędziliśmy czas, biegając po Londynie (gdzie były komórki?). Kiedy wróciliśmy, Ciocia i Mariela były wyczerpane, a my, nieczuli rodzice, czuliśmy się winni wobec ich obu. To był ostatni raz, kiedy pojechaliliśmy gdzieś sami.

Często jeździliśmy w odwiedziny do Wuja Lula (Ludwika) Dembińskiego, brata Taty, który w tym czasie mieszkał i pracował w Londynie po tym, jak spędził większość lat swojego dorosłego życia w USA. Był założycielem Fundacji Dembińskich. (Pochowany jest wraz z rodziną na cmentarzu w amerykańskiej Częstochowie. Przyp. – E. P.)

Z powrotem w Polsce

Pod koniec lutego 1967 roku Jurek został wezwany z powrotem do Polski, wcześniej niż się spodziewał. Spakowaliśmy bagaże, szczególnie mnóstwo jednorazowych pieluch i innych akcesoriów dziecięcych niedostępnych w Polsce. Z pewnością naszymi zakupami przyczyniliśmy się do wzbogacenia firmy Mothercare Company. Wróciliśmy do wynajmowanego mieszkania, które zostawiliśmy przed wyjazdem w końcu grudnia – okazało się, że zostało przemeblowane przez Ciocię Ankę i jej męża Wuję Leszka według ich wyobrażeń o komforcie dziecka. Na środku dziennego pokoju postawili szafkę na książki, aby stworzyć pokój dla Marieli. Problem był taki, że wyglądało to okropnie i byliśmy zli, że nikt nas nie zapytał o zdanie. Myślę, że zraniliśmy ich uczucia, ponieważ na pewno chcieli dobrze, szybko rozmontowaliśmy całą konstrukcję i stworzyliśmy taką przestrzeń do życia, jaka nam się podobała.

Wkrótce potem Mariela została ochrzczona; jej rodzicami chrzestnymi zostali Ciocia Marta (moja najmłodsza siostra) i Wuj Piotr Grocholski.

Mama Jurka była taka szczęśliwa, kiedy zobaczyła Marielę, co więcej, była już wtedy bardzo chora; zmarła w kwietniu 1967 roku w wieku 63 lat. Przez wiele lat walczyła z rakiem piersi, we wczesnym etapie choroby miała mastektomię. Choroba była pod kontrolą przez kilka dobrych lat dzięki nadludzkim wysiłkom Cioci Ani, która jednocześnie była najbardziej oddaną córką, lekarzem i pielęgniarką. Załatwiła transfuzje krwi, które były przeprowadzone w domu. Miała wiedzę na temat najnowszych leków i nie szczędziła wysiłków, aby je zdobyć, często z zagranicy. Babcia Marysia była kochaną osobą, nigdy nieskarżącą się, pełną humoru, zawsze uśmiechniętą. Bardzo ją kochałam i byłam szczęśliwa, że Anka sprawiła, że Babcia mogła umrzeć w domu, nie w szpitalu.

Jurek i ja musieliśmy wrócić do pracy, ale przedtem zaczęliśmy szukać niani dla Marieli. Pierwszą była Wandzia, dziewczyna ze wsi, którą polecili nam jacyś znajomi. Była na „stałe” i przeprowadzała się z nami z jednego wynajmowanego mieszkania do drugiego. W pewnym okresie musieliśmy nawet pomieszkać trochę u Rodziców na Mokotowskiej, ponieważ właściciel mieszkania kazał nam je opuścić bez wcześniejszego poinformowania. Na początku 1968 roku pojawiła się rzadka szansa

wyjazdu do Kenii. Zostaliśmy zaproszeni przez mojego byłego szefa, który przeprowadził się tam z Warszawy. Moi święci Rodzice zgodzili się wziąć do siebie Marielę plus Wandzię na okres trzech tygodni. Mówię „święci”, ponieważ mojej kochanej córeczce płacz i wrzask o trzeciej nad ranem sprawiały szczególną przyjemność, a trwało to nawet godziny. Wystartowaliśmy szczęśliwi jak skowronki i nie przypominam sobie, abym w ogóle martwiła się naszym małym domownikiem zostawionym w Warszawie. Myśląc o tym teraz, zadaję sobie pytanie, jak mogłam być tak beztroska, nie myśląc ani przez minutę o tym, co złego mogło się stać itp. Prawdopodobnie kiedy się jest młodym i szczęśliwym, pozostaje się optymistą i trochę naiwnym.

Poza tym miałam pełne zaufanie do Rodziców, a szczególnie Mamy, że dadzą sobie bardzo dobrze radę ze wszystkim, co tylko mogłoby się wydarzyć.

Pobyt w Kenii był wspaniały. Spędzaliśmy czas razem z inną parą, gośćmi gospodarzy, do dyspozycji mieliśmy auto. Pojechaliśmy na safari w Kenii i Tanzanii, co było nadzwyczajnym przeżyciem, szczególnie dla nas z bloku komunistycznego, z którego nie za wiele osób podróżowało za granicę na wakacje. Innym powodem był brak mocnej waluty (złoty polski nie był walutą wymienną) oraz wielkie trudności z uzyskaniem paszportu i wiz wjazdowych kraju, który chciałoby się odwiedzić.

W Kenii spotkaliśmy się z dalekimi krewnymi dalekich krewnych, Sapiehami (znana polska rodzina), którzy znaleźli się w tym kraju po drugiej wojnie światowej. Powodziło im się tam nieźle, on organizował polowania zaraz po wojnie, a potem przeszli na safari fotograficzne, kiedy zabijanie zwierząt zostało zabronione. Zostali prawie deportowani z tego kraju, kiedy Kenia uzyskała niepodległość od Wielkiej Brytanii. Było to konsekwencją rebelii Mau Mau, radykalnego afrykańskiego ruchu narodowego w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, którego celem było wyrzucenie wszystkich europejskich mieszkańców z tego kraju. Kiedy Kenia stała się niepodległą, Sapiehowie, jak wiele innych europejskich nacji, mieli do wyboru zrzeczenie się paszportów (w ich przypadku brytyjskich) i zostania obywatelami kraju lub wyjazd.

Sapiehowie stali się obywatelami Kenii i pozostali. Byli posiadaczami uroczego majątku i należeli do ekskluzywnego klubu towarzyskiego, do którego zostaliśmy parę razy zaproszeni. Ich czarny kierowca znał trochę

j. polski, którego nauczył się przez 20 lat pracy u nich. Spędziliśmy też kilka dni na farmie ich brytyjskich przyjaciół, gdzie jakiś czas przedtem kręcony był film „Elza z afrykańskiego buszu”. W pogodne dni z werandy można było zobaczyć pokryte śniegiem Kilimandżaro. To był piękny dom z ogromnymi sypialniami, wielkim salonem z kominkiem oraz skomplikowanym podgrzewaczem wody, który znajdował się na zewnątrz. Woda do kąpeli była podgrzewana w zewnętrznym zbiorniku, pod którym paliło się ognisko (nadzorowane przez specjalnego służącego) i od żaru słonecznego. Byliśmy pod wielkim wrażeniem i czuliśmy się, jakbyśmy żyli w czasach znanych wcześniej tylko z książek.

Posiadacze wymarzonego mieszkania

W połowie 1967 roku staliśmy się dumnymi posiadaczami małego mieszkanca (47 metrów kwadratowych) w spółdzielni mieszkaniowej na Bielanach w sąsiedztwie szarych betonowych bloków. W rzeczywistości nie byliśmy posiadaczami tego mieszkania, ale po uprzednim wpłaceniu pewnej kwoty wkładu należało uiszczać miesięczny czynsz. To pewnego typu hipoteka w komunistycznym stylu. Już od tego momentu zaczęliśmy ubiegać się o większy metraż, gdyż planowaliśmy mieć więcej dzieci. Szybko przeprowadziliśmy się do tego małego trzypokojowego mieszkania, które w końcu mogliśmy nazwać domem. Na lato tego roku wynajęliśmy kwaterę na wsi, blisko Warszawy, aby Mariela mogła być daleko od miejskiego smogu, a my mogliśmy dojeżdżać codziennie do pracy. Zanim wyruszyliśmy na zieloną trawkę, nasza niania Wandzia opuściła nas któregoś pięknego ranka bez słowa wyjaśnienia. W desperacji szukaliśmy innej opiekunki i skończyło się to zatrudnieniem starszej pani, która wydawała się być raczej miłą, ale okazała się alkoholiką i zabierała nasze dziecko do pobliskich barów. Kiedy ją zwolniliśmy, natychmiast zaczęliśmy poszukiwania i wpadliśmy na niepełnosprawną garbatą kobietę, którą zatrudniliśmy i która została z nami na jakieś trzy lata. Była dobrą osobą, ale jej wygląd prawdopodobnie wystraszył Marielę, która jej nie polubiła.

Na wiosnę 1968 roku okazało się, że jestem w ciąży, a dziecko ma przyjść na świat w listopadzie. Byliśmy uradowani i gotowi na powitanie

nowego członka naszej rodziny i zaczęliśmy myśleć, jak przemeblować nasze małe mieszkanie, aby znalazło się miejsce dla niemowlęcia.

W marcu 1968 roku nastąpił exodus polskich Żydów zmuszonych do opuszczenia kraju. Komitet Centralny Partii zarządził wszelkiego rodzaju represje wobec tzw. „elementów syjonistycznych”, które należało wyeliminować, szczególnie z jej szeregów. Wszystkie rodzaje represji zostały zorganizowane przez Centralny Komitet Partii Komunistycznej, gdzie różne frakcje próbowały wyeliminować „syjonistyczny element” ze swoich szeregów. Ta sytuacja w Polsce musi być zinterpretowana w szerszym kontekście. To był czas po sześciodniowej wojnie izraelsko-arabskiej w 1967 roku, która skutkowałą okupowaniem przez Izrael Strefy Gazy, Półwyspu Synaj, Zachodniego Brzegu, Wzgórz Golan i Wschodniej Jerozolimy. Komunistyczne partie na Zachodzie, idąc w ślad sowieckiego przywództwa, nazywały tę wojnę imperialistyczno-syjonistyczną. Wszystkie partie bloku wschodniego również potępiły Izrael. To dlatego Polacy żydowskiego pochodzenia, szczególnie ci, którzy piastowali znaczące stanowiska w partii lub w środowiskach nauki, wszyscy zostali opisani przez partyjną propagandę jako pogardzani syjoniści. Celem było podburzanie uśpionych antysemitycznych nastrojów w całym społeczeństwie. Czystki rozpoczęły się na uniwersytetach i w wyższych uczelniach, z których usuwano wybitnych profesorów. To samo stało się ze studentami, którzy mogli być Żydami. Te akcje oficjalnie usankcjonowane przez partię spowodowały olbrzymie protesty i demonstracje oburzonych studentów i zwykłych ludzi. Nie tego oczekiwały elity partii, zatem brutalnie stłumiono opór na ulicach przy pomocy milicji. Wielu ludzi, którzy mieszkali w Polsce od pokoleń i przeżyli Holocaust, zostało zmuszonych do emigracji.

Maciek urodził się 18 listopada 1968 roku. Dla mnie to doświadczenie było całkowicie różne od tego londyńskiego. Aby móc dostać się do szpitala, w którym chciałam urodzić, musiałam umówić się na prywatne (drogie) konsultacje u znanego profesora położnika, który obiecał, że mnie tam przyjmą, bez obaw.

Kiedy nadszedł, czas dokładnie jak przewidziano, udałam się do szpitala, gdzie umieszczono mnie na olbrzymim oddziale z wieloma łózkami zajętymi przez jęczące kobiety tuż przed samym porodem. Nikt się nami szczególnie nie interesował, od czasu do czasu sprawdzano rozwój sytuacji i odchodzono. W końcu przewieziono mnie na inny duży oddział,

gdzie miał się odbywać właściwy poród, było tam kilka rzędów szpitalnych łóżek, gdzie kobietom robiono lewatywę i znowu sobie wychodzono. Aby dopełnić uroczej atmosfery, sala wyposażona była w bardzo jasne lampy świecące z sufitu prosto w nasze twarze. Krzyki zdawały się dochodzić zewsząd, gdyż każda z nas gotowa była rodzić, tak nam się wydawało. Ale to nie zgadzało się z regulaminem, niestety. Pielęgniarki przyzwyczajone były do krzyków i wrzasków młodych matek. Po kilku godzinach potwornego bólu narodził się Maciek, duży, dobrze wyglądający chłopiec. Byłam bezgranicznie szczęśliwa, ale jeszcze gdybym mogła mieć kogoś, kto potrzymałby mnie za rękę i szepnął parę słów zachęty, kiedy tego najbardziej potrzebowałam! Tym kimś oczywiście mógłby być Jurek, ale w tamtych latach nikt oprócz personelu nie był wpuszczany do szpitala. Musiałam tam zostać przez pięć dni i jedyną komunikacją ze światem zewnętrznym były karteczki wysyłane w tę i z powrotem między łóżkiem a szpitalną poczekalnią, czyli korytarzem.

Musieliśmy przemeblować mieszkanie, tak więc salon stał się pokojem Marieli i jej niani, malutki Maciek został umieszczony w jednym małym pokoju, a my byliśmy w drugim. Było raczej ciasno, ale to była rzeczywistość większości przeciętnych rodzin naszego pokolenia.

Gąbińska 18 mieszkania 23

Nasza radość była nie do opisania, kiedy dowiedzieliśmy się, że nasze podanie o większe mieszkanie zostało zatwierdzone. Przeprowadziliśmy się na 68 metrów w pięciokondygnacyjnym budynku. Mieszkanie wydawało się olbrzymie, miało kuchnię z oknem, podczas gdy poprzednia była ślepa. Nie do wyobrażenia w dzisiejszych czasach! Nowy blok był całkiem blisko, więc przeprowadzka naszego ubożego stanu posiadania nie była bardzo ciężka i wykonana bez wysiłku dzięki pomocy rodziny i przyjaciół.

Nagle poczuliśmy się, jakbyśmy mieszkali w pałacu, chociaż przed czasem narodzin Małgorzaty, Jurek i ja musieliśmy przenieść się do salonu/jadalni, aby zrobić miejsce dla trojga dzieci i niani w trzech pokojach-boksach. Gąbińska, gdzie mieszkaliśmy do czasu naszego wyjazdu do

Stanów Zjednoczonych, była szczęśliwym okresem dla naszej rodziny; duży plac zabaw z przed blokiem był idealnym miejscem zabaw dla dzieci, a tych w sąsiedztwie było sporo. Były piaskownice i mnóstwo przestrzeni do jazdy na rowerze. Nasze betonowe bloki otaczały drzewa, krzewy i trawniki. Mogliśmy obserwować bawiące się dzieci z okna salonu lub przez balkon.

Mam bardzo miłe wspomnienia z etapu życia na Gąbińskiej. Oboje mieliśmy dobrze płatne posady, a trudności z otrzymaniem paszportów wydawały się już nie być problemem. Prawdopodobnie Urząd Bezpieczeństwa uznał, że nie jesteśmy potencjalnymi informatorami w sprawie naszych rodzin, przyjaciół i współpracowników. Kiedy Mariela i Maciek byli trochę starsi, pojechaliśmy do Juraty, nadmorskiego kurortu mojego dzieciństwa. Wynajęliśmy willę i przez dwa tygodnie miło spędziliśmy czas mimo niezbyt dobrej pogody. Zakupiliśmy również małego campera i cała rodzina używała go do wyjazdów do Nadkola, na Mazury czy potem na Węgry i na ciepłe plaże Bułgarii.

Jurek zawsze pracował w centralach handlu zagranicznego i często podróżował do egzotycznych krajów takich jak Indie, Pakistan, Nigeria czy Ghana. Około 1970–71 roku pojechał do Indii i Pakistanu na dłużej, na około trzy miesiące do każdego z nich. Rozstanie było raczej trudne dla mnie i dzieci, bardzo za nim tęskniliśmy. Nie podobał mi się fakt, że zostawałam głową rodziny podejmującą decyzje i mającą na głowie naprawy samochodu, których naprawę nienawidziłam. A w tym samochodzie ciągle coś się psuło. Bałam się poranków o 5 rano, kiedy miałam jechać do hotelu, aby zorganizować transport z lotniska dla załogi Swissair, a nie mogłam uruchomić silnika – szczególnie zimą. Rozłaka była ceną, którą trzeba było zapłacić za dobre pieniądze, które Jurek zarabiał zgodnie z kursem dolara na czarnym rynku walut w Polsce. Czasami przewoził dywany z Pakistanu i złoto z Bejrutu. Dywany sprzedawaliśmy za bardzo dobrą cenę, a złoto przechowywaliśmy w sejfie na Żoliborzu. Najgorszy był brak wiadomości, listy szły około trzech tygodni (adresem była Polska Ambasada w kraju, w którym Jurek przebywał).

Najstraszniejsze doświadczenie Jurka miało miejsce podczas hindusko-pakistańskiej wojny w 1971 roku. Kiedy wojna się zaczęła, był wtedy w Rawalpindi. On i jego koledzy byli świadkami bombardowań stolicy przez hinduskie siły powietrzne. Zdecydowali, że trzeba opuścić ten teren, więc wynajęli taksówkę i pojechali do Peszawaru. Stamtąd uciekli

przez Khyber Pass do Afganistanu. Wpływy Rosji już wtedy były widoczne w Afganistanie, a kręgi rządzące skłaniały się do tego, by uzyskać pomoc gospodarczą od Związku Radzieckiego.

Z Afganistanu Jurek i jego koledzy przez Teheran i Bejrut (złoto) udali się do Polski. Bardzo się baliśmy, bo nie można było uzyskać prawie żadnej informacji o pobycie Jurka, a jego relacje były zdawkowe i dotyczyły wojny. Kiedy w końcu wylądował w Warszawie, ledwie go poznałam, bo zapuścił sobie wąsy i był ubrany w „maxi” kozuch – prezent dla mnie zakupiony od pasterza w Khyber (Przełęczy) Pass.

Ledwie widoczna „odwilż” pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy władze pozwoliły na trochę swobody wypowiedzi (takie jak satyryczne kabarety, delikatnie krytykujące władzę i bardziej odważne artykuły w prasie) była krótkotrwała. W 1970 roku rząd zdecydował się ratować upadającą gospodarkę, nagle ogłaszając podwyżkę cen na podstawowe artykuły spożywcze. Ten krok skutkował gwałtownymi protestami wściekłego społeczeństwa, a to doprowadziło do wielu ofiar śmiertelnych. Te wydarzenia z kolei spowodowały zmiany w rządzie. Przewodniczącym komunistycznej partii PZPR został Gierek, który zdecydował, że podstawą uzdrowienia gospodarki będzie zaciągnięcie pożyczek. Ten krok rzeczywiście ożywił gospodarkę, przemysł został zmodernizowany, a duża ilość dóbr konsumpcyjnych była importowana głównie z RFN i Stanów Zjednoczonych, aby uspokoić masy.

Następnych kilka lat znanych jest pod nazwą „złotego okresu” socjalistycznej Polski, bo wszyscy mogliśmy się cieszyć towarami, którymi każdy mógł nabyć w domach handlowych czy na targowiskach. Tak znaczne pożyczki dokonane przez rząd skutkowały olbrzymim długiem narodowym, który zawisł nad krajem na wiele następnych lat. Kryzys energetyczny w 1973 roku szybko pokazał porażkę polityki Gierka. Puste półki w sklepach stały się znowu normą, a ceny zaczęły wzrastać. To był czas, kiedy zaczęła się organizować, wprawdzie subtelna, opozycja do władzy. Związki zawodowe i grupy studentów zaczęły zabierać głos, a prasa podziemna trafiała do coraz to szerszych kręgów odbiorców. Coraz więcej ludzi zbierało pieniądze, aby wspierać uwieczonych działaczy opozycji. Istniały tak zwane „latające uniwersytety”, gdzie sławni uczeni dawali wykłady na temat współczesnej historii, ujawniając oficjalne kłamstwa na temat nieodległej przeszłości Polski, a szczególnie tej związanej z ustaleniami jałtańskimi i Związkiem Radzieckim – naszym

„najlepszym przyjacielem i obrońcą”. Te wykłady, które odbywały się pod pozorem praktyk religijnych, miały miejsce głównie w podziemiach kościołów. Moja Mama bardzo aktywnie uczestniczyła w tych nielegalnych spotkaniach jako wykładowca, zdając sobie w pełni sprawę z ewentualnych konsekwencji.

Małgosia (znana również jako Margaret)

W tych „wspaniałych” polityczno-społecznych czasach, w roku 1973 pojawiła się w naszej rodzinie Małgosia. W przeciwieństwie do większości ludności w Polsce byliśmy raczej zamożni, gdyż mieliśmy oboje bardzo dobrze płatne posady. Stać nas było na wiele rzeczy, na które większość Polaków nie mogła sobie pozwolić. „Załatwialiśmy” nielegalnie zdobywane mięso lub inne artykuły normalnie niedostępne na rynku. Mogłam kupować za dolary mleko w proszku dla niemowląt w sklepach Pewexu. Szwajcarscy znajomi przysyłali mi też mleko i inne produkty pocztą służbową Swissar.

W kraju panował nastrój przygnębienia. Mama koncentrowała się na doktoracie z historii. Tata, coraz bardziej sceptyczny i pełen pesymizmu w stosunku do władzy, pracował nadal w Biurze Urbanistycznym Warszawy, ale już bez entuzjazmu. W końcu „zapropomowano” mu przejście na wcześniejszą emeryturę w wieku 55 lat, co też uczynił. Następnie został prezesem naszej spółdzielni mieszkaniowej „Mokotowska 51/53”. Pozytywnym wydarzeniem w życiu Rodziców, na tle tych niewesołych czasów, było nabycie wschodnioniemieckiego samochodu marki Trabant. Później stali się posiadaczami małego fiata. Te auta umożliwiły im podróżowanie po Polsce, a nawet wyjazd na camping do Grecji.

Kiedy byłam chyba w szóstym miesiącu ciąży, zdecydowaliśmy się polecieć na karaibską wyspę Aruba, aby spędzić tam krótkie wakacje, zanim pojawi się następne dziecko.

Wybraliśmy Arubę, ponieważ holenderskie Antyle nie wymagały wizy wjazdowej od obywateli „czerwonego bloku”. Pobyt był udany, nie-narodzone dziecko też dobrze się czuło, bo zachowywało się dobrze przez cały czas. W drodze powrotnej odwiedziliśmy w Miami rodzinę Grocholskich. Ich znajomi, którzy wtedy u nich byli, nieźle zaciągali się marihuaną i zapraszali każdego, aby do nich dołączył. Spróbowalibyśmy, to pewne, ale ja odmówiłam z powodu ciąży, a Jurek chcąc być solidarnym mężem, zrobił to samo.

Lato czało się za rogiem, więc wynajęliśmy znowu willę w pobliżu Warszawy i wszyscy się tam przeprowadziliśmy, w tym nasza nowo zatrudniona niania, pani Jadzia. Wtedy byłam na urlopie macierzyńskim, więc mi ta przeprowadzka nie przeszkadzała, nie musiałam jeździć do miasta każdego ranka. Mama przyjechała do nas, aby pomóc przy niemowlęciu i starszych dzieciach. W tamtym czasie byłam w stanie przy pomocy przyjaciół zapewnić sobie usługi pielęgniarki, która pojechała ze mną do szpitala i pomogła przejść przez bolesny czas przed porodem. Nie chciałam doświadczyć podobnego traktowania, jak wtedy, kiedy urodził się Maciek. Rozmawiała ze mną, spacerowała ze mną, gdy bolało i wzywała pielęgniarki czy lekarza, kiedy uważała, że jest to konieczne. Dzięki niej miałam spokojną głowę i to było dla mnie bardzo ważne. Wszystko poszło gładko, a Małgosia i ja wyszłyśmy ze szpitala po dwóch dniach i wróciłyśmy na wieś.

Przy trzecim dziecku polska matka miała prawo do trzymiesięcznego pełnopłatnego urlopu macierzyńskiego. Moim szwajcarskim pracodawcom to się nie podobało, ale musieli postępować zgodnie z polskim prawem. Dzięki temu mogłam spędzić całe wakacje plus miesiąc urlopu z rodziną, co oznaczało mój powrót do pracy dopiero w październiku.

Kiedy Małgosia miała zaledwie miesiąc, odszedł od nas dużo za wcześnie, w wieku 73 lat Dziadziuś Olgierd. Było to przykre, szczególnie dla Jurka i Cioci Ani, którzy stracili przedwcześnie oboje rodziców. Wnuki nie miały możliwości nawiązać głębszych więzi z dziadkami Gorzkowskimi, co było bardzo niefortunne. To jest jeden z powodów, dla którego bardzo chcemy być obecni w życiu wszystkich naszych wnuków; wydaje nam się, że taka wyjątkowa relacja jest bardzo ważna dla nich i dla nas również.

Długa droga do Ameryki

Na początku lat siedemdziesiątych Jurek zaczął pracować w kolejnej państwowej firmie handlu zagranicznego, która nazywała się DAL. W tym samym czasie Wuj Lulo Dembiński, ten który założył Fundację Dembińskich, pracował w Londynie dla firmy, która reprezentowała inne przedsiębiorstwa (głównie amerykańskie) i chciała robić biznes z państwami Europy Wschodniej. To było we wcześniej opisanym czasie utopijnej prosperity w Polsce, opartej na krótkowzrocznym planie Gierka, polegającym na pożyczaniu dużych pieniędzy z Zachodu, aby zmniejszyć niezadowolenie w kraju.

Amerykańskie i zachodnioeuropejskie firmy bardzo zainteresowały się inwestowaniem w Polsce i sprzedażą towarów przemysłu ciężkiego, instrumentów precyzyjnych i również towarów konsumpcyjnych. Wuj Lulo pomyślał (i słusznie), że Jurek mógłby być idealnym kandydatem do kontaktów z ludźmi wysłanymi do Polski, sprzedającymi sprzęt do testowania dla przemysłu motoryzacyjnego, sprzęt medyczny, dzin-sy i herbatę Twining. Zakres rzeczywiście był imponujący. Byli nawet przedstawiciele firmy, która chciała budować w pobliżu Krakowa fabrykę skraplania helu i rozważali kandydaturę Jurka na dyrektora generalnego, czemu ja się sprzeciwiłam (nie o hel chodziło, ale o pomysł przeprowadzki gdzieś, wcale nie tak blisko Krakowa).

Stworzono firmę Anglo-Dal, z biurem głównym w Londynie i oddziałem w Warszawie, gdzie Jurek został dyrektorem. Było to dość skomplikowane, ale jego stanowisko było nieźle płatne i firma przydzieliła mu samochód służbowy fiata Mirafiori. W ten sposób staliśmy się rodziną z dwoma samochodami.

Michał (fizyk z wykształcenia), mąż mojej siostry Marty, został członkiem zespołu sprzedaży. To właśnie wtedy pierwszy raz poznaliśmy rodzinę Mary i Chucka Carneyów, Johna Beala, Steve'a Smithsona, Paula Stranda i Boba Weinmanna – wszystkich z firmy MTS Systems z Minneapolis. Często przyjeżdżali do Warszawy, bo MTS System sprzedawał dużo Instytutowi Badań Motoryzacyjnych. Kilka razy byli na Gąbińskiej 18 na obiedzie (ku mojemu rozczarowaniu nie chcieli spróbować tatarskiego, typowo polskiej specjalności); Steve grał na gitarze

i śpiewał amerykańskie folkowe piosenki. Dzieci polubiły naszych gości i zawsze bardzo cieszyły się na ich wizyty.

Wtedy też z Jurkiem myśleliśmy o ponownym wyjeździe do Brazylii, aby uczcić nasze nietypowe zaręczyny prawie dziesięć lat przedtem. Tym razem otrzymaliśmy wizy wjazdowe, ja zarezerwowałam bilety Swissair w klasie biznes (mój przywilej po więcej niż 10 latach pracy) i wyjechaliśmy, zostawiając dzieci i panią Jadzię z moimi świętymi Rodzicami. To była ostatnia szansa, aby wybrać się w taką podróż, bo Mariela miała wkrótce rozpocząć pierwszą klasę.

W Brazylii pobyt udał się wspaniale, spotkaliśmy się z Marielą Mastrogiovanni i jej rodziną. W Rio odwiedziliśmy miejsca, które każde z nas знаło ze swoich poprzednich wizyt, ale wtedy zobaczyliśmy je razem.

Gdzieś około roku 1974–75 Steve Smithson wyjechał służbowo do Jugosławii i został poważnie ranny w wypadku samochodowym. Przez pewien czas jego życie balansowało na granicy śmierci. MTS poprosiło Jurka, aby poleciał tam i pomógł skoordynować opiekę i komunikowanie się z miejscowymi, bo ludzie mówili trochę po rosyjsku, a prawie nikt po angielsku. To były pierwsze i jedyne święta Bożego Narodzenia, które spędziliśmy bez Jurka. Było smutno, ale byliśmy też dumni z niego, szczególnie dlatego, że pomógł Stevowi i jego żonie Lindzie, która przyleciała do miasta, w którym Steve był hospitalizowany, gotowa na najgorsze. Zorganizowanie powrotnego transportu do USA dla Steva wymagało wiele zachodu. Zorganizowaliśmy transport ze Swissair, dzięki skoordynowanym wysiłkom mojej dobrej przyjaciółki, też Anity, pracującej w Zurichu oraz pomocy Jurka w Jugosławii oraz mnie, działającej w biurze w Warszawie. Po jakimś czasie oboje z Jurkiem zostaliśmy zaproszeni do Minneapolis, gdzie Jurek został uhonorowany przez kierownictwo MTS za swoje działania w trudnościach związanych ze Stevem. Staliśmy się dobrymi przyjaciółmi, szczególnie z Chuckiem i Mary Carney i ta przyjaźń przetrwała próbę czasu.

Mariela radziła sobie nieźle w szkole, chociaż zapisaliśmy ją w wieku sześciu lat, trochę wcześniej, niż to było wymagane. Była żywą i przedsiębiorczą dziewczynką. Jako około 7-miesięczne dziecko raczkowała tak szybko, że nie mogłam nadążyć, aby kontrolować jej ruchy i często udawało się jej nabroić, np. przez ściąganie zabronionych przedmiotów,

antycznych ozdób czy kieliszków ze stolików. Wizyty u starszych krewnych, których mieszkania były małe i pełne rodzinnych pamiątek wyeksponowanych w zasięgu rącek naszej córki, musiały być bezwzględnie unikane.

Pod koniec trzeciej klasy Mariela postanowiła zostać gimnastyczką, ponieważ jej dobra przyjaciółka została przyjęta do specjalnego programu dla utalentowanych dzieci. Obawialiśmy się tych kwalifikacji, ponieważ wiedzieliśmy, że talent Marieli do sportów z pewnością nie zawierał gimnastyki i porażka związana z nieprzyjęciem do programu byłaby dla niej trudna do przełknięcia. Jak przypuszczaliśmy, nie znalazła się wśród zwycięzców, co było dla niej bardzo przykre. Próbowaliśmy znaleźć dla niej jakiś inny sport. Przez znajomych dowiedzieliśmy się, że w okolicy jest szkoła sportowa dla utalentowanych dzieci. Robili nabór do klasy szermierki, ale też wymagany był test sprawnościowy. W ogóle nie byliśmy pewni, czy nasze dziecko jest dobrym kandydatem do tego sportu, który w naszym mniemaniu jest finezją, elegancją i taktyką. Nie mogliśmy uwierzyć, ale Mariela łatwo się dostała, a było to tak:

Kiedy miała powiedziane, aby walczyć z innym dzieckiem, ona zyczajnie rzuciła się z całą mocą naprzód i prawie przygwoździła do ściany przeciwniczkę, zanim tamta miała szansę uświadomić sobie, co się dzieje. Mariela chodziła do tej szkoły aż do naszego wyjazdu do USA. Próbowала również pływania, była w tym całkiem niezła; trenerzy mówili, że jest bardzo utalentowana.

Bardzo cieszyliśmy się na wspólne wakacje z naszymi dziećmi. Kiedy Małgosia miała dwa lata, spędziliśmy je w Polsce, używając naszego campera jak hotelu na kółkach; kiedy miała trzy lata, zdecydowaliśmy się pojechać na plażę Bułgarii nad Morzem Czarnym.

Warto zauważyć, że podróże do tak zwanych „państw demoludów”, zwanych inaczej blokiem komunistycznym wcale nie były łatwe do zrealizowania. Trzeba było ubiegać się o specjalne pozwolenia, a nie paszporty, pozwalano zabrać z Polski tylko ograniczoną kwotę pieniędzy. Te formalności wymagały wypełnienia wielu formularzy. Przekraczanie granic trwało wiecznie, bowiem wszystkie te pozwolenia i papiery były szczegółowo sprawdzane. Przetrwaliśmy to i w końcu puszczono nasz niezawodny camper przez Czechosłowację, Węgry i Rumunię – podróż sama w sobie bardzo interesująca. „Rozbiliśmy” się na campingu parę

kroków od wody. Anka (Ciocia Ania) i jej mąż Leszek oraz córka Kasia dołączyli do nas swoim samochodem, rozbili swój namiot blisko naszego kampera i wszyscy razem relaksowaliśmy się pod błękitnym niebem i rozkosznie ciepłą wodą na bułgarskim wybrzeżu. Udogodnienia na parkingu były raczej podstawowe: prysznice na plaży, a woda wystarczająco podgrzana promieniami słonecznymi. Tak wyglądało ekologicznie słuszne wykorzystanie energii słonecznej 40 lat temu. Toalety były w stylu tureckim – dziura w podłodze, więc korzystający musiał nad nimi przykucnąć. Niezbyt wygodne.

Odwiedziliśmy okoliczne wsie i naprawdę rozkoszowaliśmy się tam dobrą i niedrogą żywnością oraz winem. Podczas jednego z takich przejazdów przez bułgarskie wsie, zetknęliśmy się z paroma osłami, typowym elementem tamtejszego krajobrazu. Mariela, która uwielbia zwierzęta, chciała nakarmić marchewkami jednego z nich, ale niewdzięczne zwierze ugryzło ją w palec i odeszło. I my też odeszliśmy, przyrzekając sobie, że nigdy już nie zaufamy głupiemu osłowi.

W drodze powrotnej do Polski trochę pozwiedzaliśmy Rumunię; jeden dzień byliśmy w Bukareszcie, a potem również zatrzymaliśmy się na Węgrzech i w Słowacji.

Na nasze następne wakacje chcieliśmy zabrać rodzinę do Europy Zachodniej. Pytanie było tylko, czy Urząd Paszportowy pozwoli całej naszej rodzinie wyjechać z kraju razem. W wielu przypadkach ludzie w ogóle nie próbowali wyjeżdżać rodzinnie, nawet mąż i żona, zostawiając dzieci w Polsce. Władza przypuszczała, że każdy chce zbiec na Zachód. Ludzie, którzy naprawdę chcieli opuścić Polskę na dobre, próbowali wszelkich trików, aby wyprowadzić w pole władzę; czasem dostawali zgodę na zorganizowany grupowy wyjazd turystyczny i potem prosili o azyl w Wiedniu, Paryżu czy Londynie. Czasami rozdzielone rodziny czekały latami, aby połączyć się z ukochanymi. Moja siostra Elżbieta, która wyjechała do Londynu pod koniec lat siedemdziesiątych, chciała spróbować tam szczęścia i nie planowała powrotu do Polski. Aby nie narażać nas na kłopoty z dostaniem paszportu, zdecydowała się wykonać bardzo drastyczny krok, wychodząc za mąż za nieznanego – pewnego pana Taylora. Dzięki temu mogła legalnie pozostać w Anglii, a polskie władze przestały nękać ją i nas w Polsce. Teraz nazywała się Elizabeth Taylor, co czasami powodowało zamieszanie na lotnisku, gdyż brano ją za sławną gwiazdę filmową.

„Nie posiadaliśmy się z radości, dozgonnie wdzięczni rządowi za okazaną nam łaskawie życzliwość”. To było dokładnie to, czego chcieli – lud wdzięczny za paszport, kawałek mięsa, papier toaletowy.

Naszym planem była podróż do Szwajcarii, którą nazywałam „domem na wyjeździe”, bo często tam jeździłam z powodu pracy w Swissairze. Chcieliśmy także polecieć do Rzymu i spędzić tam kilka dni. Nieco przed tym wyjazdem Maciek został zaproszony, aby spędzić parę tygodni wakacji z naszym przyjacielem z Londynu, który miał syna w tym samym wieku. Chodziło o to, aby Maciek poćwiczył swój prawie żaden angielski. Ten chłopiec z kolei miał podszkolić się trochę z j. polskiego, aby zadowolić swojego polskiego tatę. Ten chłopak miał w przyszłości spędzić z nami trochę czasu, ale to się nigdy nie zmaterializowało, ponieważ wyjechaliśmy do USA. Przeżyliśmy trochę strachu na lotnisku Heathrow, ponieważ zakupiłam tam dla niego pistolet-zabawkę. Nasz podręczny bagaż został przeszukany i chciano skonfiskować rewolwer. Byliśmy naprawdę zażenowani zamieszaniami, gdyż każdy wokoło patrzył z dezaprobatą. Wszystko to wydarzyło się przynajmniej 20 lat temu, zanim groźby ataków terrorystycznych zaczęły być prawdziwym problemem. Wtedy przeszukiwanie ludzi nie było codziennością. W końcu agenci ochrony zauważyli, że Maciek prawie płacze, wezwali więc personel Swissair, instruując go, aby oddał pistolet pilotom na przechowanie. Odebraliśmy go po lądowaniu w Zurichu, a potem załoga wzięła go do Warszawy i oddała po wylądowaniu Maćkowi.

Moja przyjaciółka Anita pomogła nam wynająć dwupokojowe mieszkanie w Locarno, we włoskiej części Szwajcarii. Mieszkanie miało widok na Lago Maggiore, ale przez cały pierwszy tydzień naszych wakacji lało dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc i tak nic nie mogliśmy zobaczyć. Byliśmy odcięci od świata z marudnymi dziećmi grającymi w gry, a na szczęście były tam również zabawki. Raz na dzień ktoś z nas biegł do marketu lub restauracji, aby przynieść trochę jedzenia; byliśmy naprawdę przygnębieni. Na początku drugiego tygodnia wydawało się, że stał się cud; obudziliśmy się rano z najpiękniejszym słońcem i doskonałym widokiem jeziora. Wpadliśmy w zachwyt i nasz nastrój od razu się zmienił. Szkoda było tracić czas, więc natychmiast udaliśmy się na zwiedzanie, zaczynając od spacerowania w górę i dół malowniczymi ulicami Locarno, podziwiając absolutnie wspaniałe widoki okolicznych gór i jeziora u naszych stóp. Zabawną stroną naszego zwiedzania był

fakt, że Małgosia, wtedy ledwie czteroletnia, musiała często chodzić do toalety, więc zrobiliśmy grand tour prawdopodobnie przez wszystkie damskie toalety w malowniczym Locarno. Spędziliśmy dość dużo czasu na Piazza Grande, centralnym rynku miasta, gdzie miejscowi zbierają się, by pogadać, napić się kawy lub wina czy zjeść obiad ze znajomymi. Jednego dnia pojechaliśmy kursowym autobusem do wsi Sognono, na koniec tej jednogodzinnej przejażdżki na wijącej się serpentynami górskiej drodze znaleźliśmy się na jednym ze szczytów malowniczej doliny Ticino (terenu, gdzie położone jest jezioro Locarno). Następnego dnia wjechaliśmy kolejką linową, aby udać się do sanktuarium Madonny Del Sasso. Kolejka wjeżdża prawie pionowo do kościoła i zakonu, które zostały założone w 1480 roku. Oszalamiający panoramiczny widok z tego miejsca jest niewiarygodnie piękny, otwierający się na dachy domów wokół Locarno i w dalszej perspektywie na Lago Maggiore. Jednego popołudnia wybraliśmy się na wycieczkę łodzią po Lago Maggiore. Niestety wrażliwy żołądek Maćka nie współpracował z lekko wzburzonymi wodami jeziora. Maciek chciał natychmiast wysiąść, co nie było możliwe aż do końca wycieczki. Cierpiał w milczeniu i jego entuzjazm przygał nieco.

Wróciliśmy pociągiem do Zurichu, gdzie zatrzymaliśmy się u mojej drogiej przyjaciółki Anity i rodziny Zollikofer, którzy przyjęli nas z otwartymi ramionami (wszyscy pracowali dla Swissair). Potem poleciliśmy do Rzymu. Dzięki zatrudnieniu w liniach lotniczych miałam olbrzymie zniżki w hotelu Sheraton na obrzeżach miasta. Dla nas to był wspaniały wybór, bo w rzeczywistości to był kurort z dużym basenem, idealny dla rodziny z dziećmi. Podobało nam się pływanie i wygrzewanie na słońcu, a i nasz pokój był zupełnie przyzwoity. Zdecydowaliśmy z Jurkiem, że najpierw do Rzymu pojedziemy my, a dzieci zostawimy w hotelu. To nie była najmądrzejsza decyzja, jak się potem okazało, Małgosia wskoczyła do basenu, gdzie woda dla niej była za głęboka i zaczęła się topić, uratowali ją Mariela i Maciek. Nie mogę uwierzyć, że byliśmy tak nieodpowiedzialni. Może dlatego teraz boimy się o ich bezpieczeństwo.

W Rzymie zostaliśmy kilka dni, zwiedzając sławne zabytki i rozkoszując się jedzeniem w pobliskich restauracjach. Margaret była wybredna w jedzeniu; jednego razu absolutnie odmówiła zjedzenia rosołu z kluskami („zuppa con brodo”).

Pamiętam to jako zabawny incydent, bo próbowaliśmy ją przekonać do jedzenia, śmiesznie nazywając zupę po polsku „zupą z brodą”. Nie spodobały jej się nasze żarty i skończyło się na kawałku chleba, co nie poprawiło jej nastroju. Wyprawiliśmy się nawet do Castel Gandolfo, gdzie papież Paweł VI spędzał najgorętsze letnie miesiące. Zdarzyło nam się być tam na audiencji z bardzo dużą grupą ludzi z Ameryki Południowej. Papież przemawiał do nas wszystkich z balkonu, a kiedy Jurek posadził sobie Margaret na ramionach, wydawało się, że Ojciec święty zauważył jej jasne włosy w morzu czarnych głów i pomachał specjalnie w jej kierunku. Wszyscy uznaliśmy, że bez wątpienia patrzył na nią.

Wieczory spędzaliśmy na basenie w Sheratonie w miły sposób, aby odpocząć po dniach wypełnionych zwiedzaniem Rzymu i okolicy. Te cudowne wakacje miały się ku końcowi, przylecieliśmy z powrotem do Warszawy, do pracy i do szkoły.

Służbowe i osobiste relacje Jurka z ludźmi z MTS były naprawdę dobre. W pewnym momencie zaoferowano mu pracę w centrali w Minneapolis. Propozycja wydawała się nam bardzo atrakcyjna, chociaż ja nigdy nie chciałam opuścić Polski na dłużej, a z pewnością nie na dobre. A mój entuzjazm był mitygowany przez różne wątpliwości, np. oddalenie od rodziny i przyjaciół i ogólnie z powodu strachu przed nieznanym. Zdecydowaliśmy wtedy, że potraktujemy to doświadczenie jak przygodę, może na jakieś kilka lat, ostatecznie będzie to korzyść dla naszych dzieci, aby dobrze nauczyły się angielskiego. Nikomu nic nie wspominaliśmy, bo wyjazd do pracy za granicę w komunistycznej Polsce łatwiej było planować niż zrealizować. Kilka lat wcześniej dostaliśmy propozycję stanowiska pracy w Kairze w biurze Polskiego Attache Handlowego, ale odmówiono nam paszportów, uważano, że nie jesteśmy obywatelami, którzy warci są przywileju reprezentowania Polski na tym oficjalnym stanowisku. Byliśmy więc raczej sceptyczni w sprawie propozycji z USA, ale chcieliśmy spróbować. Cała procedura miała być przeprowadzona przez bardzo dziwną agencję Polservice. Ta organizacja miała zająć się stroną biurokratyczną wyjazdu, taką jak paszporty, wizy, kontrakty itp. W praktyce jedyną ich rolę było przyjęcie dużej opłaty od każdego pracownika zatrudnianego za granicą – jakiś procent pensji przekazywanej co miesiąc do centrali. Polacy (w tym i my), którzy chcieli wyjechać do takiej pracy za granicę, godzili się bez protestu na taki jawny wyzysk. Tryby maszyny zaczęły się bardzo, bardzo pomału kręcić, jak

to w polskiej biurokracji, a do tego czasu MTS musiało zrezygnować z kilku domów, które dla nas wynajęli, zanim wszystko wydawało się ze strony polskiej gotowe.

Tymczasem, kiedy Mariela miała dziesięć lat, zabrałam ją do USA na krótki pobyt. Spędziliśmy trochę czasu w Nowym Yorku i około tygodnia w Kalifornii u Radziwiłłów. Był nawet taki plan, aby zostawić tam Marielę w szkole z internatem dla dziewcząt, za który Ciocia Krysia zaoferowała się zapłacić, ale ostatecznie okazało się to za drogie. Oprócz tego nie wyobrażałam sobie separacji z córką na tak długi okres. Pamiętam, że Nowy York bardzo podobał się Marieli, chociaż wtedy było zimno, bo byliśmy tam w czasie zimy. Jej ulubioną rozrywką było chodzenie na karuzelę w Central Parku oraz jeżdżenie na łyżwach w Centrum Rockefeller i jedzenie hot-dogów. W jakimś momencie zostawiłam córeczkę na 2 godziny na tej ślizgawce i poszłam do eleganckiego sklepu Bloomingdale's trochę pooglądać ciuchy. W dzisiejszych czasach byłoby to nie do pomyślenia i byłabym uważana za zupełnie nieodpowiedzialną i samolubną matkę. W tych latach było jednak mniej niebezpiecznie, nawet w Nowym Jorku wokół Rockefeller Center. Może byłam zbyt naiwna jako osoba z kraju komunistycznego, gdzie wmawiano nam, że przestępczości w naszej ojczyźnie prawie nie ma.

Przed wyjazdem do Minneapolis

Nadszedł dzień, w którym powiedziano nam, że możemy jechać do Ameryki. Paszporty i wize do USA zostały nam przyznane i zostaliśmy poinstruowani przez Polservice, aby wykupić bilety lotnicze. Uznaliśmy, że teraz jest już właściwy czas, aby powiedzieć to naszym rodzinom, dać wypowiedzenia w pracy, zacząć się pakować i planować wielką imprezę pożegnalną. Jurek powiedział ludziom z MTS, że jesteśmy gotowi. Kiedy już to wszystko zrobiliśmy, nagle nam powiedziano, że musimy oddać paszporty, bo „wyższa władza” (ktokolwiek to był) zdecydowała, że ostatecznie nie możemy wyjechać. Byliśmy całkowicie zszokowani i nie mogliśmy uwierzyć w to, co się stało. Nasi przyjaciele w MTS uważali, że to nie może być możliwe w cywilizowanym kraju. Ludzie z pewnością byli cywilizowani, ale władza nie. Cała ta sprawa sprawiła, że poczuliśmy się

dosłownie chorzy. Ale nie było niestety do kogo zwrócić się o pomoc. Paszporty zwrócono do Polservisu, a my znowu zaczęliśmy ubiegać się o ponowne przyjęcie do pracy, starając się zapomnieć cały incydent. Czułam się tak zdegustowana, że przysięgałam sobie, że nigdy nie pozwolę na takie upokorzenie moje i mojej rodziny. Podjęliśmy na nowo nasze codzienne obowiązki, uświadamiając sobie, że nie jesteśmy takim rodzajem ludzi, którym władza pozwoli pracować za granicą legalnie.

Pewnego razu, kiedy byłam w szpitalu, dochodząc do siebie po małej operacji, Jurek zaskoczył mnie pytając, czy rozważyłabym ubieganie się o wyjazd jeszcze jeden raz. Popatrzyłam na niego i pomyślałam, że oszalał i oświadczyłam stanowczo, że dla mnie ta sprawa jest raz na zawsze zamknięta. Tego dnia nie czułam się za dobrze i pomyślałam, że to rzeczywiście sposób, aby poruszyć mnie tak szokującą propozycją. Jurek nalegał i zaczął wyjaśniać, że jakiś bardzo ważny człowiek z partii, który był bardzo przeciwny podjęciu przez Jurka pracy w MTS właśnie zmarł i teraz nie ma już przeciwwskazań, abyśmy jechali. Trudno było w to wszystko uwierzyć. W końcu zgodziłam się bardzo niechętnie na powtórzenie całego procesu. W tym miejscu muszę pochwalić naszych amerykańskich przyjaciół za ich wytrwałość i cierpliwość. To musiało być dla nich nie do pojęcia – jak reżim może manipulować i poniżać ludzi w tak perwersyjny sposób.

Rozpoczęła się kolejna runda uzyskiwania dokumentów wyjazdowych, a my zdecydowaliśmy się przetestować załatwianie formalności paszportowych poprzez próbę wyjazdu całą rodziną na wakacje po Europie. Wszyscy otrzymaliśmy paszporty i pojechalismy na Majorkę. Jakże niewiele wiedziałam o popularności wysp hiszpańskich i innych modnych miejsc wakacyjnych w środku lata w Europie!

W tamtym czasie było w Polsce niewiele biur podróży, a ludzie podróżowali albo służbowo, albo by odwiedzić rodzinę. Było mało wycieczek na Zachód organizowanych przez rządowe biuro Orbis, a te z kolei organizowane były do ważniejszych stolic europejskich, nigdy do znanych wakacyjnych kurortów odwiedzanych przez ludzi z Zachodu. Innymi słowy pomysł wyjazdu na Majorkę bez wcześniejszych rezerwacji był całkowicie szalony, a ja tego nie wiedziałam i to dlatego nasze wakacje okazały się być wyjątkowe. Po otrzymaniu wiz hiszpańskich i wydrukowaniu w miarę wolnych miejsc „biletów” lotniczych, oczywiście w Swissairze, udaliśmy się w naszą podróż. Trasa Warszawa–Zurich była w porządku, nasza piątka bez problemu dostała się do

samolotu. Kłopoty zaczęły się w Barcelonie, gdzie musieliśmy złapać mniejszy samolot do Palmy na Majorce. Samolot był prawie pełny, więc nakazano nam czekać aż do zamknięcia bramek, kiedy znajdzie się pięć wolnych miejsc. Atmosfera zrobiła się napięta i zaczęłam czuć się winna, myśląc, że prawdopodobnie utknijemy w Barcelonie na resztę naszego pobytu. Dla mnie i dla Jurka to miejsce nie byłoby takie złe; przynajmniej moglibyśmy dużo pozowiedzać. Ale dla naszej trójki dzieci, którym obiecaliśmy piaszczyste plaże i ciepłe Morze Śródziemne, ta opcja nie wydała się wcale atrakcyjna. W końcu po krótkim locie wylądowaliśmy w Palma de Mallorca. Planowaliśmy wynająć mały samochód, który zabrałby nas do hotelu, najlepiej w pobliżu plaży. Plan związany z samochodem poszedł dobrze, wynajęliśmy uroczy pomarańczowy kabriolet marki Citroen. Ponieważ pogoda była gorąca i sucha, natychmiast polubiliśmy ten samochód i zaczęliśmy jeździć w poszukiwaniu miejsca na nocleg. Odwiedziliśmy niezliczoną liczbę małych hotelików, gdzie nawet jeden pojedynczy pokój nie był dostępny. Wszystko było zarezerwowane miesiąc przedtem przez duże biura podróży. W końcu w jednym miejscu zgodzili się przyjąć nas na jedną noc, bo grupa miała jednodniowe opóźnienie. To dla naszych ciał i tak była olbrzymia ulga; mieliśmy jedzenie i mogliśmy pójść spać. Następnego ranka, za radą miejscowych, udaliśmy się do „wnętrza” Majorki, małego miasteczka Inca położonego około 37 kilometrów na północny wschód od Palmy. Natychmiast polubiliśmy miasteczko. Było tam bardzo mało turystów, a ludzie, których spotkaliśmy, byli niesamowicie przyjaźni, kiedy patrzyli na Marielę, Maćka i Małgorzatę, blondynów, z oczywistym zainteresowaniem. Znaleźliśmy bardzo niedrogie zakwaterowanie w zniszczonym hotelu w centrum miasta. Śniadanie i obiad zawarte były w cenie. Dzban Sangrii serwowany był co wieczór do posiłku. Też oczywiście w cenie. Bardzo szybko zorientowaliśmy się, że życie w Hiszpanii (szczególnie na południu) miało całkowicie inny rytm niż ten w zimnych częściach Europy. Obiad jedzono dopiero od 9 wieczorem, a potem każdy szedł na spacer lub siedział wokół centralnego rynku, rozmawiając, śpiewając, słuchając muzyki i sącząc wino. Atmosfera była sympatyczna, ludzie zadawali nam pytania skąd jesteśmy i wydawali się być bardzo zaskoczeni naszymi odpowiedziami, bo nigdy wcześniej nie widzieli nikogo zza „żelaznej kurtyny”. Spać chodziło się mniej więcej pomiędzy 2 a 6 rano, wtedy robiło się dość spokojnie na ulicach.

Pewnego dnia spotkaliśmy kilkoro młodych Anglików, którzy mieszkali w naszym hoteliku. Byli geologami i szukali złóż ropy naftowej na Majorce. Pozwolili Marieli i Maćkowi przejechać się z nimi ich jeepem jako ich płatni „asystenci”. Było to raczej głupie z naszej strony pozwolić, aby całkowicie obcy opiekowali się, bawili, a może nawet wykorzystywali nasze dzieci. Znowu jest dowód na to, jak naiwni i łatwowierni byliśmy, ale ostatecznie wszystko dobrze się skończyło.

Każdego dnia odkrywaliśmy inne plaże i miejsca na wyspie, pojechaliśmy nawet do Palmy, ale okazało się, że tam jest bardzo tłoczno z powodu tłumu turystów; pod koniec każdego dnia z przyjemnością wracaliśmy do naszego hoteliku w Ince, gdzie Małgosia, mająca wtedy 5 lat, zaprzyjaźniła się z barmanem i każdego wieczora maszerowała do baru i prosiła „una coca cola, por favor”. Wszystkim nam bardzo podobał się ten pobyt na Majorce; wyspa wydawała nam się „egzotyczna”, podobał nam się folklor i styl życia tamtejszych ludzi.

Warszawa —Minneapolis

Tym razem wyjazd stał się realny. Po wręczeniu okazałej łapówki dla decydentów Jurek został poinformowany, że wszystkie potrzebne dokumenty są gotowe i możemy dokonywać rezerwacji lotu. W tym czasie my oraz cały świat byliśmy w wielkim szoku po usłyszeniu wiadomości, że 16 października 1978 roku kardynał Wojtyła z Polski został wybrany na papieża. Nie mogliśmy uwierzyć w to, co rzeczywiście się stało. Powszechnie uważało się, że tylko Włoch może zostać papieżem, co od stuleci było zwyczajem. Polacy znaleźli się w stanie euforii, również i my.

Inny fakt stał się dla nas oczywisty: byłam w ciąży w „młodym” wieku 40 lat, czego z pewnością nie planowałam. Gdy poinformowałam o tym Jurka – wykrzyknął z niedowierzaniem: „co ty narobiłaś?”, jak bym to ja wyłącznie ponosiła odpowiedzialność. Po początkowym szoku zaakceptowaliśmy nowe wyzwanie z radością i uznaliśmy, że to małe

istota została stworzona w jakimś celu, może po to, byśmy poczuli się młodszy na starość. Dziecko miało przyjść na świat w USA, co nadawało temu wyjazdowi inny wymiar.

Tym razem zdecydowaliśmy się ujawnić nasze plany wyłącznie najbliższej rodzinie, nie wciągając w to dzieci. Musieliśmy powiedzieć naszym szefom o wyjeździe. Obawialiśmy się, że coś znowu pójdzie nie tak, jeśli powiemy zbyt wielu osobom. Planowaliśmy spakować osiem walizek, głównie ubrań, pościeli i trochę bibelotów. Urząd celny pozwolił nam zabrać więcej rzeczy, bo wyjeżdżaliśmy na dłuższy okres. Dodatkowe rzeczy były na specjalnej liście i mogły być dostarczone później, jeśli byłaby taka potrzeba.

Planowałam przylecieć do Polski z wizytą w ciągu trzech miesięcy, tak długo ważne były darmowe bilety z mojej firmy. Uwierzcie mi, wydrukowałam cały ich plik przed wylotem, w tym loty między Minneapolis i Monterey w Kalifornii, gdzie zamierzaliśmy spędzić Święta Bożego Narodzenia 1978 r. u Cioci Krysi i Wuja Macieja Radziwiłłów.

Jeszcze jedno wydarzenie miało miejsce przed wylotem – kupiliśmy kawałek sadu w Nadkolu i postawiliśmy tam kempingową „chatkę”. Wielu naszych kuzynów i bliskich przyjaciół zbudowało sobie letnie domki w sąsiedztwie, idąc w ślady Władka Dembińskiego, który zakupił stodołę na sporym kawałku ziemi pod koniec lat siedemdziesiątych. Na początku każdy się dziwił, po co kupować coś takiego na odludziu i być zmuszonym spędzać tam wszystkie weekendy i lato. Władek okazał się być wizjonerem. Stopniowo tłumy przyjaciół i krewnych zaczęły odwiedzać regularnie Nadkole lub raczej Stodołę Dembińskiego. W końcu wielu „zobaczyło światło w tunelu” i zaczęli rozważać posiadanie czegoś w pobliżu. Jedni po drugich kupowali działki z sadem oferowane przez jedną rodzinę.

W ten sposób staliśmy się dumnymi posiadaczami kawałka tego raj. Wiele rodzin spędzało tam wakacje i masę weekendów w tych komunistycznych czasach, kiedy zbyt kosztowne było pojechać nad morze czy w góry, nie mówiąc o zagranicy. Mój brat Piotr ze swoją rodziną, nasi Rodzice, ale też Ciocia Ania i jej mąż odwiedzali „nasze” Nadkole przez cały czas po naszym wyjeździe do Minneapolis. Trudno to sobie wyobrazić, ale po ponad trzydziestu latach nasz domek ciągle stoi w tym samym miejscu i dobrze nam służy podczas naszych letnich pobyków w Polsce.

Rezerwacji dokonaliśmy na koniec listopada. Zdecydowaliśmy spędzić parę nocy w hotelu w Zurichu, aby odpocząć po bardzo stresującym okresie końcowych przygotowań do podróży. Dodatkowo nie czułam się dobrze podczas pierwszych miesięcy ciąży. Okazało się też, że kilka dni przed wyjazdem muszę mieć ekstrakcję zęba, ponieważ zostawienie go mogłoby mieć niekorzystny wpływ na mnie i zdrowie dziecka. Ekstrakcja była bardzo bolesna, ponieważ dentysta nie mógł mnie zbyt mocno znieczulić z powodu ciąży. Warto zauważyć, że narzędzia dentystryczne w tamtym czasie w Polsce, ogólnie mówiąc, nie były nowoczesne. Chodzenie do dentysty było torturą!

Dzień wyjazdu zbliżał się szybko. Mój szef nalegał, aby w przedostatni dzień wydać na moją cześć pożegnalne przyjęcie. Nie mogłam oponować, ponieważ chętnie zgodził się na wydrukowanie tych wszystkich biletów lotniczych dla całej mojej rodziny, a ponadto przyrzekł trzymać dla mnie stanowisko przez dwa lata (polskie prawo pozwalało na dwa lata niepłatnego urlopu wychowawczego) w przypadku, gdybym zdecydowała się powrócić. W ten sposób spędziliśmy ostatni wieczór na imprezie firmowej, a nie z naszymi najbliższymi krewnymi. Przygotowaliśmy listy do szkół naszych dzieci informujące, że Mariela i Maciek nie wracają do szkoły – listy miały być wysłane po naszym wyjeździe. Nawet dzieciom nic nie mówiliśmy, aby nie puściły w szkole „pary” z ust. W dniu wyjazdu, zanim wyjechaliśmy na lotnisko, zadzwoniłam do najbliższej rodziny i przyjaciół, aby ich poinformować o „przygodzie”, którą rozpoczynamy. Czuliśmy, że te wszystkie ostrożności są konieczne, aby uniknąć kolejnej „niespodzianki” ze strony władz. Każdy doskonale rozumiał, dlaczego wszystko trzymaliśmy w tajemnicy. Dzieci tylko nie za bardzo rozumiały, dlaczego im nic nie powiedzieliśmy. Mariela, zawsze gotowa na nowe wyzwania, bardzo cieszyła się na nową przygodę. Maciek nie był zbyt szczęśliwy, zostawiając swoich wielu przyjaciół. Małgosia w ogóle nigdzie nie chciała jechać, bardzo głośno o tym informując. Będąc liderem „gangu” tuzina 4- i 5-latków na placu zabaw, nie zamierzała poddać się spokojnie. Tylko ta mała istota, która miała się narodzić w Minnesocie, nie miała nic do powiedzenia...

Pożegnania są bardzo smutne; może rzeczywiście lepiej było dla nas, że byliśmy tacy wyczerpani i zestresowani, aby czuć naprawdę, co oznacza zostawienie za sobą polskiego życia i tych wszystkich ludzi, którzy byli dla nas ważni i kochani. Spakowaliśmy osiem tanich, brązowych,

kartonowych walizek, takich, których używali polscy rekruci jadący do wojska. Walizki były lekkie i mocne, spakowaliśmy w nie, ile się dało, mając nadzieję, że się nie popsują podczas podróży. Dodatkowo każdy miał podręczny bagaż zgodnie ze swoim wzrostem. Nawet Małgosia dumnie holowała swój plecak. Po pełnym łez pożegnaniu z członkami rodziny przeszliśmy do kontroli paszportowej, niespokojni, czy jakiś „diabelski” biurokrata z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nie knuje zatrzymać nas w ostatnim momencie. Pośepny oficer w budce obdarzył każdego z nas długim i uważnym spojrzeniem, a potem zaraz znaleźliśmy się przed równie pośepnymi oficerami urzędu celnego. W tamtych czasach zdawany bagaż był dostarczany przed celników do kontroli celnej i sprawdzany razem z pasażerami, a większość walizek była ręcznie sprawdzana przez funkcjonariuszy. Czasami przeszukiwano też ludzi.

Mogli zakwestionować wszystko i nawet najmniejsze podejrzenie z ich strony mogło prowadzić do konfiskaty rzeczy. Na szczęście mieliśmy listę rzeczy, które można ze sobą zabrać, a było na niej kilka cennych przedmiotów ze srebra i pamiątek rodowych, o które nam chodziło najbardziej. Przepuszczono nas raczej szybko dzięki obecności mojego dalekiego krewnego Marka Sobańskiego, który pracował na pół etatu dla Swissair na lotnisku i znał dobrze kilku kluczowych pracowników lotniska. Bardzo nam pomógł, więc odprawa celna poszła szybko. Zarówno ja, jak i Jurek mówiliśmy sobie, że nie będziemy w stanie się zrelaksować, dopóki nie wystartujemy i nie opuścimy przestrzeni Polski. Byłam bardzo zestresowana przez całą tę sprawę i nie byłam pewna, czy dobrze robimy, próbowałam wmówić sobie, że to tylko na dwa lata.

Po gładkim locie wylądowaliśmy w Zurichu, dobrze nam znanym porcie lotniczym, ale tym razem to nie była moja podróż służbowa, więc uczucie było raczej dziwne. Moja przyjaciółka Anita wyszła po nas na lotnisko i pojechaliśmy do hotelu Sheraton, położonego w połowie drogi między miastem a lotniskiem. Zarezerwowaliśmy pokój na dwie noce. Zakwaterowaliśmy się w dwupokojowym apartamencie i zaczęliśmy odprężyć się, kiedy uświadomiliśmy sobie, że nie możemy już być zmuszeni do powrotu do Polski i zaczęliśmy cieszyć się na nasze nowe życie. Największą atrakcją dla dzieci był basen na ostatnim piętrze hotelu. Chodziliśmy tam przynajmniej dwa razy na dzień. Moja szwajcarska przyjaciółka Anita opiekowała się nami, zaprosiła nas do swojego domu, wychodziła z nami na miasto. Nie byłam w dobrym nastroju z powodu

cięży i usuniętego zęba, bolało mnie coraz bardziej. W niedzielę rano ból był nie do zniesienia, nawet do tego stopnia, że krzyczałam, prosząc o pomoc. Anita zdecydowała zabrać mnie na dyżur pogotowia na Uniwersytecie Medycznym w Zurichu. Odkryli, że mój dentysta w Polsce zostawił kawałek kości z wyrwanego zęba i ten bardzo małeńki fragment wcinał się w bardzo wrażliwe dziąsło. Lekarz-cudotwórca bardzo delikatnie usunął wszystko i ból ustał błyskawicznie. Myślałam, że ich wszystkich wyściskam, ale zrobiłam to tylko werbalnie. Byłam taka wdzięczna Anicie za pomoc. Nasza ostatnia noc w Zurychu była bardzo przyjemna, następnego ranka wszyscy poszliśmy popływać w basenie. Dzieci już zaznały się z windami prowadzącymi na nasze piętro, więc pozwalaliśmy im jeździć samym. W którymś momencie, w drodze powrotnej z basenu, Małgosia oddzieliła się od Marieli i Maćka i musiała jechać windą sama. Wysiadła na niewłaściwym piętrze i weszła do pokoju, który wyglądał identycznie jak nasz, ale był pusty. Pomyślała, że już wyjechaliśmy i przestraszona, nie znając j. angielskiego, a tym bardziej niemieckiego, nie wiedziała, co robić. Tymczasem my zaczęliśmy się o nią niepokoić, powiadomiliśmy więc recepcję. Pokojówka znalazła ją zapłakaną i przyprowadziła ją do nas krótko przed czasem, kiedy trzeba było wyjeżdżać na lotnisko. Wsiadliśmy do samolotu Swissair do Chicago, gdzie mieliśmy przesiąść się do samolotu do Minneapolis. Komitet powitalny na lotnisku St. Paul w Minneapolis składał się z naszych dobrych przyjaciół, Chucka i Mary Carney, Johna i Jinx Beal oraz Steve'a i Lindy Smithson. Jak pocrzepiające było zobaczenie ich znanych twarzy i otwartych ramion witających nas w nowym świecie. Musieliśmy raczej dziwnie wyglądać – pięcioosobowa rodzina (z szóstą osobą w drodze), wśród ośmiu zniszczonych, brązowych walizek, gotowa rozpocząć nowe życie.

Minneapolis

Nasi kochani przyjaciele wszystko przygotowali na nasz przyjazd. Wynajęli dom w południowym Minneapolis na Xerxes Ave. Było tam trochę mebli w trzech sypialniach. Dom wyglądał zapraszająco, stwierdziłam więc, że jak najbardziej gotowi jesteście w nim zamieszkać Na

ulicy stał też nowiutki, olbrzymi ford, wynajęty dla nas na kilka tygodni przez firmę MTS, w której Jurek miał pracować. Od tego momentu Jurek został nazwany Georgem – aby ułatwić angielską wymowę jego imienia. Rozpoczął się odtąd nowy rozdział naszego życia.

Zaraz po przyjeździe trzeba było załatwić wiele spraw. Najpierw poszliśmy formalnie zapisać nasze dzieci do szkoły. Wiedziano już o nas od naszych przyjaciół, którzy poinformowali, że chcemy, aby nasze dzieci chodziły do szkoły katolickiej, która była bardzo blisko naszego domu i należała do parafii Chrystusa Króla. Mariela i Maciek mieli bardzo podstawową znajomość języka angielskiego, ale Małgosia żadnej. Starsze dzieci zostały zapisane odpowiednio do czwartej i szóstej klasy, a Małgosia została zakwalifikowana do przedszkola w nadziei, że z czasem „złapie” trochę języka. Dokładnie tak się stało i z początkiem nowego roku szkolnego była w 100 procentach gotowa, by pójść do klasy pierwszej. Dzieci otrzymały wiele pomocy od nauczycieli i personelu szkoły w zakresie j. angielskiego. Irena, urocza pani polskiego pochodzenia, której dzieci uczęszczały do tej samej szkoły co nasze, była ich opiekunem przez pierwsze miesiące. Ona i jej rodzina stali się naszymi dobrymi przyjaciółmi przez sześć lat, które spędziliśmy w Minneapolis. Mieliliśmy bardzo miłych sąsiadów, którzy przyszli, przedstawili się i zapytali, czy nie potrzebujemy jakiejś pomocy. Przynieśli nam ciasto i upominki, uprzejmie zostali zaproszeni na filiżankę herbaty i małą pogawędkę. Wszyscy byli zaskoczeni, widząc rodzinę z Polski, bo myśleli, że przyjechalibyśmy z jednego z krajów skandynawskich, sądząc po blond włosach i jasnej karnacji naszych dzieci.

Po paru dniach wygodnie rozlokowaliśmy się w domu, wynajmując na początek trochę mebli. Potem udaliśmy się do sklepu z używanym sprzętem i zakupiliśmy zestaw do jadalni, sofę i krzesła do salonu. Nasze pierwsze spotkanie z właścicielką domu było raczej niefortunne. Przyszła, wszyscy wymienialiśmy uśmiechy i powitalne uprzejmości, a jedno z dzieci (nie pamiętam które), rzuciło butelkę ketchupu tuż pod jej nogi na jasny dywan. Gorąco przepraszaliśmy, zapewniając ją, że to zupełnie wyjątkowy przypadek, próbowaliśmy przekonać właścicielkę domu, że na co dzień jesteśmy dobrze zorganizowani, a także zwolennikami utrzymywania porządku. Nie wydaje mi się, żeby uwierzyła, jednakże zachowała się na poziomie i powiedziała, że plama nie jest problemem, bo dywan i tak jest stary.

Wiedzieliśmy, że pogoda w Minnesocie jest raczej surowa, szczególnie zimą, ale nie spodziewaliśmy się aż tak mroźnych temperatur pod koniec listopada. Jednymi z pierwszych rzeczy, które musieliśmy zakupić, były kombinezony dla dzieci i dobrze izolowane buty, tak zwane buty księżycowe. Śniegu było wszędzie pełno, a na początku grudnia jeszcze bardziej zaczęło padać. Zima 1978/79 zapisała się również w Polsce jako zima stulecia, kiedy to zaczęło padać zaraz po naszym wyjeździe.

Jurek poszedł do pracy, dzieci do szkoły, Małgosia nie była zadowolona z przedszkola, gdyż prawie nie miała takiego doświadczenia z Polski – chodziła do oddziału przedszkolnego przez sześć tygodni przed naszym wyjazdem. Próbowaliśmy zająć się dekoracją wnętrza, aby stworzyć przyjemne miejsce do życia dla rodziny. Testowałam moje zdolności kulinarne, traktując Jurka i dzieci jak króliki doświadczalne, ale nikt się nie zatrzał i nie słyszałam też skarg.

Jeden z kolegów Jurka sprzedał nam starego, poobijanego, zardzewiałego forda kombi, bo zbliżał się czas oddania wynajętego samochodu lub rozpoczęcia jego spłaty. Oboje musieliśmy zdawać na prawo jazdy stanu Minnesota i przejść testy pisemne i praktyczne. Jeśli chodzi o mój egzamin praktyczny, byłam oczywiście całkiem zdenerwowana, bo nigdy nie prowadziłam tak dużego samochodu, a co gorsze z automatyczną skrzynią biegów. Jazda poszła całkiem dobrze, gorzej było z równoległym parkowaniem. Za każdym razem kiedy próbowałam, zagrzebywałam tył samochodu w wielkiej stercie śniegu po boku ulicy. Widząc cudzoziemkę w ciąży (czyli mnie), egzaminatorowi zrobiło się żal i wydał mi tymczasowe prawo jazdy. Dopisał tam złowrogie słowa: „nie potrafi parkować równolegle”.

Życie powoli normalniało, wdrażaliśmy się w codzienny amerykański styl życia, który jak się okazało, tak bardzo nie różnił się od tego w Polsce; rano każdy wstaje, półśpiący krząta się w tę i w tę do i z łazienki, ubiera się, coś łapie na ząb, pije mleko lub kawę i za drzwi, prosto w śnieg i mroźne temperatury. Wkrótce przekonaliśmy się, że Mariela i Maciek odmówili noszenia do szkoły kombinezonów i księżycowych butów, widocznie to w ogóle nie było modne. A przeciwnie – tenisówki i krótkie narciarskie kurtki. Pełni przerażenia wyobrażaliśmy sobie, że nasze dzieci zachorują na grypę lub anginę, ale nic takiego się nie zdarzyło i musieliśmy dać spokój z naszym sensownym ubraniem. Byłam

zajęta poznawaniem okolicy, kupowaniem żywności w jedynym pobliskim sklepie, do którego dojść można było pieszo.

Potem nauczyłam się jeździć autobusem do pobliskiego „wytwornego” miasteczka Edina, gdzie było więcej możliwości zakupowych (nie tylko spożywczych).

Grudzień zszedł nam na planowaniu podróży do Monterey, by spędzić święta z Radziwiłłami. Każdy nam mówił, że nie uda nam się dostać na samolot podczas okresu świątecznego z naszymi otwartymi biletami. Wszyscy nasi przyjaciele uważali, że jesteśmy szaleni. Z Minneapolis dostaliśmy się do Chicago i zostaliśmy tam uziemieni nie z powodu braku miejsca w samolocie, ale z powodu pogody (rutynowy przypadek podczas świąt – z powodu olbrzymich śnieżyc lotniska są zamykane). Spędziliśmy noc na podłodze lotniska O'Hare. Następnego dnia udało nam się dostać miejsca na poranny lot do San Francisco lub San Jose. Potem autobusem dojechalśmy do Monterey. Wuj Maciej był na tyle przerażony tak liczną grupą zwalającą się do ich domu, że umieścił nas w pobliskim motelu.

Wszystko poszło dobrze, mieliśmy bardzo udane święta i myślę, że Wuj i Ciocia ucieszyli się, że przyjechalśmy. Pozostaliśmy u nich przez tydzień, a podróż powrotna przebiegała bez problemów związanych z miejscami czy pogodą. W tym czasie temperatury w Minneapolis spadły do około -12°C i było NAPRAWDĘ zimno w domu, kiedy wróciliśmy. Na szczęście rury nie popękały, a piecykowi zajęło trochę czasu, aby temperatura podniosła się do znośnego poziomu.

W szkole wszystkie dzieci radziły sobie dobrze. Angielski przyswajały szybko do tego stopnia, że martwiliśmy się, że mogą bardzo szybko zapomnieć język polski. Wprowadziliśmy zasadę, że przy obiedzie mówimy tylko po polsku. Szło to dobrze przez jakiś czas, ale pod koniec roku rozmowy po polsku oddalały się na korzyść angielskiego. Oczywiście, mówiliśmy do nich po polsku, ale oni zaczynali odpowiadać po angielsku. Naszym błędem było to, że nie trzymaliśmy się zasad językowych sztywno. Tylko Mariela mówi doskonale po polsku, bo miała dwanaście lat, kiedy przyjechała do USA. Oprócz tego od małego jest zapaloną czytelniczką. Maciek także nie zapomniał polskiego i odświeżył swoje umiejętności językowe po latach, kiedy pracował przez dwa lata po studiach w Warszawie. Po krótkim czasie umiejętności rozmowy w języku

polskim dla Małgosi stały się ograniczone. Rozumie wszystko, jednakże porozumiewa się niewyszukanym polskim, jeśli musi.

W weekendy byliśmy zapraszani przez naszych przyjaciół z MTS, których poznaliśmy w Warszawie, kiedy przyjeżdżali tam służbowo. Dzięki nim spotkaliśmy innych współpracowników Jurka, którzy też zaprosili nas do swoich domów. Nową przyjaciółką była Nancy Hotchkiss, której syn Philip wkrótce stał się najlepszym przyjacielem Maćka. Większość weekendów spędzali w domu jednego albo drugiego i do dnia dzisiejszego Nancy mówi o Maćku, że jest to jej kolejny syn. Obaj byli świadkami na swoich ślubach. Pozostali bliskimi przyjaciółmi mimo lat i mimo zamieszkania Maćka w Londynie (przed osiedleniem się na Manhattan Beach w Kalifornii, gdzie mieszka teraz), a Philipa, który zamieszkał najpierw w Minneapolis, a teraz w okolicy San Francisco. Często zapraszaliśmy na obiad lub drinka starych i nowych przyjaciół. Te długie zimowe wieczory spędzone z przyjaciółmi przy kominku, pijąc wino lub piwo, należą do moich najlepszych wspomnień naszego życia w Minneapolis.

Uznaliśmy, że musimy mieć samochód, aby robić zakupy, jeździć do centrum handlowego, do dentysty, lekarza, z dziećmi lub bez, krótko mówiąc, aby prowadzić normalne życie osoby zamieszkałej z dala od wielkiego centrum. Zrobiliśmy dobry interes, biorąc dla mnie w leasing samochód Pacer. Posiadanie samochodu sprawiło, że mogłam poważnie myśleć o zabraniu dzieci do dentysty czy zobaczeniu się z położną. Dowiedziałam się, że wszyscy powinniśmy pojechać na Wydział Stomatologii Uniwersytetu Minnesota, gdzie można było otrzymać najlepszą opiekę za bardzo małe pieniądze. Te wizyty ciągnęły się w nieskończoność, ponieważ studenci ćwiczyli na nas pod okiem swoich profesorów. Wyglądało to tak, jakbyśmy naprawdę mieszkali przez kilka miesięcy w klinice uniwersyteckiej, ale warto było.

Niski poziom opieki stomatologicznej w Polsce w tamtych czasach odbił się negatywnie na uzębieniu naszej rodziny tak dorosłych, jak i dzieci. Przeszliśmy wszyscy długotrwałe leczenie, aby uchronić się przed ekstrakcjami, co w Polsce było bardzo częste.

Inną sytuacją medyczną, która wymagała uwagi, była moja ciąża. Czułam się dobrze, ale minęło już kilka miesięcy, kiedy ostatni raz widziałam się z lekarzem w Warszawie. Próbuąc wy badać, kto mógłby się mną zająć, dowiedziałam się, że nie jestem ubezpieczona w pracy Jurka, ponieważ

moja ciąża była stanem, który zaistniał wcześniej. Informacja ta zszokowała mnie i uświadomiłam sobie, że nie możemy pozwolić sobie na zapłacenie pełnej kwoty za opiekę prenatalną, poród, pobyt w szpitalu i późniejsze wizyty lekarza. Nie wiedzieliśmy, co robić i nawet na serio rozważałam powrót do Polski, aby tam urodzić. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Nie było mowy o zostawieniu rodziny, kiedy Jurek pracował czasami do późna. Problem się rozwiązał, kiedy dowiedziałam się, że w Centrum Medycznym Hennepin County w Minneapolis jest program prowadzony przez położne, w którym zdrowe kobiety były pod opieką doświadczonych położnych, które również przyjmowały dzieci bez obecności lekarza. Wszystko to odbywało się w szpitalu, więc lekarze byli na miejscu, jeśli byłaby taka potrzeba. Cały pakiet z prywatną salą, w której mąż mógł zostać na noc, kosztował tylko 700 \$ zamiast kilku tysięcy za pełny program.

Oceniam ten program w samych superlatywach. Położne, które się mną opiekowały, były profesjonalne i miłe. Tylko raz naprawdę zaniepokoiłam się, kiedy próbowały namówić mnie na amniopunkcję z powodu mojego zaawansowanego wieku, by sprawdzić zdrowie dziecka. Zaproponowano mi to, kiedy byłam w szóstym miesiącu ciąży i odrzuciłam nawet rozważenie tej propozycji, gdyż chciałam definitywnie to dziecko urodzić. Od tego momentu zaczęłam się martwić. Modliłam się i miałam nadzieję, że dziecko urodzi się normalne i zdrowe. Ktoś dał mi doskonałą książkę „Ciąża po czterdziestce”. Wyjaśniała ona w spokojny i pewny sposób, że nie ma powodów, aby przypuszczać, że dzieci urodzone przez starsze matki są narażane na ryzyko wad. Posłuchałam rad, by matki w mojej grupie wiekowej spodziewające się dziecka zwracały większą uwagę na zdrowy styl życia, odżywianie i ruch. Autor zwrócił uwagę na fakt, że współczesne kobiety bardziej dbają o swoją kondycję fizyczną, niż to było w zwyczaju dawniej. W przeszłości kobiety po zamążpójściu bardzo często skupiały się tylko na posiadaniu dzieci i dobru rodziny, a nie na sobie. Stawały się starszymi paniami około czterdziestki, a ich biologiczny zegar tykał coraz szybciej.

Wydawało mi się, że jak na swój wiek jestem zdrowa i podjęłam decyzję, aby więcej się nie martwić potencjalnymi problemami, tylko cieszyć się, przygotowując na to wielkie wydarzenie. W tamtych czasach 1979 roku poznanie płci dziecka nie było powszechnie dostępne, a my prawdopodobnie nie chcielibyśmy wiedzieć. Spekulacje trwały; przyjaciele

i rodzina bawili się w zgadywanke. Jurek i ja zamierzaliśmy powitać chłopca albo dziewczynkę, ale myśleliśmy też, że zabawnie by było, gdyby był kolejny chłopiec. W połowie marca góry śniegu zaczęły się po mału topić, a w powietrzu czuć było wiosnę. Marzyłam, by dziecko już wkrótce przyszło; czułam się zmęczona i uświadomiłam sobie, że mądra natura wzywa kobiety, aby rodziły dzieci, kiedy mają dwadzieścia lat, a nie czterdzieści.

W końcu ten wielki dzień nadszedł. Jurek zabrał mnie do szpitala rano, w drodze do pracy. Spieszył się tak, że tylko mnie podrzucił i zaraz sobie poszedł. Pielęgniarki dziwiły się, że nie zostaje na rozwiązanie, ale powiedział, że nie jest zainteresowany asystowaniem przy porodzie, bo prawdopodobnie wtedy zemdleje i to on będzie wymagał opieki medycznej. Wszyscy się śmiali i myśleli, że żartuje. Ostatecznie zgodził się wrócić, jeśli poczekam aż do jego przerwy na lunch. Hmm, bardzo się starałam i Mikołaj urodził się o 12.17, 7 maja 1979 roku. Myślę, że Jurek był zadowolony, że zdążył na moment, gdy nasza rodzina powiększyła się do sześciu osób. Dwa dni potem byłam już w domu i wpadłam w wir obowiązków związanych z małżeństwem i prowadzeniem całego domu. To był pierwszy raz w moim życiu małżeństwa, kiedy nie miałam żadnej pomocy. Oczywiście narodziny Marieli w Londynie trochę przypominały tę sytuację, ale wtedy mieszkaliśmy w wynajętym jednopokojowym mieszkaniu (z minimalną kuchnią i skromnymi udogodnieniami łazienkowymi), a poza tym to był wynajem na dwa miesiące. Mikołaj był głodomorem i próbowałam go karmić piersią, co oznaczało wielokrotne budzenie się w nocy. Najgorsze były wieczory: próbowałam być super-mamą i żoną i mieć gotowy obiad na stole, kiedy Jurek wracał z pracy. Często te wysiłki były niedoceniane, bo około 6 po południu Mikołaj zaczynał płakać na całe gardło, jedzenie się przypalało i wokoło śmierdziało spalenizną. Starsze dzieci klóciły się wtedy głośno, specjalnie, by nas zdenerwować. Mówię tak, ponieważ według jakichś badań godzina szósta jest godziną duchów, kiedy każdy jest zmęczony i na skraju wytrzymałości. Zgadzam się z tym. Zdaniem Jurka nie umiałam się zorganizować, by wieczory były zwykłą, wspólną idyllą. Po jakimś czasie uspokoiłam się i nauczyłam działać. Wszystkie dzieci miały przypisane obowiązki. Mariela była szczególnie pomocna, mimo swoich 13 lat, była dojrzałą dziewczynką, która naprawdę lubiła zajmować się Mikołajem, szczególnie wtedy, kiedy Jurek i ja chcieliśmy gdzieś wyjść wieczorem.

Z alei Xerxes na ulicę Oliver

Życie toczyło się bez poważniejszych problemów. Wkrótce otrzymaliśmy „zieloną” kartę i numer ubezpieczenia społecznego, co pozwoliło nam stać się tymczasowymi mieszkańcami USA. To była pożądana zmiana, bo nie musieliśmy się już więcej martwić o przedłużanie wiz pobytowych. Dzięki temu mogłabym pracować, jeślibym chciała.

Po upływie kilku miesięcy zaczęliśmy martwić się, że nie mamy wystarczająco pieniędzy na utrzymanie rodziny. Jurek nie zarabiał wiele, bo jego pensja była taka, na jaką zgodził się przed przyjazdem do Stanów. W Polsce wydawało się to bardzo dużo, ale w rzeczywistości okazało się inaczej. Poprosił o rozmowę szefem – Chuckiem – i grzecznie, ale stanowczo poprosił o podwyżkę, która została mu przyznana. Pierwsza lekcja została przyswojona; w Ameryce musisz prosić o takie rzeczy jak pieniądze, w innym razie kierownictwo przypuszcza, że jesteś zadowolony i nikt dobrowolnie nie zaoferuje ci większego wynagrodzenia.

Innym problemem, o którym wspominałam wcześniej, było to, że aby przyznać pozwolenie na wyjazd do pracy za granicę, trzeba było płać polskiemu rządowi pewną miesięczną kwotę. MTS System zgodził się opłacać ten „haracz”, ale z ich punktu widzenia to była część pensji Jurka. Płaciliśmy ten okup przez bardzo długi czas. Jeżeli przestalibyśmy – nasze rodziny w Polsce mogłyby być dręczone, a nasze mieszkanie skonfiskowane. Pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy komunistyczny rząd praktycznie upadł, Jurek zaprzestał wysyłania tych pieniędzy i poprosił polski konsulat, aby zmienić nasze służbowe paszporty na takie, jakie mają zwykli obywatele. Poszło gładko dzięki mojemu koledze ze studiów, który okazał się konsulem w Chicago.

Zanim otrzymaliśmy amerykańskie obywatelstwo, trudno nam było podróżować za granicę, ponieważ obywatele polscy musieli starać się uzyskać wizy wjazdowe praktycznie do każdego kraju. Było to szczególnie uciążliwe dla Jurka, który musiał uzyskać wizę nawet wtedy, kiedy jechał służbowo do Meksyku. Większość krajów umożliwia mu otrzymanie wizy w Chicago, bo nie było wiele konsulatów w Minneapolis.

Wizę meksykańską musiał załatwić w konsulacie w Calexico, przy samej granicy. To była wspaniała okazja dla nas obojga, aby polecieć do San Diego, a potem razem pojechać do Calexico, więc ta niedogodność przerodziła się w bardzo miłe przeżycie.

Mikołaj Henryk został ochrzczony w kościele Chrystusa Króla, a jego rodzicami chrzestnymi zostali Mariela i Maciek. Było nawet małe przyjęcie w domu, na którym pojawili się nasi amerykańscy przyjaciele.

Właśnie tego samego lata odwiedzili nas Anka i Leszek, a potem moi Rodzice. Bardzo cieszyliśmy się tymi wizytami; próbowaliśmy pokazać im Minneapolis i St. Paul oraz okolicę. Przywieźli ze sobą wiadomości z Warszawy, co było bardzo cenne, bo w głębi serca czuliśmy tęsknotę za domem. Szczególną cechą krajobrazu stanu Minnesota jest „10 tysięcy jezior”. Praktycznie każdy dom w mieście i okolicy ma dostęp do jeziora. Oba nasze domy, ten na Xerexs i ten na Oliver były w odległości spaceru do jeziora Harriet. Wiosną, latem i jesienią spędzaliśmy długie godziny na jego brzegach, jeżdżąc na rowerze, pływając czy spacerując. Nawet zimą chodziliśmy tam na spacer, a prawdziwi Minnesotańczycy z krwi i kości w tym okresie uprawiali biegi narciarskie, jeździli na łyżwach czy biegali i wydawało się, że bardzo to lubią. My nie byliśmy tak zaprawieni i krótkie spacery czy odśnieżanie na przejmującym mrozie były wystarczającym doświadczeniem. Ciepły okres był dość długi, a lipiec i sierpień były gorące i wilgotne. A to wszystko połączone było z chmurami kłusujących komarów atakujących ludzi przy każdej okazji. Nic dziwnego, że te owady nazywane są „oficjalnymi” ptakami stanu Minnesota. Czasami jeździliśmy z kilkorgiem przyjaciół na biwak na Północ. Aby przetrwać ataki komarów, trzeba było koniecznie mieć w czasie posiłków czy rozmów namiot z tropikiem. Spray „off” był koniecznością, nikt bez tego nie wychodził z domu.

MTS organizowało nad brzegami jeziora pikniki, to były sympatyczne imprezy, gdzie ludzie się integrowali, bawili i lepiej wzajemnie poznawali. Cieszyliśmy się i podnosiło nas to na duchu, że Amerykanie przyjęli nas tak dobrze. Nie było nawet śladu podejrzenia, że moglibyśmy być jakimiś komunistycznymi wtyczkami. Każdy traktował nas jak równych sobie, nigdy nie pytając dlaczego nasze paszporty mają taką formę lub o opłatę należną Polservisowi. To było całkiem niepodobne do traktowania cudzoziemców w Europie, gdzie zawsze uważano ich za obywateli

drugiej kategorii. Ameryka była i jest dla nas bardzo przyjazna i jesteśmy jej za to zawsze wdzięczni.

Kiedy Mikołaj miał około roku, z Polski przyjechała pani Jadzia (poprzednia niania Małgosi), aby nas odwiedzić i trochę zająć się domem, bo wtedy zaczęłam pracę dla biura podróży. Paul Strand, kolega Jurka, zaaranżował spotkanie w Bon Voyage Travel, gdzie zostałam zaangażowana. Płaca była bardzo niska, ale za to istniały perspektywy podróży. Natychmiast wysłali mnie do Miami na szkolenie komputerowe, co dało mi okazję do odwiedzin u Grocholskich.

Koleżanka z pracy i jej mąż mieli domek nad brzegiem jeziora, gdzie często zapraszali nas na weekendy. Główną atrakcją, szczególnie dla Marieli i Maćka, była jazda na nartach wodnych.

Nasi przyjaciele z MTS i „Anioły Stróże” – Carneyowie i Bealowie zawsze służyli nam pomocą i radą. Nasi gospodarze z Xerxes myśleli o sprzedaży domu i dali nam atrakcyjną ofertę. My jednakże nie chcieliśmy tam zostać, bo dom stał na rogu dwóch ruchliwych ulic. Zaczęliśmy więc szukać gdzie indziej, ale ceny były zbyt wysokie. W tym czasie Chuck i Mary Carney przysłali nam z pomocą i zdecydowali się kupić dom rzekomo jako inwestycję i wynajęli go nam. To właśnie w ten sposób znaleźliśmy się na Oliwer Street w południowym Minneapolis. Oczywiście, byliśmy szalenie wdzięczni Chuckowi i Mary, uświadamiając sobie, że główną przyczyną zakupu domu była pomoc dla nas. Po pewnym czasie Chucka przeniesiono do Hongkongu jako przedstawiciela MTS. Zaraz potem dowiedzieliśmy się pocztą pantoflową, że Carneyowie rozważają pozbycie się nieruchomości na ulicy Oliver. Nie chcieli przysparzać nam kłopotów, więc nas bezpośrednio o tym nie informowali. Zmobilizowaliśmy wszystkie rezerwy finansowe i odkupiliśmy od nich dom. W rzeczywistości transakcja nie była bardzo kosztowna, musieliśmy zwrócić im zaliczkę i zapłacić za drobne remonty, których dokonali. Wzięliśmy kredyt na hipotekę i co miesiąc spłacaliśmy ustalone raty. Bardzo podobał nam się nowy dom i przypuszczam, że dzieciom także. Był większy od poprzedniego i Jurkowi udało się dodatkowo na piętrze zrobić małą łazienkę, a część strychu przeznaczyć na naszą sypialnię. Nad łóżkiem Mikołaja zamonowane zostało okno w dachu. Jego zdolność do zasypiania w każdych warunkach, nawet w hałasie, nabyta została prawdopodobnie w czasie mieszkania właśnie w tym domu. Nasza ulica była raczej spokojna; sąsiedzi to rodziny z małymi dziećmi, tak więc nasze dzieci szybko się

zaprzyjaźniły z sąsiadami. To właśnie tam Małgosia poznała swoją bardzo dobrą przyjaciółkę Lisę Flexner, która mieszkała po drugiej stronie ulicy. Utrzymują kontakty od lat, mimo że Małgosia mieszka w Bethesda w stanie Maryland, a Lisa w Seattle w stanie Waszyngton. Mikołaj zaprzyjaźnił się z małym chłopcem o imieniu Benji. Niestety stracili ze sobą kontakt, kiedy przeprowadziliśmy się do Kalifornii. Mnóstwo dzieciaków spędzało czas w naszym domu, gdzie zawsze dostawali coś do jedzenia. Na naszej ulicy organizowane były pikniki sąsiedzkie, gdzie każda rodzina przynosiła coś do jedzenia i picia.

Zimą były problemy, kiedy śnieg zamieniał się w lód na naszym kiepsko pokrytym dachu. Jurek spędzał na tym dachu wiele godzin, próbując pozbyć się lodu, który topniejąc mógł wsiąkać w ściany, co powodowałoby jeszcze większe problemy. Zainstalował tam instalację elektryczną, która miała spowodować ujście wody, ale za wiele to nie zdziałało. Często bywały śnieżycy utrudniające ruch samochodowy w całym mieście. Ponieważ pracowałam daleko od domu, wiele razy musiałam wracać w warunkach prawie zerowej widoczności z powodu śnieżycy. Bałam się bardzo, zwłaszcza że na tylnym siedzeniu był Mikołaj, odbierałam go od opiekunki mieszkającej blisko mojego biura. To, co mi się podobało zimą w Minnesocie, to jasno świecące słońce, kiedy tylko nie padało. Z przyjemnością wstawało się rano, kiedy na błękitnym niebie świeciło jasne słońce prosto w okna. Ogromna ilość słonecznych dni w Minnesocie była wynikiem bardzo niskich temperatur. To był niewątpliwie pozytywny aspekt tamtejszej zimy. Przyjemnie było budzić się co rano i patrzeć na roziskrzony śnieg na tle błękitnego nieba.

Nasze samochody były dość stare, co oznaczało, że często rankiem nie chciały startować. Zawsze mieliśmy w pogotowiu prostownik, bardzo często potrzebny. Przez długie zimowe miesiące poranne rozmowy zdominowane były przez ładowanie akumulatorów.

Rodzice raz przyjechali na Boże Narodzenie i mieli próbkę naszej prawdziwej zimy. Tak nas zasypało, że nikt nie był w stanie udać się do pracy lub gdziekolwiek, jeśli potrzebny był do tego samochód. Dwa dni zajęło, aby odśnieżono naszą ulicę, wjazd z tyłu był zasypany, a samochód uwięziony w garażu na kilka dni. Cała rodzina, w tym Mama i Tata, odśnieżała schody i część ulicy. Odważni pośród nas szli do najbliższego sklepu, aby kupić trochę najbardziej potrzebnej żywności. Nie mogliśmy dobrze ogrzać domu, biednemu Tacie ciągle było zimno, godzinami

leżał w łóżku, trzęsąc się z zimna. Święta za to były udane, prezenty przy kominku, tradycyjne polskie jedzenie i wino. To były bezcenne chwile w otoczeniu rodziny. Jestem wdzięczna Rodzicom za ich poświęcenie, aby odbyć długą podróż z Polski i spędzić święta z nami i wnukami. Rodzice przyjechali do Minnesoty przynajmniej trzy razy.

Musimy sobie uświadomić, że komunikacja telefoniczna z Europą Wschodnią w latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych była bardzo droga, nie było bezpośredniego połączenia, trzeba było połączyć się z centralą telefoniczną i czekać na połączenie, czasami wiele godzin. Biorąc pod uwagę różnicę czasową te rozmowy telefoniczne były trudne. Niewiele było słychać, a rozmowa była ograniczona do pytań o pogodę, życzeń i uścisków. I to było praktycznie wszystko. Inną sprawą było to, że „zimna wojna” ciągle trwała, więc rozmowy były zakłócanie i podsłuchiwanie (możliwe, że z obydwu stron oceanu). Listy pisano często, ale zajmowało to około sześciu tygodni, aby doszły do adresata, z powodu polskiej cenzury (teraz zajmuje to około tygodnia).

W kwietniu 1981 roku zabrałam Mikołaja do Polski. Pomysł był taki, aby nie płacić za jego miejsce, a było to możliwe bo nie miał jeszcze dwóch lat. Był żwawym dzieckiem, więc musiałam nabiegać się za nim i po lotniskach (Minneapolis i Chicago), i po samolocie. Myślał, że zabawa w chowanieg w przejściu w samolocie jest zabawna i dla mnie. Prawie wszyscy pasażerowie uważali, że jest uroczy i nie mieli nic przeciwko jego zabawie. Większość młodych ludzi, czytając te słowa, z pewnością nie pamięta tych zamierzchłych czasów lotnictwa sprzed 30 lat, kiedy fotele były duże, jedzenie za darmo i nawet smaczne, a personel pokładowy dobrze się prezentował, uśmiechał się i gotowy był służyć pomocą. Kiedy osoba z przodu rozłożyła swój fotel, nie lądował on na kolanach pasażera z tyłu, które to kolana nie wbijały się w fotel osoby z przodu. Uważam, że dawniej latanie samolotem było przyjemnością, teraz nią nie jest. Moi współpasażerowie uśmiechali się do Mikołaja i mówili, żebym się zrelaksowała i wypila kolejną lampkę wina. Na krótko zatrzymaliśmy się w Zurichu, aby odwiedzić moją przyjaciółkę Anitę, a potem poleciliśmy do Warszawy, gdzie spędziliśmy dziesięć dni na Mokotowskiej. Z Londynu przyjechała też Elżbieta z córką Joanną, która jest trochę młodsza od Mikołaja. Zuza Gronkiewicz, córka Marty jest z kolei trochę starsza. Zabawne było obserwować te szkraby nawiązujące ze sobą kontakt i próbujące się poznać.

Sytuacja polityczna w Polsce była bardzo napięta; „Solidarność” wyszła z podziemia i nabierała rozpędu. Odbywały się gorączkowe dyskusje obozu Wałęsy z przywódcami partii komunistycznej. Ciągłe strajki paraliżowały gospodarkę, sklepy były puste, naprawdę ciężko było kupić podstawowe artykuły. Ostrzeżona przed tymi brakami przywiozłam ze sobą mleko w proszku dla Mikołaja, ale były też „sklepy za dolary”, gdzie praktycznie wszystko można było kupić. Niektórzy z tych opozycjonistów, którzy głośno wyrażali swoje opinie, zatrzymywani byli w swoich mieszkaniach, na skutek obław przez tajnych agentów szukających zakazanych ulotek, książek, broszur i drukarek, które zostały przeschmuglowane z Zachodu i używane do drukowania opozycyjnych materiałów. Moi Rodzice, brat Piotr, jego żona Elżbieta byli wzywani na przesłuchania. Pierwsza wizyta Papieża Jana Pawła II w 1979 roku pobudziła opozycję do nowych działań.

Podróż przyczepą campingową

Latem 1981 r. rodzina Gorzkowskich wyruszyła na trzy tygodnie na zachód samochodem z przyczepą campingową. Najpierw pojechaliśmy do Południowej Dakoty, aby zobaczyć górę Rushmore, gdzie w granitowej skale wyrzeźbione są głowy czterech wybitnych amerykańskich prezydentów. Potem jechaliśmy przez złowrogo wyglądające grzbiety górskie i głębokie wąwozy wyżłobione na skutek milionów lat erozji. Stamtąd udaliśmy się do Wyoming, gdzie główną atrakcją był Park Narodowy Yellowstone. Spędziliśmy tam kilka dni, zobaczyliśmy gejzer Old Faithful i inne ciekawe miejsca. Przez Park Grand Tetons pojechaliśmy na południe do Salt Lake City, gdzie zatrzymaliśmy się na noc nad Słonym Jeziozem. Było bardzo gorąco, więc zdecydowaliśmy się popływać, także pani Jadzia, która na początku nie chciała wejść do wody, mówiąc, że nie potrafi pływać. Nie wierzyła, że to koncentracja soli w jeziorze pozwalała jej unosić się na powierzchni. Tak była podniekcytowana, że trudno ją było wyciągnąć z wody. Musieliśmy obiecać, że zatrzymamy się tu znowu w drodze powrotnej do Minnesoty. Z Salt

Lake pojechaliśmy na zachód do San Francisco. Nasz dom w podróży – przyczepa kempingowa, zaczął wydawać dziwne dźwięki, poczuliśmy więc, że szybko powinniśmy pojechać do Monterey, gdzie moglibyśmy zaparkować u Radziwiłłów i poszukać warsztatu, który potrafi uczynić nasz pojazd zdatnym do jazdy.

Pamiętam, że zaskoczeni byliśmy zimną pogodą w San Francisco w środku lata. Dzień wcześniej objechaliśmy jezioro Tahoe i spędziliśmy noc w Reno w Newadzie, gdzie z kolei było niewyobrażalnie parno, kontrast był szokujący. Bezpiecznie dojechaliśmy do Monterey i zostaliśmy tam przez trzy dni, kiedy nasz samochód był w naprawie. Wynajęliśmy samochód combi i przejechaliśmy przepiękną sławną nadmorską drogą „Seventeen Miles Drive” do Carmel i Pebble Beach. Z Monterey autostradą (jedynką), skierowaliśmy się na południe przez Big Sur, Cambria, Morro Bay i Santa Barbara. Tam spotkaliśmy się z paroma krewnymi, i zwiedziliśmy Misje Santa Barbara. Podróż wzdłuż wybrzeża Kalifornii zajęła nam bardzo dużo czasu, ale warto było. W Long Beach poszliśmy do akwarium, a potem do Disneylandu, gdzie spędziliśmy noc, aby trójka starszych dzieci mogła skorzystać z atrakcji Parku.

Oczywiście nie mogliśmy pominąć Wielkiego Kanionu, więc pojechaliśmy przez pustynię Mojave do Arizony. Rozszerzenie trasy podróży było trudne z powodu niesamowitego upału, który źle wpływał nie tylko na podróżujących, ale i na pojazd – przegrzany, zmuszał nas do częstego zatrzymywania się w sercu upalnej pustyni. Pani Jadzia wykazywała oznaki zmęczenia, dzieci były marudne, manifestując brak zainteresowania monotonnym krajobrazem. Zaczęliśmy martwić się o Mikołaja, który ostatecznie miał tylko dwa lata. Ku naszemu zaskoczeniu był w lepszej kondycji niż ktokolwiek z nas; skórę miał chłodną, co oznaczało, że jego ciało było w stanie przystosować się do ekstremalnych temperatur.

Wielki Kanion był wspaniały i z pewnością był jednym z najważniejszych wydarzeń naszej wycieczki. Rozpoczęliśmy drogę powrotną i musieliśmy wrócić do Salt Lake City, jak obiecaliśmy pani Jadzi. Zaliczyła kolejne „cudowne” pływanie w jeziorze. Potem pojechaliśmy na zachód do Wyoming, gdzie musieliśmy przetrwać kilka poważnych górskich serpentyn, które z pewnością dla pani Jadzi nie były przyjemne. Przebywanie w sercu Gór Skalistych było radosnym przeżyciem. Nawet dzieci zgodziły się z tym, że majestatyczne szczyty i rozległe doliny, które nas otaczały były wspaniałe. Potem była Nebraska, Wisconsin

i z powrotem znaleźliśmy się w domu. Wszyscy byli wyczerpani, ale zadowoleni, że zobaczyliśmy tak duży obszar zachodnich Stanów Zjednoczonych. Reasumując, wszystko przetrwaliśmy całkiem nieźle, mimo że stłoczeni byliśmy w średniej wielkości karawanie przez tak wiele dni. Mikołaj trochę się rozchorował na ostatnim etapie podróży, ale nie było to nic poważnego.

Latem 1982 roku udaliśmy się w kolejną podróż, teraz celem była wizyta u mojej siostry Elżbiety i jej rodziny, która mieszkała wtedy w Houston. Jej mąż Nigel został tam przeniesiony do pracy z Anglii, aby pracować tam nad projektami związanymi z ropą naftową. Sonia, ich druga córka urodziła się właśnie w dniu, w którym przyjechaliśmy. Ta podróż odbywała się w starym busie marki Volkswagen, wystarczająco dużym, aby każdy czuł się komfortowo, każde dziecko miało swoją przestrzeń, nie dotykając drugiego. Ten wybór środka transportu dał nam stosunkowo bezkonfliktową podróż. Zakupiliśmy cztery małe namioty, aby każde dziecko miało swój na campingach, a małego Mikołaja gościliśmy w naszym namiocie. Pomysł okazał się trafiony.

Stan wojenny w Polsce

Wracając pamięcią do lat 1980 i 1981 trzeba powiedzieć, że był to czas wielkich napięć i niepewności w Polsce, a Niezależny Związek Zawodowy „Solidarność” konsolidował swoich członków i naciskał na rząd i przywódców partii komunistycznej, by wprowadzili więcej reform w systemie politycznym. Następowały represje i więzienie głównych działaczy „Solidarności”. Urząd Bezpieczeństwa próbował i często mu się udawało infiltrować działaczy związku przy pomocy licznych agentów, co pozwalało na badanie nastrojów. W różnych częściach kraju organizowano prowokacje, aby sprawdzić, jakie możliwości i wpływy ma „Solidarność” i zdławić wszelkie próby demonstracji i strajków. Następowały przecieki z dezinformacjami o nieuchronnej możliwości sowieckiej inwazji, aby „pomóc” rządowi utrzymać istniejący stan. Na początku grudnia 1981 roku Jurek został wysłany do Polski, aby zająć

się sprawami MTS. Nie byłam zadowolona z jego wyjazdu; zachodnie media były pełne ponurych informacji z Polski i myślałam, że jest to niebezpieczne, aby jechać tam właśnie teraz. Jurek, jak to Jurek, uważał, że będzie ciekawie być w Warszawie w czasach niepewności i zobaczyć, co z tego wyniknie. Wylądował w Warszawie dzień przed ogłoszeniem stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku. Obudził się tego dnia w hotelu, słysząc radio w pokoju obok. Ten hałas rozszalał go, bo było bardzo wcześnie rano. Kiedy wstał, zobaczył setki żołnierzy, wiele czołgów i uzbrojonych transporterów wojskowych na placu na wprost jego okna. Milicja była wszędzie. Wszystko wydawało się zorganizowane z najwyższą precyzją. Telefony przestały działać, ulice były zablokowane, a lotniska zamknięte w całym kraju. Zamknięte również były stacje benzynowe. Trzeba było mieć specjalne pozwolenie, aby móc poruszać się po kraju. Celem całej akcji był paraliż normalnego życia kraju i uniemożliwienie „Solidarności” zorganizowania jakiegokolwiek ruchu oporu. Główni działacze ruchu zostali natychmiast aresztowani, wielu innych zaczęło się ukrywać. Wprowadzono godzinę policyjną; ulice były patrolowane przez uzbrojonych milicjantów i żołnierzy przez 24 godziny na dobę. Ta atmosfera przyniosła ze sobą okropne wspomnienia niemieckiej okupacji w czasie drugiej wojny światowej. Ludność była ogłuszona i zszokowana faktem, że polski rząd podjął tak ekstremalne środki, które praktycznie oznaczały wypowiedzenie wojny swoim własnym obywatelom. Tysiące działaczy opozycji i członków „Solidarności” zostało internowanych przed północą z 12 na 13 grudnia, w praktyce uniemożliwiło to zorganizowanie protestów. Wobec swego przedłużającego się pobytu w Polsce Jurek musiał podjąć jakieś kroki w celu otrzymania zezwolenia na wyjazd. W tym czasie dzieci i ja w Minneapolis martwiliśmy się całą sytuacją. Istniała możliwość, że nie wróci do domu na święta. To przeczucie narastało, zwłaszcza kiedy słuchało się wiadomości czy czytało „Minneapolis Tribune”.

Ludzie z MTS dzwoniли do nas, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, wyrazić swoje współczucie i zapytać, czy nie mogliby jakoś pomóc. A my czekaliśmy na jakąkolwiek wiadomość od Jurka czy kogoś z Polski. Jak się okazało po kilku dniach, Jurkowi udało się wsiąść do jednego z pierwszych pociągów do Berlina Wschodniego i potem, niepytany przez nikogo, przeszedł przez sławny punkt kontroli „Charlie” i pieszo skierował się do Berlina Zachodniego. Po drodze został zatrzymany przez policjanta, który po sprawdzeniu jego dokumentów,

powiedział „jest pan w dużym kłopotcie”, to oznaczało, że nie ma niemieckiej wizy, na co Jurek odpowiedział „żartujecie, moje kłopoty właśnie się skończyły, wydostałem się z Polski”. Pozwolili mu przejść, kiedy zobaczyli amerykański dokument podróży (specjalny paszport dla legalnych mieszkańców Stanów Zjednoczonych) i jego Zieloną Kartę. Na lotnisku rozmowa o wizie znowu się zaczęła, ale ostatecznie pozwolono mu wyjechać i wrócił do domu 21 grudnia. Ponowne połączenie się rodziny było bardzo szczęśliwe, a te święta Bożego Narodzenia były niezapomniane dla całej naszej szóstki.

Doświadczenie stanu wojennego w Polsce, a szczególnie fakt, że Jurek był tam w czasie jego ogłoszenia, spowodował, że zaczęliśmy poważnie myśleć, czy chcemy wrócić do represji i prześladowania przez zmilitaryzowany rząd. Zadawaliśmy sobie pytanie, czy powinniśmy zabrać dzieci z powrotem do Polski, do zbankrutowanego systemu represji i braku zasad, podczas gdy w Ameryce mieliśmy możliwość otworzyć przed nimi nowe horyzonty. Rosyjska inwazja na Polskę nie była niemożliwa, jeżeli ludzie zdecydowaliby się powstać przeciwko rządzącym. Jurek nie chciał, aby powtórzyła się jego historia rodzinna; jego pradziadek i dwóch dziadków, ojciec i w końcu on sam spędzili długie lata w gułagach Syberii. Obawiał się perspektywy, że jego dzieci spotka to samo. Byliśmy bardzo blisko podjęcia decyzji, aby nie wracać. Wtedy zastanawialiśmy się, czy chcemy spędzić życie w Minnesocie, gdzie mieliśmy bliskich przyjaciół, ale zimy były srogie, a lata gorące i wilgotne. Kilku naszych przyjaciół myślało o przeprowadzce do Kalifornii i zaczęli podejmować działania, aby cel zrealizować.

Tymczasem życie sobie biegło, kilkoro przyjaciół z Europy i Polski przyjechało nas odwiedzić. Mariela była tuż przez zdawaniem egzaminu na prawo jazdy – ledwie mogła się doczekać swojej niezależności. Poszła do katolickiej szkoły średniej i radziła sobie nieźle z nauką i sportem – grała tam w piłkę nożną. Oboje – Mariela i Maciek przystąpili do bierzmowania w parafii Chrystusa Króla, a Małgosia przystąpiła tam do I Komunii św. Przez cały czas pracowałam w Bon Voyage, ciesząc się pracą i ludźmi; niektórzy z moich kolegów pozostali dobrymi przyjaciółmi przez lata. Mimo że pensja była mizerna, praca dawała mi okazję do podróżowania do takich miejsc jak Hawaje i Karaiby. Jurek dużo podróżował służbowo – do Indii, Australii itp.

Razem z Marielą pojechałyśmy do Miami, aby odwiedzić Grocholskich; Jurek brał udział w wycieczkach organizowanych przez Bon Voyage – do Vail, Kolorado i Arizony; firma wysłała mnie i kilku innych pracowników, aby sprawdzić Boston. Kiedy z Jurkiem wróciliśmy z jednej z tych krótkich wycieczek, okazało się, że nasze starsze dzieci urządziły w domu imprezę, a ponadto odkryliśmy, że serwowane było piwo.

Nie byliśmy zachwyceni i wyraziliśmy Marieli i Maćkowi nasze niezadowolenie jasno i wyraźnie. Może Mariela ostatecznie ma rację, określając nasze metody wychowawcze jako „życzliwe zaniedbanie”. Mikołaj był pod opieką różnych opiekunek i chyba dosyć lubił u nich przebywać po wyjeździe pani Jadzi.

17 stycznia 1983 roku w swoje szesnaste urodziny Mariela zdała egzamin na prawo jazdy i otrzymała stosowny dokument. Przydzieliliśmy jej jedno z naszych starych aut do osobistego użytku. Ważnym tutaj słowem jest „przydzielone”, a nie dane... My jako rodzice pozostaliśmy wyłącznymi właścicielami wszystkich naszych pojazdów i to okazało się być skutecznym narzędziem trzymania naszych dzieci w ryzach. Przywilej używania samochodu mógł być zawieszony za każdym razem jako konsekwencja złych ocen, niedotrzymania godziny powrotu itp.

Jurek sobie podróżował, kiedy Mariela stała się kierowcą i zostawił mi troskę o naszą najstarszą córkę, która odważnie korzystała z przywileju prowadzenia samochodu – do miasta, do szkoły, po śliskich szosach, często w czasie zamieci śnieżnych, czyli w normalnych warunkach przeciętnej zimy w Minnesocie. W dniu, w którym otrzymała prawo jazdy, zdecydowała się pojechać do centrum miasta w towarzystwie swojej bardzo dobrej przyjaciółki Tori Beal. Oczywiście byłam cała w nerwach, nasłuchując dźwięków samochodu, które ogłaszałyby jej powrót do domu. Wróciła bez żadnego wypadku, przed ustaloną przez nas godziną dwudziestą drugą. Hmm, musieliśmy się przyzwyczaić do tego, że nasze dziecko jeździ samochodem. Od samego początku doskonale czuła się za kółkiem, łącząc swój naturalny talent z godzinami praktyki z Jurkiem, począwszy od 15. roku życia.

Uwaga Kalifornio! Przybywamy!

Projekt przeprowadzki do Kalifornii długo chodził nam po głowie około 1982–83 roku. Tak się jakoś okazało, że to nie był tylko nasz pomysł. Chuck i Mary Carney, Bob i Flora Weinmann – wszyscy z MTS zaczęli też spoglądać na zachód kraju. W Bon Voyage Travel Marie Christine i David Miller byli nawet bardziej zdeterminowani, aby tam jechać, zanim znaleźli jakąkolwiek pracę. Tak samo postąpili nasi przyjaciele Laurel i Jerry Conrard. Pierwsi wyjechali Weinmannowie i Carneyowie, mając już pracę w hrabstwie Orange. Po pewnym czasie Chuck Carney, nasz zawsze obecny Anioł Stróż, polecił Jurka swojemu szefowi Bobowi Questowi, właścicielowi Advanced Controls w Irvine. Wydarzyło się to na początku 1983 roku. Zaczęliśmy poważne przygotowania do przeprowadzki. Głęboko zastanawialiśmy się nad rezygnacją z pracy w MTS; ta praca była pewna i całkiem dobrze płatna. Mogła trwać do spokojnej emerytury z niezłymi pieniędzmi. Mieliśmy nadzieję, że nie narazimy na szwank przyszłości naszych dzieci przez przeprowadzkę z życia pod kloszem w Midwest. Przyjaciele ostrzegali nas przed niebezpieczeństwem narkotyków i liberalnym stylem życia w Kalifornii. Martwiliśmy się o szkoły, kościół i o to, gdzie będziemy mieszkać. Postawa naszych dzieci w kwestii przeprowadzki wahała się od entuzjastycznej (Mariela) poprzez „czy mam wybór?” (stoicki Maciek) do całkowicie negatywnej (Małgosi). Mikołaja nawet nie pytaliśmy o wyrażenie jego opinii (zbyt mały na własne zdanie).

W tym czasie Maciek wybierał się do publicznej szkoły średniej w Minneapolis, Mariela miała rozpocząć ostatni rok w katolickiej szkole Benilde-St. Margaret's.

Planowaliśmy dla niej kontynuację wykształcenia na jednym z kalifornijskich państwowych uniwersytetów, rozpoczynając od 1985 roku. Wiedzieliśmy, że te szkoły wymagają jednego roku zamieszkiwania w Kalifornii, aby móc ubiegać się o możliwość studiowania w tym stanie. I znowu Chuck i Mary wyświadczyli nam olbrzymią przysługę, zapraszając do siebie Marię, aby zamieszkała u nich w roku szkolnym 1984/1985, dopóki nasza rodzina faktycznie nie przeprowadzi się do

Kalifornii. To musiało być dla nich olbrzymie wyzwanie, bo nie mieli własnych dzieci. Zawsze będziemy im wdzięczni, że otworzyli swój dom dla Marieli. Poszła do Laguna Hills High, najbliższej szkoły w pobliżu domu Carney'ów. Zawozili ją do szkoły samochodem lub użyczali swojego auta, by mogła jechać nawet do Los Angeles. Chuck i Mary (z Marielą jako konsultantem) znaleźli dla nas dom w Irvine; zorganizowali też samochód dla Marieli, aby mogła dojeżdżać stamtąd do szkoły, zanim przeprowadziliśmy się tam na dobre.

Kiedy Mariela wyjechała z Minneapolis, zaczęliśmy sprzedaż domu na Oliver Street i planowaliśmy rozpoczęcie nowej pracy Jurka na 1 listopada 1984 roku. Firma płaciła koszty naszej przeprowadzki, co bardzo ułatwiło nam życie. Wybieraliśmy rzeczy do sprzedaży garażowej, te, które mają być ofiarowane dla kościoła czy organizacji charytatywnych i te, których się chcemy pozbyć. Agenci nieruchomości zaczęli spacerować z klientami po naszym domu. Kazano nam pozbyć się malowideł i gryzmołów ze ścian pokoi dzieci, na co dzieciom w swojej głupocie pozwalaliśmy, aby zachęcić ich do rozwoju artystycznej twórczości. Doprowadzenie ścian do normalności było koszmarem, ale zrobiliśmy to w swoim zakresie.

Musieliśmy poinformować MTS i Bon Voyage o naszych zamiarach oraz złożyć wypowiedzenia. Należało powiedzieć o tym znajomym i sąsiadom. Każdy dobrze nam życzył; odbyło się wiele pożegnalnych imprez. Wydawało się, że ludziom było smutno z powodu naszego wyjazdu. Maciek zostawiał swojego najlepszego przyjaciela, Philla.

W końcu wymyśliliśmy, jak przeprowadzić Jurka pierwszego, aby mógł rozpocząć pracę, tak jak planował i przetransportować parę podstawowych rzeczy do domu, aby można było mniej więcej wygodnie funkcjonować na Montpellier Avenue. Samochód został załadowany rzeczami Jurka do granic możliwości. Jurek, Mikołaj i ja rozpoczęliśmy podróż na Zachód, do Kalifornii, w naszym małym Renaulcie „Le Car”, zostawiając Małgosię i Maćka pod czujnym okiem przyjaciół. Mikołaj zajął ostatnią wolną przestrzeń na stercie prześcieradeł, poduszek i kocy. Ważna uwaga – w tamtych czasach w ogóle niewymagane były pasy bezpieczeństwa! Ruszyliśmy na południe z Minneapolis przez Iowa, Missouri, Oklahoma, Texas, New Mexico i Arizone. Podróż była przyjemna, chociaż nie mieliśmy czasu na zwiedzanie, bo spieszyło nam się, aby szybko dotrzeć do celu podróży. Zatrzymywaliśmy się chyba

dwa razy w motelach na uboczu i dojechaliśmy do Irvine bez żadnych incydentów. Bardzo spodobał nam się dom, który pozostał naszym azylem na następnych trzynaście szczęśliwych lat. Byliśmy pod wielkim wrażeniem basenu i jacuzzi i natychmiast z nich skorzystaliśmy. Zostałam z Mikołajem w Irvine przez weekend i we dwójkę przyjechaliśmy z powrotem do Minneapolis, aby kontynuować przygotowania do wielkiej przeprowadzki.

Sprzedaż domów w Minneapolis w 1984 roku nie szła za dobrze, tak zresztą jak i w całych Stanach. Wydaje się, że my zawsze próbujemy sprzedawać dom, kiedy gospodarka spowalnia. Musieliśmy przyjąć, że nie sprzedamy domu przed naszym wyjazdem do Kalifornii, więc dokonaliśmy ustaleń z naszym agentem nieruchomości, że będzie próbował sprzedaży, jak długo będzie trzeba. Z pewnością pomogła nam świadomość, że Advanced Control zamierza płacić nasz kilkumiesięczny czynsz za dom w Irvine. Skoncentrowałam się na przygotowaniu naszego dobytku dla firmy przeprowadzającej, która zapakowała wszystko porządnie w różnorakie pudła. Około 15 listopada wsadziłam Mikołaja i Małgosię do samolotu i wysłałam ich samych do Hrabstwa Orange. Lotnisko w niczym nie przypominało tego, jakim jest teraz. Składało się z może dwóch pasów startowych i terminali wyglądających jak baraki. Ludzie przechodzili z samolotów do bramek asfaltem. Tak właśnie Jurek pamięta moment, gdy zobaczył nasze dzieci – dwóch następnych członków rodziny maszerujących ręką w rękę. Tego dnia oficjalnie o dwoje więcej członków rodziny przeprowadziło się do Kalifornii.

Zdecydowaliśmy, dzięki hojności Carney'ów, że Mariela pozostanie z nimi aż wszyscy będziemy w Irvine. Zostaliśmy z Maćkiem, aby zakończyć spawy w Minnesocie. Ciężarówka do przeprowadzek przyjechała, starannie wszystko zapakowano, w tym naszego Forda Fiestę. Mówiąc „starannie”, mam na myśli również to, że zapakowali naszą wielką, czerwoną łopatę do odśnieżania, którą potem dumnie umieściliśmy w naszym garażu w Irvine. Jeszcze jedną ważną sprawę musieliśmy załatwić; Maćka egzamin na prawo jazdy. Ten egzamin zaplanowany był w dniu jego urodzin 18 listopada, więc zamówiliśmy lot na następny dzień. Wszyscy nasi sąsiedzi pożegnali się z nami, życząc nam wszystkiego, co najlepsze w naszym nowym życiu.

Montpellier

19 listopada 1984 roku cała rodzina była razem na Montpellier Ave 15291. Kilka dni potem przyjechała wielka ciężarówka z naszymi rzeczami. Rozpoczęło się wielkie rozpakowywanie i urządzanie się w czterech pokojach. Wszystko wydawało się cudowne; piękna pogoda, egzotyczna roślinność, drzewa palmowe, ocean, basen, jacuzzi.

Istniały sprawy, którymi trzeba było się natychmiast zająć. Przede wszystkim należało zapisać dzieci do szkół. Słyszeliśmy o wysokiej jakości szkół publicznych w Irvine, więc nie wahaliśmy się spróbować, by dzieci tam się dostały. Mariela chciała pozostać w Laguna Hills High i dojeżdżać tam codziennie. Maciej dostał się do University High, najlepszej szkoły spośród trzech szkół średnich w Irvine. Małgosia poszła do szóstej klasy w Los Naranjos, bardzo blisko domu. Mikołaj został zapisany do przedszkola w Los Naranjos. Byłam bardzo zajęta organizowaniem domu, ale też wizytami w bankach, rejestracją samochodów, uzyskaniem praw jazdy w stanie Kalifornia, wizytami w pobliskich sklepach czy kościele. Miałam też na celu znalezienie pracy, najlepiej blisko domu, w jakimś biurze podróży. Nie było łatwo, szczególnie dla kogoś, kto dopiero przyjechał i nie wnosił ze sobą do biznesu żadnych klientów. Na początku zbytnio się nie martwiłam, ponieważ wiedziałam, że na razie jestem bardzo potrzebna w domu. Mikołaj spędzał w przedszkolu tylko cztery godziny, więc chciałam być w domu, kiedy wracał. Myślę, że również starsze dzieci doceniłyby, że popołudniami będę w domu. W marcu 1985 roku zostałam zatrudniona przez Travel Country of Irvine, małe biuro, które prowadziła Norma a potem jej córka Kelly. Zespół pracujących tam ludzi był bardzo zgodny; każdy zajmował się zarówno podróżami biznesowymi, jak i wypoczynkowymi. Nie miałam żadnego problemu z przystosowaniem się i szybko rozwinęłam „swoją” grupę wiernych klientów. Pensja była niska, jak można było się spodziewać w tym biznesie, ale dodatki były przyjemne – w formie darmowych biletów lotniczych czy wyjazdów do egzotycznych miejsc celem rozpoznania terenu do ewentualnych wycieczek. Do pracy mogłam dojść pieszo, jeśli musiałam być szybko w domu, byłam tam błyskawicznie. Umówiłam się z bardzo miłą sąsiadką, że po

szkole Mikołaj będzie szedł do domu swojego kolegi Andy'ego, gdzie jego mama będzie się nimi opiekować aż do mojego powrotu.

W kwietniu 1985 roku, zanim oficjalnie rozpoczęłam pracę w Travel Country, poleciałam do Göteborga w Szwecji, aby odwiedzić mojego brata Piotra i jego rodzinę. Po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce w 1981 roku komuniści uporczywie trzymali się u władzy i nie zaprzestali nękania tych, którzy próbowali być w opozycji. Władza zmusiła ludzi, którzy aktywnie działali w „Solidarności” do opuszczenia kraju i raczej łatwo było otrzymać wizę wyjazdową. W przypadku intelektualistów i naukowców reżim był szczęśliwy, że wylądowali gdzieś poza Polską i tam pracują, bo tak mogli się ich pozbyć. Piotr zdecydował, że ostatecznie przestaje bawić się w rewolucjonistę i przyjął stanowisko profesora matematyki na Uniwersytecie w Göteborgu. Ich rodzina pozostała tam przez kilka lat, a potem przeprowadzili się do Paryża, gdzie Piotrowi zaoferowano inne stanowisko odpowiadające jego kompetencjom.

Kiedy przyleciałam do Szwecji, nasi rodzice też tam byli, więc mieliśmy nasz mały rodzinny zjazd. To był ostatni raz, kiedy widziałam mojego ojca, który zmarł w marcu 1986 roku.

Życie w Kalifornii bardzo różniło się od tego w Minnesocie. Prawie każdy, z kim się spotykaliśmy, był przynajmniej raz rozwiedziony, podczas gdy nasi przyjaciele z Minnesoty byli w związkach małżeńskich z pierwszymi współmałżonkami. Atmosfera w pracy była swobodna, przynajmniej w mojej agencji. Na przykład raz w tygodniu około 5 po południu przychodziła manicurzystka i robiła nam manicure, my zaś sączyliśmy sobie wino. Dzięki Normie poznaliśmy naszą ukochaną miejscowość La Fonda w Baja California w Meksyku, która stała się przez lata naszym miejscem wypadowym. Pierwszy raz zostaliśmy tam z Jurkiem zaproszeni na naszą firmową imprezę z okazji świąt Bożego Narodzenia, tradycję tę Norma kontynuowała przez lata. Zawsze wspaniale spędziliśmy tam czas, nieważne czy to było spotkanie firmowe, rodzinne, czy rocznice ślubu naszych dobrych przyjaciół Sue i Georga.

Pierwsza tygodniowa służbowa podróż „w celu rozpoznania terenu” była do Club Med na w Guaymas w Baja w Kalifornii w Meksyku, na którą mogłam zabrać rodzinę. Dobrze tam się wszyscy bawiliśmy,

mimo tego, że ukradziono nam parę rzeczy z naszych pokoi, bo w Club Meds wszystkie pokoje miały być niezamykane, co przez lata było tradycją. No tak, ale w Meksyku to nie działało, więc musiano zainstalować zamki w drzwiach. Mikołaj, wtedy sześciolatek, biegał z różnymi dziećmi. Nie musieliśmy się o niego martwić, bo nie mógł bez zauważenia opuścić kurortu. Dzięki pracy w Travel Country of Irvine doświadczyłam mojego pierwszego rejsu statkiem wzdłuż wybrzeży Pacyfiku od Los Angeles do Puerto Vallarta. Od tamtej pory polubiłam podróże morskie.

Jak tylko urządziliśmy się w naszym nowym domu, zaczęliśmy starania o przyjęcie Marieli na różne uniwersytety. Wiedzieliśmy, że musi iść na studia w uniwersytecie stanowym, ponieważ prywatne uczelnie były poza naszym zasięgiem finansowym. Otrzymaliśmy wiele odpowiedzi na nasze aplikacje. W styczniu 1985 roku na wysłane zgodnie z wymogami dokumenty otrzymaliśmy odpowiedź, że Mariela została przyjęta na studia w University of California Irvine na Wydział Nauk Politycznych.

W tym czasie Małgosia rozpoczęła naukę w szkole średniej Venado; kolejna zmiana dla niej – z Minneapolis, poprzez Los Naranjos do Venado. Było jej ciężko i nie sądzę, aby wspominała ten okres z czułością. Mikołaj został dumnym pierwszoklasistą. Był jedynym szczęściarzem w rodzinie, który przeszedł przez cały system edukacyjny w jednym mieście, nie musiał się przeprowadzać, miał tych samych kolegów od przedszkola do szkoły średniej.

Maciej radził sobie dobrze w University High School, gdzie grał w reprezentacji szkolnej w koszykówce. Potem, kiedy studiował na University of California Irvine, dołączył do drużyny wiosłarzy. Rok po przejściu procedur aplikacyjnych na studia Marieli musieliśmy na nowo zaczynać starania o studia dla Maćka. Tym razem było łatwiej, bo wiedzieliśmy już, jak w tej sprawie postępować.. Aby oszczędzić pieniądze na czesnym, Maciek zdecydował się pójść na dwa lata do Orange Coast Community College, a potem przeniósł się na UCI. To pokazało, jaką właściwą ścieżką, przetartą przez brata, może przejść Małgosia. Ona z kolei uczęszczała przez dwa lata na Orange Coast, a potem przeniosła się na Berkeley. W tym ostatnim należała do zespołu dyskusyjnego, co pomogło jej potem w karierze prawniczej. Mikołaj wybrał sobie czteroletni kurs na University of California w Los Angeles, co wymagało od niego wzięcia znacznych pożyczek na czesne.

W 1990 roku świętowaliśmy naszą 25. rocznicę ślubu. Dzieci zorganizowały nam cudowną imprezę na naszym podwórku, na którą przyszło wielu przyjaciół. Świętowanie było wesołe, głośnie i zakończyło się dla Jurka, kompletnie ubranego, w basenie. Wypito mnóstwo wina podczas tego niezapomnianego popołudnia...

Należeliśmy do parafii St. John Neumann. Razem z Marielą zdecydowałyśmy się być tam nauczycielkami-wolontariuszkami religii. Musiałyśmy przejść kurs i mogłyśmy sobie wybrać grupę wiekową, którą chciałyśmy uczyć. Mariela była wystarczająco odważna, by wziąć najstarsze dzieciaki – takie ze szkoły średniej. Ja zdecydowanie wolałam młodszych. Przez większość czasu te młodsze grupy musiały uczęszczać na lekcje do domów nauczycieli, bo w tym czasie kościół nie miał jeszcze odpowiednich pomieszczeń.

Firma, w której pracowali Chuck i Jurek zaczęła mieć problemy finansowe i około 1987 roku zaczęli zwalniać ludzi. Pierwszy był Chuck; Carney'owie sprzedali swój śliczny dom w Nellie Gail i przeprowadzili się w okolice San Diego, gdzie Chuck rozpoczął swój własny udany biznes, który do tej pory idzie bardzo dobrze.

Potem przyszła kolej na Jurka. Zaczął poważnie szukać pracy, wiedząc, że nie będzie łatwo. Naprawdę zastanawialiśmy się, czy będzie coś w stanie znaleźć w Południowej Kalifornii ze względu na swój dojrzały wiek – 54 lata. Plan „B” mówił o powrocie do Polski, ale żadne z nas na tym etapie naszego życia w rzeczywistości tego nie chciało. Ale zdarzył się cud i to na miejscu, ze znacznie większą pensją niż w Advanced Controls. Oczywiście, Jurek widocznie udowodnił, że kandydaci z jego kompetencjami są poszukiwani na rynku pracy, by zaangażowała go firma z kapitałem japońskim – Megatool w Buena Park. W jaki sposób Jurek został zatrudniony przez Megatool? Był na targach przemysłowych w Hannoverze w Niemczech, gdzie spotkał jednego z kierowników tej firmy, który polecił Jurka dyrektorowi naczelnemu. Jurek został wezwany do niego do Szwajcarii, pojechał tam i został zatrudniony. Zgodzili się spełnić wszystkie jego oczekiwania, nawet na zapłacenie „okupu” dla państwowej agencji Polservice. Obiecali też dać nam zaliczkę na zakup naszego domu w Irvine. Kupiliśmy dom i mieszkaliśmy tam aż do 1997 roku.

Losy rodziny mego męża Jerzego Gorzkowskiego

Bardzo ciekawa jest historia rodziny Jurka, więc chciałabym dodać parę zdań na ten temat. Obie rodziny od strony matki i ojca pochodzą z Litwy. Pradziadek Emilian został wysłany na Syberię za udział w Powstaniu Styczniowym 1863 r., a jego posiadłość Barbaryszki skonfiskowana. Jego żona Alojza pozostała w otrzymanym w posagu majątku Klaryszki. Po jakimś czasie pozwolono żonom odwiedzać mężów na zesłaniu i Alojza parę razy go odwiedziła. Emilian zmarł bardzo szybko po zwolnieniu z wygnania. Mieli ośmioro dzieci, a jednym z nich był dziadek Jurka, Wacław. Dzięki determinacji prababki Alojzy dzieci otrzymały staranne wykształcenie, gdyż Klaryszki nie były w stanie zapewnić młodym życia na odpowiednim poziomie. Tak więc Wacław skończył studia w Instytucie Górnictwa w Petersburgu. Tam poznał swą przyszłą żonę Władysławę Machwic (pełne nazwisko austriacko-węgierskie ojca – Otto von Machwitz). Władysława po śmierci matki była wychowywana przez krewnych Koziell-Poklewskich, którzy wysłali ją na studia dla dobrze urodzonych panienek do „Instytutu Blagorodnych Dzewits” w Petersburgu. Wacław okazał się zdolnym przemysłowcem i w dość krótkim czasie zgromadził kapitał na zakup kopalni w Donbasie. Kopalnia rozwijała się pomyślnie, interesy szły dobrze, czego dowodem było zakupienie samochodu już w 1910 r., który nadszedł z Niemiec wraz z szoferem. Gorzkowscy mieli dwoje dzieci, Wandę i Olgierda, Ojca Jurka. Wraz wybuchem I wojny światowej, a później rewolucji w Rosji, szczęśliwe i spokojne życie skończyło się dla młodej rodziny. Ledwo uciekli z życiem z kopalni, gdzie tak zwani „zaufani i przyjaźni” górnicy podpalili ich dom. Z mieszkania, które mieli w Charkowie, uciekli w ostatniej chwili i przez Odessę i Rumunię przedostali się do Warszawy prawie bez pieniędzy. Jako że dziadek Jurka Wacław miał smykałkę do interesów, umieściwszy żonę z dziećmi pod Warszawą, gdzie było taniej, uruchomił najpierw fabrykę szabel, a później w Łowiczu zakład produkujący materiały izolacyjne. Szable szły bardzo dobrze w czasie wojny polsko-bolszewickiej, ale potem trzeba było przerzucić się na coś innego. Osiemnastoletni Olgierd Gorzkowski zgłosił się do wojska polskiego i działał jako kierowca w tzw. Legionie Akademickim. Był

jednym z niewielu, którzy umieli prowadzić samochód (umiejętność nabyta w Donbasie). Rodzinie Gorzkowskich zaczęło się całkiem nieźle powodzić, zaczęli udzielać się towarzysko w Warszawie. W ten sposób zaprzyjaźnili się z litewską rodziną Wandalina i Marii Kucewiczów, która mieszkała częściowo w majątku Gołębiówka pod Warszawą, a częściowo na Litwie. Po ukończeniu studiów inżynierskich w Liege w Belgii Olgierd ożenił się z Marią Kucewicz, absolwentką Uniwersytetu Warszawskiego. Młodzi zamieszkali na Żoliborzu; wkrótce pojawiły się dzieci – Anka i Jurek. W okresie do II wojny światowej życie rodziny układało się szczęśliwie. 1 września 1939 roku Gorzkowscy byli w Warszawie. Olgierd został zmobilizowany i miał rozkaz udania się wraz z własnym samochodem do Pińska. Rodzina postanowiła niezwłocznie ewakuować się z bombardowanej Warszawy i pojechać z Olgierdem do Pińska, potem pociągiem do Olony, majątku dziadków Kucewiczów oddalonego o 36 km od Wilna. Towarzyszyli im dziadkowie Gorzkowscy. Dzieci były tym planem zachwycone, bo niemal wszystkie wakacje spędzały na wsi u dziadków i bardzo lubiły tam przebywać. Po klęsce wrześniowej i ataku Związku Sowieckiego na Polskę, zanim jednostka Olgierda zdołała się zorganizować, dostał się on do niewoli sowieckiej, z której udało mu się zbiec. Obie rodziny pozostały w Olonie, ale bardzo krótko, gdyż pojawili się Rosjanie i w niedługim czasie rozpoczęła się tragiczna „podróż” na wschód. Po nieudanej próbie przedostania się z powrotem do Polski przez zieloną granicę, rodzina została zaaresztowana. Obie babcie, Matka Jurka, Jurek i Anka byli w więzieniu razem, a mężczyźni w innej celi. Olgierd został wywieziony do obozu pracy w kopalni na północnym Uralu. Obaj dziadkowie zostali zabici w czasie prowadzenia do innego obozu (nigdy nie dowiedziano się niczego dokładniej). Kobiety i dzieci załadowano do przepelnionych bydłowych wagonów i wysłano w długą podróż na daleką Syberię do Altajskiego Kraju. Gdy wysiedli wreszcie w miejscowości Sławgorod, deportowani usłyszeli złowrogie słowa: „tu będziecie żyć i tu zdechniecie”. Nie wiedzieli nic o losie Olgierda ani dziadków, Wandalina i Wacława.

Ojciec Jurka został zwolniony, jak i inni więźniowie, z obozu pracy, gdy zaczęto formować polskie oddziały do walki z Niemcami u boku armii sowieckiej. Dotarł do armii Andersa właśnie w czasie, gdy generał postanowił, zerwawszy umowę ze Związkiem Sowieckim, wyprowadzić swoją armię na Bliski Wschód. W ten sposób Olgierd przeszedł wojnę jako oficer polski w oddziałach armii angielskiej i w końcu wojny znalazł

się we Włoszech. W czasie pobytu w Palestynie, a potem w Libanie dowiedział się o deportowaniu rodziny na Syberię. Miał zamiar do nich wrócić, aby dzielić ich los, ale o tym nie mogło być mowy. Gdy nawiązał kontakt z żoną Marią, rodzina wraz i innymi zesłańcami znajdującymi się w Sławgorodzie cierpiała głód i w czasie syberyjskiej zimy wiele osób umierało z zimna i wyczerpania. Ojcu udało się dość regularnie posyłać rodzinie paczki, głównie z ubraniami, które mogli wymieniać na jedzenie. Tak przeżyli 6 lat, mieszkając w ziemiance, głodując nieustannie; Babcia Władysława Gorzkowska zmarła krótko po zakończeniu wojny i tam została pochowana. Dzieci przeżyły ten okres względnie zdrowe głównie dlatego, że Matka, którą zatrudniono w miejscowym szpitalu, dostawała tam obierki kartofli, które stanowiły często pożywienie rodziny. Jurek i Anka pili codziennie tran, którego beczkę Matka nabyła od miejscowych kombinatorów za swoje przywiezione z Polski futro. Chodzili w Sławgorodzie do szkoły, co dało im perfekcyjną znajomość rosyjskiego (Jurkowi przydało się to bardzo w pracy w Polsce i USA). Jurek lubił przebywać w lokalnej bibliotece, aby się zimą ogrzać. Przy okazji przeczytał wszystkie dzieła Szekspira w rosyjskim tłumaczeniu. Inne książki, które były w tej bibliotece – to propaganda komunistyczna lub literatura XIX-wieczna.

W 1946 r. rodzina Gorzkowskich wraz z babcią Marią Kucewiczową udali się w długą podróż powrotną do Polski w takim samym wagonie bydlęcym, jakim przybyli na zesłanie, ale tym razem jako ludzie wolni! Znaleźli schronienie u krewnych w Łodzi. Ojciec nalegał, aby przyjechali do niego na zachód, ale Matka stanowczo odmówiła – miała absolutnie dosyć tułaczki. Ojciec wrócił i wszyscy zamieszkali w Łodzi. Na początku Olgierd jako doświadczony inżynier mechanik samochodowy dostał dobrą posadę, ale po jakimś czasie osoby z jego życiorysem przestały się komunistom podobać i o mało nie trafił do więzienia jako potencjalny szpieg, a posadę i tak stracił. Różne były koleje losu rodziny Gorzkowskich po wojnie; Jurek musiał rok przepracować jako traktorzysta, aby „poprawić” sobie pochodzenie społeczne z inteligenta na robotnika, bo inaczej nie mógł dostać się na politechnikę. Po paru latach przenieśli się do Warszawy i życie płynęło swoim trybem, jak nam wszystkim w tym „najweselszym baraku” wspólnoty krajów socjalistycznych.

Zakończenie

Kończę pisać te wspomnienia. Obejmuję ramionami moje dzieci i wnuki, życząc im wszystkiego, co w życiu najlepsze. Od nich samych zależy pisanie dalszego ciągu tej opowieści, aby przyszłe pokolenia mogły uczyć się z ich sukcesów i porażek, by sprostać wyzwaniom ciągle zmieniającego się świata.

Jak wcześniej pisałam, pamiętam moje dzieciństwo, beztroskie lata w Przysusze. Na zakończenie moich wspomnień pozwalam sobie na kilka zdań refleksji. Otóż mimo wielkiego oddalenia mojego miejsca zamieszkania od Polski, to nie tracę kontaktu z ojczystym krajem. Często tu przyjeżdżam. Nie zapominam także o Przysusze. Dostrzegam zmiany, jakie zachodzą w tym mieście, jak ono się rozwija, jak staje się z każdym rokiem ładniejsze. Z uznaniem obserwuję jego nowe dzielnice – mam tu na uwadze budowę domów mieszkalnych. Widzę starania ludzi odpowiedzialnych za rozwój miasta, za jego wygląd. Widać tu gospodarską rękę.

W pracy wykorzystano opracowanie dr Agnieszki Zarychty-Wójcickiej zawartej w książce „Przysucha. Historia Miasta” oraz w wydaniu „Urszula Dembińska” opublikowanym przez Towarzystwo Kulturalne w Szczekocinach. Do zdjęć portretów Urszuli i Franciszka Dembińskich oraz do drzewa genealogicznego wykorzystano zbiory Muzeum im. Oskara Kolberga w Przysusze.

Podziękowanie

Bardzo dziękuję wszystkim tym, którzy pomogli mi przy pisaniu tej książki; szczególnie mojemu mężowi Jurkowi. Była to długa droga i nie dokonałabym tego bez jego zachęty i wsparcia. Jestem również wdzięczna moim synom, Maćkowi i Mikołajowi, naszej najmłodszej córce Margaret, których lektura tej książki pomagała ją udoskonalić. Jestem winna szczególne podziękowania mojej najstarszej córce Marieli, której pomoc w redakcji i wydaniu tej książki była bezcenna.



1. Herb rodu Dembińskich – „Nieczuja”



2. Gen. Henryk Dembiński



3. Babunia Zofia z Tyszkiewiczów Dembińska i Dziadek Henryk Dembiński



4. Herb rodu Gołuchowskich – „Leliwa”



5. Agenor Romuald Gołuchowski
gubernator Galicji, prapradziadek Anity



6. Joachim Murat marszałek Francji.
Mąż siostry Napoleona I Bonaparte,
Caroline. Król Neapolu



7. Joachim i Caroline Murat



8. Wojsko Napoleona Bonaparte. Obraz



9. Wojciech Gołuchowski dziadek
Anity ze strony matki



10. Obraz, Gen. Henryk Dembiński.
Henryk Rodakowski



11. Lwów. Ślub Dziadków Gołuchowskich. Na pierwszym planie, w środku, para młodych Zofia i Wojciech Gołuchowsky. 1912



12. Rodzeństwo ojca Anity – Henryka Dembińskiego – na plaży w Poladze. 1914



13. Ślub Krystyny Dembińskiej z Maciejem Radziwiłłem. Ojciec autorki, Henryk Dembiński, drugi od lewej. Na zdjęciu znajdują się wujowie Anity: Andrzej, Antoni, Stefan oraz inni z rodziny Dembińskich i Radziwiłłów. 1932



14. Krystyna
z Dembińskich
Radziwiłł



15. Tatuś z siostrą Heleną (Mycielska). 1935



16. Przysucha. Henryk Dembiński jr.
z Marią (Maną) Gołuchowską
jako narzeczeni. 1936



17. Spotkanie rodziny Dembińskich z Przysuchy. Rodzice autorki tuż po ślubie – pierwsi z lewej. Dalej: brat Jan z żoną Marysią, Renia Mycielska (później Chłapowska) ze swoją matką Heleną Dembińską-Mycielską, wuj Maciej i ciocia Krysia Radziwiłłowie, Paul (Paweł), Babunia „przysuska”. Ciocia Zosia, Margerytka ze swoimi rodzicami Anulą i Lulo. Stoi Andrzej Dembiński (z prawej). 1937



18. Przysucha. Po polowaniu na dziki.
Trzeci z prawej – na koniu Henryk Dembiński. 1938



19. Lwów. Dzień narodzin Anity. 1938



20. Przysucha. Anita 8 miesięcy. 1938



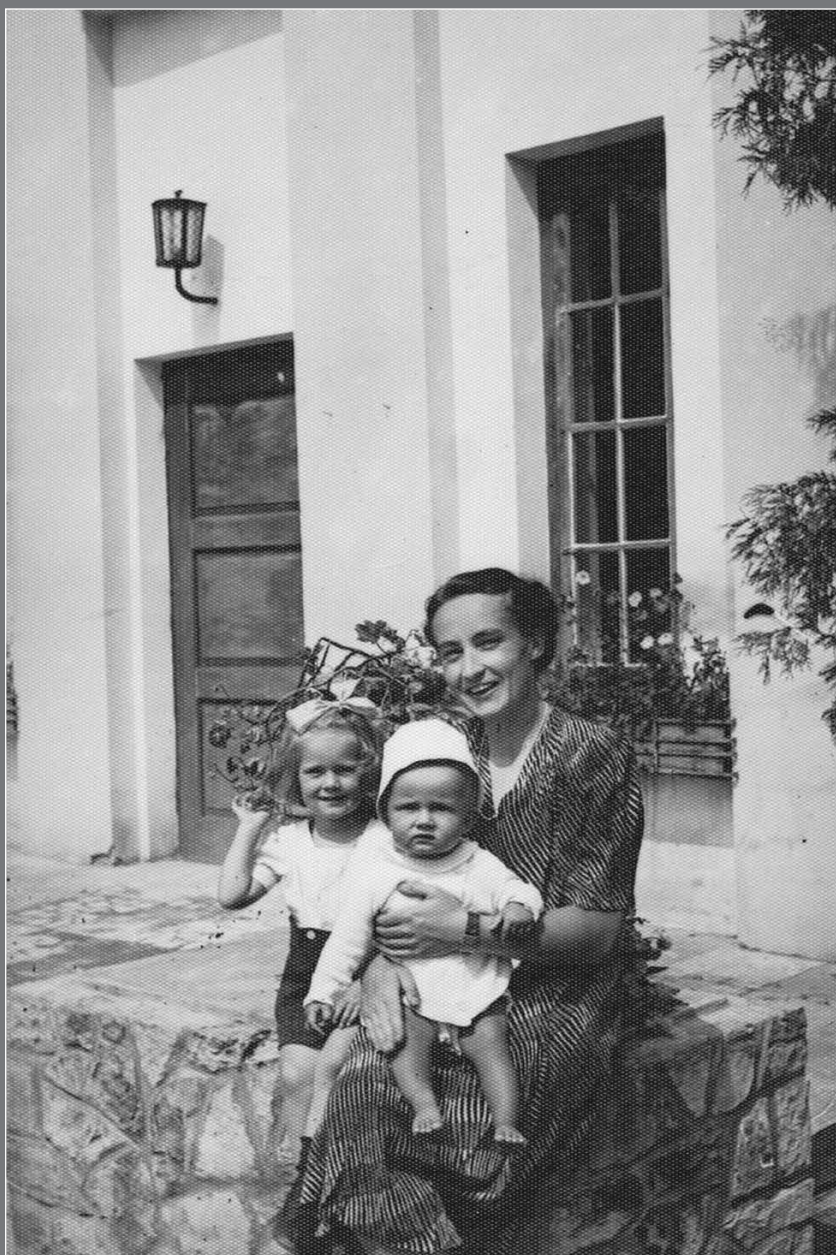
21. Anita z Ciocią Zulą Gółuchowską. 1938



22. Przysucha. Anita z babcią Zofią. 1940



23. Dziadzio Gołuchowski,
Anita i Piotr. 1940



24. Mama, Anita i Piotr. 1941



25. Przysucha. 1942



26. Przysucha Piotr i Krystyna
Dembińska. 1942



27. Krystyna Dembińska
i Piotr, Przysucha. 1942



28. Dziadkowie Gołuchowscy, Mama, Anita i Piotr. 1942



29. Przysucha. Z ciocią Zofią Dembińską. 1942.



30. Przysucha. Z ciocią Krystyną Radziwiłł. 1942



31. Przysucha. Anita (z lewej)
i Piotr (z prawej). 1944



32. Przysucha. Anita
przed pałacem. 1944



33. Sowiniec nad Wartą, Anita i Piotr. 1946



34. Łódź. 1946



35. Przysucha przed 1945 rokiem



36. Przysucha. Pałac Dembińskich. Elewacja południowa



37. Przysucha. J.w. Elewacja północna



38. Łódź. Anita i Piotr. 1947



39. Zdjęcie z legitymacji szkolnej. 1949



40. Anita na plaży w Juracie. 1949



41. Warszawa. Pozowanie w modnej
wówczas odzieży szkolnej. 1951



42. i 43. Wyjazd na wakacje do Polskiej Wsi pod Poznaniem. 1951



44. Ostatni rok szkoły podstawowej Warszawa. 1952



45. Wycieczka do Krakowa ze szkołą ss. Nazaretanek. 1952



46. i 47. Warszawa. Na zawodach pływackich. 1953



48. Warszawa. Zawody pływackie. Anita pierwsza z prawej. 1953



49. Pływanie. 1953



50. Warszawa. Anita (z lewej) z koleżankami w czasie występowania w filmie. 1953



51. Warszawa, od lewej: Piotr, Anita, rodzice Henryk i Maria (Mana),
Joanna, Marta i Elżbieta. 1954



52. Obóz pływacki, Anita i Jurek w szeregu. 1955

53. Anita
w Londynie. 1957



54. Paryż



55. i 56. Warszawa. Motoklub „Bristol”. 1960



57. Warszawa – lotnisko. Anita (pierwsza z prawej) w pracy w liniach Swissair. 1961



58. Warszawa. Od lewej: Anita, Piotr, Joanna Dembińscy i Jerzy Gorzkowski. 1964



59. Joanna, siostra Anity; Warszawa.



60. Joanna. 1964



61. Warszawa. Ślub Anity Dembińskiej i Jerzego Gorzkowskiego. 17 lipca 1965



62. Anita jako panna młoda. 1965



63. Podróż po Francji Renault 4 Chevaux. 1966



64. Londyn. Anita z córeczką Marielą. 1967



65. Mama Anity z jej córeczką Marielą. 1969



66. Mama z Mateuszem i Marielą. 1969



67. Warszawa. Anita w biurze Swissair. 1969



68. Mariela, Małgosia i Maciek, Warszawa. 1973



69. Brazylia. Mąż Anity, Jerzy, na plaży Copacabana. 1974



70. W stolicy Brazylii, Brasilii. Anita z Marielą Tarnowską. 1974



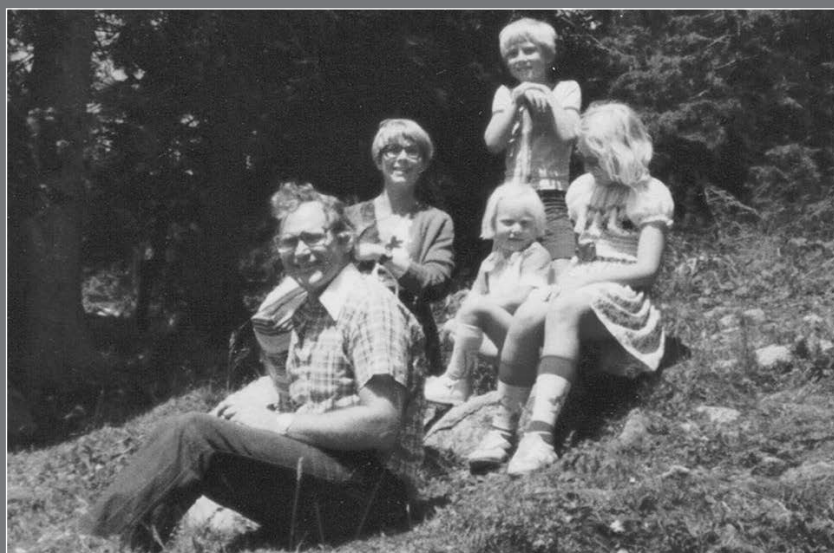
71. Anita, Jurek. 1975



72. Rzym. 1977



73. Szwajcaria. Latem – z dziećmi. 1977



74. Szwajcaria. Anita z mężem i dziećmi. 1977



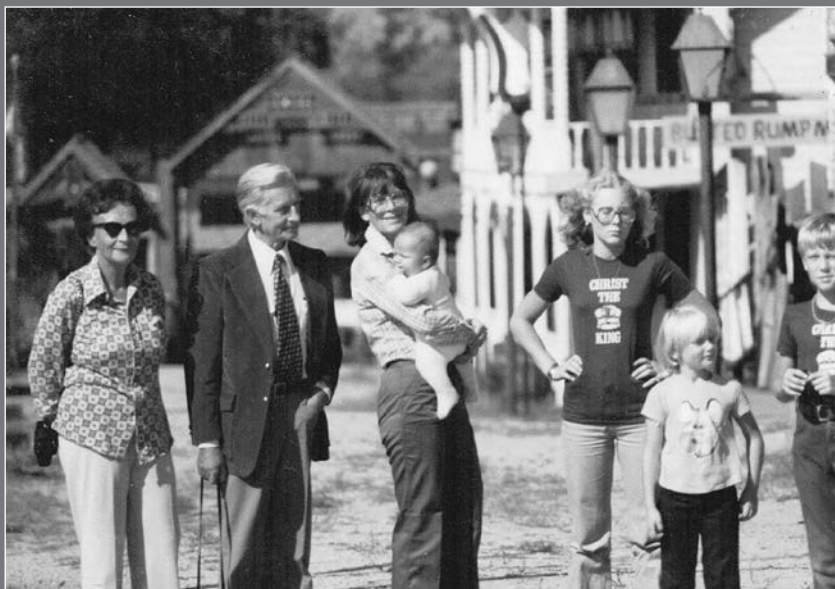
75. Boże Narodzenie. Minneapolis (USA). 1979



76. Minneapolis. Dom Anity i Jerzego Gorzkowskich. 1979



77. Minneapolis. Zdjęcie rodzinne: Anita i Jerzy Gorzkowscy z dziećmi Marielą, Maciejem, Małgorzatą i Mikołajem. 1979



78. Lato. Minneapolis. Maria (Mana) i Henryk Dembiński z wizytą u Anity i Jerzego Gorzkowskich. Anita z dziećmi. 1979



79. Wizyta Anki i Leszka Chechlińskich. 1979



80. Minneapolis. Rodzice Anity z wizytą u niej w zimie. 1979



81. Pierwsza zima Minneapolis. 1979



82. Anita z synem Mikołajem i ciocią Krysią Radziwiłł. 1980



83. Rok. Anita i Jerzy na wycieczce w Górach Skalistych (USA). 1980



84. W podróży camperem po zachodnich stanach USA. 1980



85. Rodzina Gorzkowskich w Biurze Podróży, w którym pracowała Anita. 1980



86. Wizyta Cioci Marii Dembińskiej i Rodziców w Minneapolis.
Pierwszy z lewej Henryk Dembiński. 1980

87. Mama Anity,
Maria Dembińska,
odśnieża schody przed
jej domem. 1981



88. Maria i Henryk Dembińscy, syn Piotr z żoną i dziećmi. 1981



89. Anita z siostrami w Warszawie. 1981



90. Stan wojenny w Polsce. 1981



91. Rodzina Gorzkowskich w drodze do Houston. 1982



92. Dom Gorzkowskich w Minneapolis. 1982



93. Rodzice. 1982



94. Na campingu w Minnesocie. 1982



95. Mariela, córka Anity, z psem Brandy. 1982



96. Anita z Marielą w Miami. 1983



97. Dzieci Anity w Wisconsin. 1983



98. Dom w Irvine – Kalifornia. 1984



99. Pożegnalne spotkanie u Nancy przed przeprowadzką do Kalifornii. 1984



100. Przeprowadzka do Kalifornii. 1984



101. Dom w Irvine. Jerzy, Anita i Mariela w jacuzzi. 1984



102. Wizyta przyjaciół Izabeli i Ignacego Dembińskich. 1986



103. Anita nad morzem. 1988



104. Boże Narodzenie w Irvine. 1990



105. Patio w domu w Irvine. 1990



106. Boże Narodzenie z Markiem Pattinsonem. 1991



107. Ślub Marieli, córki Anity i Jerzego. 1993



108. Ślub Marieli Gorzkowskiej. Od lewej: Krystyna Radziwiłł,
Mariela i jej babcia Maria (Mana) Dembińska. 1993



109. Ślub Marieli
i Marka. 1993



110. Od prawej: Jerzy Gorzkowski, Mark Pattinson, Mikołaj
syn Anity i Jerzego i Chuck Carney. 1994



111. Przed świętem Bożego Narodzenia. 1994



112. Przed narodzeniem pierwszej wnuczki. 1997



113. Ślub Małgosi
i Remiego. 2000



114. Ślub Maćka i Anny. 2006



115. Pattinsons i Esquenets na plaży. 2012



116. Katrina skończyła szkołę średnią – Gabriela, Mark, Katrina, Łukasz, Mariela, Anita, Jurek. 2013



117. Ślub Mikołaja. 2013



118. Zjazd rodziny Gorzkowskich na ślub Mikołaja. 2013



119. Anita i Jerzy Gorzkowscy z córkami Marielą, Małgorzatą
i synami, Maciejem i Mikołajem. 2013



120. Bierzmowanie Gabrieli i Katriny. 2015



121. Zjazd Dembińskich, my z dziećmi. 2015



122. Jurek, Mariela, Anita. 2016



123. Cała rodzinka. 2016



124. Cmentarz w Skrzyńsku. Kapliczka-grób przodków
hr. Henryka Dembińskiego. Elewacja południowa. 2017



125. Jw. Elewacja wschodnia. W ścianie widoczna kamienna
tablica z napisem „DEMBIŃSCY Z PRZYSUCHY”. 2017



126. W głębi widoczny wiekowy buk (na klombie przed pałacem). 2017

127. Zdjęcie dolnej części buka, jego zakorzenie. Używając metafory, można powiedzieć, że tak utrwalona jest w świadomości mieszkańców Przysuchy rodzina Dembińskich. 2017



Nota biograficzna współautora

Edward Pawlik urodził się w 1939 roku w Warszawie. W czasie Powstania Warszawskiego był internowany wraz z rodziną w obozie Dulag 121 w Pruszkowie.

We wrześniu 1944 r. przybył z rodzicami do Przysuchy, skąd pochodził jego ojciec.

Tu ukończył szkołę podstawową. Szkołę średnią – Technikum Budowlane – ukończył w 1956 r. w Radomiu. W 1963 r. uzyskał uprawnienia budowlane. W Przysusze mieszkał do 1964 r. Przez czterdzieści pięć lat pracował w różnych przedsiębiorstwach budowlanych, m.in. w: Opoczyńskim Przedsiębiorstwie Budowlanym, Płockim Przedsiębiorstwie Robót Mostowych Oddział w Piszcu i Oddział Warszawa, Przedsiębiorstwie Beta i innych. Sprawując kierownicze funkcje, brał udział w realizacji m.in. takich inwestycji inżynierskiego budownictwa komunikacyjnego w Warszawie, jak: Dworzec Centralny, Trasa Łazienkowska, Trasa Toruńska, Estakada Bielańska, Wisłostrada (przejścia podziemne), estakada na ul. Rzymowskiego, most na Pilicy w Nowym Mieście.

Wyższe studia interdyscyplinarne ukończył na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego.

W roku 2004 przeszedł na emeryturę. Do Przysuchy wrócił po czterdziestu jeden latach w 2005 r.

Twórczością literacką zajął się w roku 1987, pracując na kontrakcie w Afryce, w firmie Dromex, która budowała tam drogi i mosty.

W swoim dorobku posiada następujące pozycje: *Wspomnienie dawnej Przysuchy* 2008, *Radomska Budowlanka – Wspomnienie po półwieczu* (opublikowany w 10 egzemplarzach) 2009, *Ze Skrzyńska przez Europę do Ojczyzny* 2010, *Nekropolia Przysuska* 2012, *Pieśnią Bogu cześć oddają. Przeszłość i Teraźniejszość chóru parafialnego w Przysusze* 2013, *Życie opisane wierszem* (tomik wierszy) 2013, *Dwór Zbożeński* 2016,

Przysucha 2016, Współpracował z Anitą Dembińską-Gorzkową przy pracy nad książką *Dembińscy z Przysuchy. Między Polską a Ameryką*. Wydanie książki *Nekropolia Przysuska* jest w ogóle pierwszą publikacją zawierającą inwentaryzację topograficzną i osobową cmentarza w jego historii. Współpracował przy pracach nad książkami autorstwa ks. dr. Dariusza Patera: *Społeczna Rola Dialogu, Kapliczki Matki Bożej na Ziemi Przysuskiej Znakiem Pobożności Maryjnej* oraz przy pisaniu książki dr. Stanisława Abramczyka *Nad Radomką i Drzewiczką*.

Edward Pawlik pisze też wiersze o charakterze patriotycznym, religijnym i okolicznościowym. Jest autorem elegii poświęconych Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II. Niektóre z jego wierszy publikowane były w „Kurierze Raszyńskim”, biuletynie literackim „Grobla”, „Informatorze Przysuchy”, biuletynie literackim „Ozimina”, zbiorze wierszy „Wzrastanie” oraz w kwartalniku „Ziemia Odrowążów”. Był członkiem Koła Literackiego „Grobla” w Raszynie. Obecnie jest członkiem Koła Literackiego „Ozimina” w Przysusze. Swoje wiersze prezentował na spotkaniach autorskich m.in. w Szkole Polskiej w Trypolisie w Libii, w Domach Kultury w Raszynie i Przysusze, na spotkaniach z młodzieżą w szkołach, z seniorami oraz na okolicznościowych uroczystościach religijnych i lokalnych. Zajmuje się też działalnością publicystyczną, pisząc teksty do miesięcznika „Informator Przysuchy”. Współpracuje z Muzeum Oskara Kolberga w Przysusze.

Edward Pawlik jest laureatem nagrody Przewodniczącego Rady Gminy i Miasta oraz Burmistrza Gminy i Miasta Przysuchy (dwukrotnie: 2012 i 2018 r.) otrzymanej za twórczość promującą Ziemię Przysuską, jej piękno, historię, kulturę i teraźniejszość.

Został też wyróżniony dyplomem uznania za wkład i szczególne zaangażowanie w obchody Roku Kolbergowskiego w 2014 r. – przyznanym mu przez Marszałka Województwa Mazowieckiego.

